

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 3/558

1994



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

St. POLACZEK: **JAK WYRWAĆ GOSPODARKE
Z BEZWŁADU?**

J. ZUBRZYCKI: **CZYM JEST DLA MNIE
POLSKA?**

J. POMIANOWSKI: **BIEGUN MAGNETYCZNY**

K. WOLICKI: **BRUDNE SZYBY**

SPIS RZECZY

Stanisław Polaczek:	<i>Jak wyrwać gospodarkę z bezwładu?</i>	3
Jerzy Zubrzycki:	<i>Czym jest dla mnie Polska?</i>	19
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	23
Jerzy Pomianowski:	<i>Biegun magnetyczny</i>	37
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	52
Sławomir Mrozek:	<i>Fakir</i>	65
WIERSZE		
Johannes Bobrowski:	<i>Sarmacka równina</i>	67
Marzena Broda:	<i>Rzeki dojrzewają do powodzi...</i>	69
Bolesław Taborski:	<i>Es gibt keinen jüdischen Wohnbezirk...</i>	69
Ewa Sonnenberg:	<i>Wyrok</i>	70
Ewa Sonnenberg:	<i>Salon biedy</i>	71
KRAJ		
Karol Modzelewski:	<i>Pożytek z utraty złudzeń</i>	72
Krzysztof Wolicki:	<i>Brudne szyby</i>	75
Ewa Berberysz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i>	83
SPRAWY I TROSKI		
Adam W. Kulik:	<i>O Europę pojednania</i>	92
Andrzej Vincenz:	<i>Czy koniec „Biblioteki Narodowej”?</i>	94
MONACHIJCZYK:	<i>RWE/RS: brak kontroli nad publicznym pieniędzem</i>	99
Rada Powierników:	<i>The Polonia Aid Foundation Trust</i> ...	102
O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA		
Dominik Morawski:	<i>„Trudno im dogodzić”</i>	104
Antoni Pospieszalski:	<i>Kiedy złe rzeczy zdarzają się dobrym ludziom</i>	113
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	116
Wilnianka z Zarzecza:	<i>Zapomnieć o wzajemnych urazach</i> ...	121
KRONIKA KULTURALNA		
Leszek Szaruga:	<i>Zwyczajny katastrofizm</i>	127
Jadwiga Maurer:	<i>Polszczyzna Isaaca Singera</i>	133
Teresa Halikowska-Smith:	<i>Szekspirowski teatr w Gdańsku</i>	136
—	<i>Wyróżnienia POLCUL Foundation</i>	137
—	<i>Komunikat Fundacji Pomocy Bibliotekom Polskim</i>	139
CI, CO ODESZLI		
Biserka Rajčić:	<i>Petar Vujičić</i>	140
KSIĄŻKI		
Stefania Kossowska:	<i>„Na szalach losu” — rozmowa z Jerzym Pietrkiewiczem</i>	145
M. Broński:	<i>Płynność świata</i>	151
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	153

Ciąg dalszy SPISU RZECZY na str. 176

Varsovie W006

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Marzec-Mars 1994

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dr W.S. Adamus, Ingelheim (Niemcy), po raz 2-gi — DM 100,00	F.	340,00
Wilhelm Bismayer, Des Plaines, IL (USA), po raz 26-ty — dol. 50,00	F.	297,00
Maria Teresa i Aleksander Bragiński, Jülich-Barmen (Niemcy), po raz 43-ci	F.	400,00
Zbigniew Brzeziński, Waszyngton (USA), po raz 24-ty — dol. 500,00	F.	2.930,00
Zbigniew i Eleonora Budzyna-Dawidowscy, Nowa Zelandia	F.	150,00
C. Czajkowski, London, ON (Kanada) — dol. can. 5,00	F.	22,00
Jan Furdak, Montesson (Francja), po raz 4-ty	F.	200,00
Wojciech Głodowski, Nowy Jork, po raz 2-gi — dol. 6,00	F.	36,00
Dr Jan Jerzy Golnick, Papillion, NB (USA), po raz 10-ty — dol. 50,00	F.	297,00
Halina Grodzicka, Buenos Aires, po raz 15-ty — dol. 70,00	F.	420,00
Roman Grygorcewicz, Scarsdale, NY (USA), po raz 16-ty — dol. 10,00	F.	60,00
Kazimierz Karwowski, Toronto, ON (Kanada), po raz 2-gi	F.	70,00
A. Kowarska, Milford (Nowa Zelandia), po raz 10-ty	F.	200,00
Prof. Karol J. Krótki, Edmonton, AB (Kanada), po raz 14-ty	F.	390,00
Józef Masiewicz, Toronto, ON (Kanada), po raz 15-ty — dol. can. 60,00	F.	270,00
Dr. A.H. Michalski, St. Catharines, ON (Kanada)	F.	70,00
Renata i Witold Mikułowski, Maroni (Comores), po raz 15-ty	F.	495,00
Teodor Zygmunt Müller, Bad Homburg (Niemcy), po raz 5-ty	F.	200,00
Bronisław Partyka, Port Orange, FL (USA), po raz 12-y — dol. 31,00	F.	183,00
Jadwiga Rossa — Francja, po raz 3-ci	F.	500,00
Irena i Jerzy Szwede, Woodside, CA (USA) — zamiast kwiatów na grób zmarłego w Palo Alto, CA śp. Wiktora Skarga-Małolepszego — dol. 30,00	F.	178,00
Julita Szylar, Nowy Jork, po raz 5-ty — dol. 100,00	F.	593,00
Hanna Świdarska, Londyn	F.	1.600,00
W drugą rocznicę śmierci Julka Brysza — Wanda i Irena	F.	500,00
W dziewiątą rocznicę śmierci mojego nieodżałowanego Męża i Przyjaciela śp. Edwarda Puacza, założyciela księgarni „Polonia” w Chicago — Mirosława Puacz — dol. 500,00	F.	2.930,00
Prof. Jerzy A. Wojciechowski, Ottawa, ON (Kanada), po raz 2-gi	F.	70,00
Herakliusz Zwirello, Maspeth, NY (USA) — dol. 100,00	F.	593,00

Jan Zalewski, Chester (W. Brytania) — na pomoc dla Polaków w Rosji — £ stg. 20,00

DZIĘKUJEMY

Jak wyrwać gospodarkę z bezwładu?

Rzuczone przez Polskie Towarzystwo Ekonomiczne pytanie: „Jak zdynamizować gospodarkę”, proponuję zastąpić sformułowaniem bardziej precyzyjnym: „Jak wyrwać gospodarkę z bezwładu?”. Sądzę bowiem, że przy tak sformułowanym pytaniu od razu dużo wyraźniej rysuje się zarówno diagnoza istniejącej sytuacji, jak i zadania, które muszą być podjęte dla jej przezwyciężenia.

Bo zadanie, które stoi przed nami nie sprowadza się tylko do nadania rozpędu leniwie obracającym się trybom gospodarki. Jest ono dużo trudniejsze: trzeba ruszyć z miejsca gospodarkę, w której funkcjonują mechanizmy, utrzymujące ją na niezwykle niskim poziomie aktywności i nie pozwalające na powrót do stanu sprzed recesji. Taka ocena na pewno nie spotka się z powszechną akceptacją, zwłaszcza przy występującej w społeczeństwie dużej polaryzacji poglądów w sprawach stanu gospodarki.

W toku niedawnej kampanii wyborczej (wrzesień 1993) mieliśmy okazję spotkania się z poglądami skrajnymi. Z jednej strony, że kraj ginie, rolnictwo upada, przemysł państwowy bankrutuje. Z drugiej strony, że Polska pierwsza w Europie wschodniej przezwyciężyła recesję, opanowała inflację i w 1993 r. będzie najszybciej rozwijającym się krajem Europy. Dość łatwo jest odrzucić podobnego typu oceny skrajne. Ale to tylko w niewielkim stopniu przybliży nas do oceny realnej sytuacji. Dlatego warto rozważyć symptomy domniemywanego bezwładu gospodarki i jego przyczyny.

1. Symptomy bezwładu

W ciągu dwóch lat 1991-1992 miał miejsce w Polsce spadek produktu krajowego brutto o 18% i spadek produkcji przemysłowej o 30%; jednocześnie powstała armia 2,5 mln bezrobotnych, a ceny konsumpcyjne wzrosły 17-krotnie. Tym wynikiem dwulecia często przeciwstawia się przewidywany w 1993 r. wzrost (w stosunku do 1992 r.) PKB i produkcji przemysłowej o ok. 4%, sugerując, że w ten sposób został w Polsce przezwyciężony kryzys gospodarczy.

Z wielu względów traktując tego rodzaju oceny jako pozbawione podstaw.

Po pierwsze — wiadomo, że jednocześnie przewiduje się w tym roku dalszy wzrost cen o 30% i zwiększenie się bezrobocia do ok. 3 milionów osób; szósty rok wysokiej inflacji i czwarty rok gwałtownie narastającego bezrobocia trafniej da się określić jako rok bezwładu, niż przełomu.

Po drugie — wyniki 1993 r. nakładają się na wyniki minionego dwudziestolecia; warto więc przypomnieć, że wskutek dwóch ciężkich kryzysów gospodarczych (1979-1982 i 1990-1992) produkt krajowy brutto i średnie wynagrodzenia realne pozostawały w 1992 r. na poziomie nie wyższym, niż w roku 1974; po okresie tak długotrwałej stagnacji nie należałoby utożsamiać z sukcesem gospodarczym skromnych wyników 1993 r.

Po trzecie — osiągnięty w 1993 r. wzrost produkcji został uzyskany przy znacznym pogorszeniu bilansu handlowego i płatniczego Polski; pojawił się duży deficyt bilansu płatniczego, mimo, że nadal korzystano z umorzeń przeważającej części należnych odsetek; w przyszłości należy oczekiwać pogorszenia sytuacji z chwilą powrotu do spłat odsetek w pełnej wysokości.

Po czwarte — nie jest jasne w jaki sposób ujmuje się w bilansie płatniczym wpływy ze sprzedaży prywatyzowanych przedsiębiorstw zagranicznym inwestorom; wpływy takie mogą stanowić doraźną pomoc w równoważeniu bilansu płatniczego, ale wówczas stanowią jednocześnie świadectwo złego stanu gospodarki państwa.

Wszystkie przytoczone wyżej czynniki same w sobie nie dostarczają jeszcze niezbitego dowodu, że mamy do czynienia w gospodarce ze stanem bezwładu. Pozwalają jednak przyjąć hipotezę, że ten stan mógł powstać. Wydaje się, że analiza możliwych przyczyn takiego stanu tę hipotezę potwierdza.

2. Przyczyny bezwładu

Stan bezwładu, który ogarnął gospodarkę w 1990 r., miał swoje źródła w polityce gospodarczej 1989 r., zarówno tej jaką prowadził ostatni rząd komunistyczny M. Rakowskiego, jak i tej jaką podjął pierwszy rząd niekomunistyczny T. Mazowieckiego, realizujący program Balcerowicza. W swoich ogólnych założeniach był to program dobry, gdyż prawidłowo określał główne zadania polityki gospodarczej w dobie reformy i przebudowy. Te zadania to: umocnienie pieniądza i stabilizacja gospodarki, prywatyzacja i intensyfikacja współpracy gospodarczej z zagranicą. Przystępując do realizacji programu, rząd Mazowieckiego popełnił błąd, który w decydującej mierze przyczynił się do powstania owego zjawiska bezwładu. Tym błędem było zintensyfikowanie (zainicjowanie przez rząd Rakowskiego) polityki dewaluowania złotego. W wyniku tej polityki na przestrzeni 1989 r. kurs dolara wzrósł dziewiętnastokrotnie (z 502,55 zł/dol. w dn. 31.12.1988 do 9500 zł/dol. w dn. 2.1.1990), podczas gdy ceny dóbr konsumpcyjnych wzrosły tylko siedmiokrotnie (między grudniem 1988 r. i grudniem 1989 r.).

To ta właśnie, wyprzedzająca silnie ruch cen, dewaluacja, czy ściślej mówiąc — seria dewaluacji podejmowanych w odstępach kilkutygodniowych (zwłaszcza w drugiej połowie 1989 r.) — stała się źródłem ogromnych perturbacji w procesach życia gospodarczego w Polsce. W drastycznej postaci perturbacje te ujawniły się zwłaszcza w pierwszych miesiącach 1990 r., np. w związku z podniesieniem stopy procentowej od kredytów do 40% miesięcznie.

Z biegiem czasu próbowano te perturbacje opanowywać. W złagodzonej postaci utrzymują się one nadal i przyczyniają do trwania bezwładu gospodarki. Rzadko jednak pamięta się, że źródłem tych perturbacji była przede wszystkim przyjęta doktryna szokowej terapii, w tym szokowej dewaluacji. To ta właśnie terapia bezpośrednio powodowała powstanie szeregu niekorzystnych zjawisk, takich jak:

— wysokie stopy procentowe, które prowadziły do spadku inwestycji, niemożności finansowania bieżących procesów produkcyjnych w przemyśle i rolnictwie; dość często narzeka się na błędy polityki rolnej, natomiast nie dostrzega się, że to przede wszystkim ogólna polityka gospodarcza, zwłaszcza polityka drogiego kredytu, podkopywała egzystencję gospodarstw rolnych, uniemożliwiając zakupy nawozów i

ziarna siewnego, albo zamykając możliwości zbytu do przemysłu przetwórczego;

— skokowe wzrosty cen paliw i energii, które uruchomiły szeroką falę ogólnego wzrostu cen w gospodarce;

— systematyczne podwyżki czynszów mieszkaniowych w skali przekraczającej możliwości płatnicze ludności; tu okazywała się zawodność stosowania mechanicznych metod równoważenia budżetu — czynsze rosły, ale jednocześnie rosły zaległości mieszkańców z tytułu nie uregulowanych zobowiązań.

Drugim — bardziej ewidentnym i przez to częściej krytykowanym błędem polityki gospodarczej minionych czterech lat było szerokie, jednostronne, otwarcie rynku dla importu z zagranicy, przy niewielkiej dbałości o interesy polskiego eksportu. Jeżeli zestawić z jednej strony polski rynek zalany masą różnego rodzaju zachodnich lemoniadek, czy czekolad i z drugiej strony — twardą barierę na jaką napotkał na rynkach zachodnich w postaci cen minimalnych nasz eksport wiśni i czarnych porzeczek, to zestawienie takie stawia w karykaturalnym świetle kierowników naszej polityki współpracy gospodarczej z zagranicą. Z punktu widzenia całości współpracy wiśnie i porzeczki to jest margines. Ale w tym właśnie tkwi komizm sytuacji. Biedny kraj, jakim jest Polska, szeroko otwiera się na import, niewiele troszcząc się, czy jakaś gałąź krajowej produkcji nie ucierpi wskutek zagranicznej konkurencji. Bogate kraje zachodnie są tak wyczulone na ochronę interesów swoich nawet małych producentów, że — jak wydaje się, raczej mechanicznie — nawet w drobnych sprawach nie wahają się stawiać wielkich barier, gubiąc poczucie proporcji i humoru.

Obok błędów w polityce gospodarczej, na wytworzenie się stanu bezwładu wywiera wpływ brak spójnego programu gospodarczego. Pisząc to, nie wycofuję się z wcześniej wyrażonej aprobaty założeń programu Balcerowicza. Założenia te były dobre, przy czym nie miały one praktycznie konkurenta w 1989 r. i nie mają dziś. Zawiodła jednak realizacja słusznych założeń programowych i również zdolność do uruchomienia mechanizmów korygujących z chwilą zaobserwowania, że program zbacza z toru.

Nie znalazł się nikt, kto takie mechanizmy by uruchomił lub zaproponował program alternatywny. Dyskusja w czasie niedawnej kampanii wyborczej dowiodła, że jeszcze konkurent Balcerowicza się nie pojawił. Z jednej strony padły propozycje ujawniające całkowity brak znajomości ekonomii, np.:

wprowadzenia liniowego podatku dochodowego od osób fizycznych (Unia Polityki Realnej), sprzedaży przedsiębiorstw cudzoziemcom po cenach, które zgadzają się zapłacić (Kongres Liberalno-Demokratyczny), czy zwiększenia podaży pieniądza w tempie przewyższającym dynamikę inflacji (Konfederacja Polski Niepodległej). Z drugiej strony powtarzano wiele słusznych haseł: zwiększenia troski o zdrowie, oświatę i kulturę, wprowadzenia społecznej gospodarki rynkowej, równouprawnienia sektorów, konieczności pobudzania popytu, likwidacji „szarej strefy” gospodarki itd. Te powtarzane hasła niewiele miały jednak wspólnego z programami. Dlatego, gdy jedna partia zarzucała innej, że ukradła jej program, to był to zarzut niestosowny, bo nie było czego kraść.

Stworzenie programu gospodarczego nie jest łatwą rzeczą, jak wskazują doświadczenia Centralnego Urzędu Planowania i Ministerstwa Finansów. Nie bardzo produktywne okazują się też w tej dziedzinie różnego rodzaju rady i gremia doradcze, zwykle zbyt wielu mające członków, aby móc wypracować spójny dokument.

Świadomy tych trudności sugerowałem wiosną tego roku na zebraniu Sekcji P.T.E. powołanie, chociażby w łonie P.T.E., trzyosobowej rady, której zadaniem byłoby opiniowanie ważniejszych dokumentów gospodarczych. Nie taję, że wzorem dla mnie (zastrzegając wszelkie różnice proporcji) była Rada Doradców Ekonomicznych USA, której działania śledziłem kiedyś nie bez zazdrości. Idea nie spotkała się z aplauzem. Nie zdała też egzaminu w zetknięciu z życiem. Bo gdy ja wyobrażałem sobie, że idealny skład takiej rady mogliby np. tworzyć L. Balcerowicz, K. Porwit i Z. Sadowski, to wkrótce okazało się przy zupełnie innej okazji, że dwaj z tych świetnych ekonomistów, absolutnie nie mogą znaleźć wspólnego języka¹.

Jednak bezwład gospodarki, ujawniony w toku kampanii wyborczej brak spójnego programu gospodarczego i nieuniwniona zwłoka w opracowaniu takiego programu przez nowy rząd i parlament czynią niezbędnym kontynuowanie rozważań i dyskusji nad kształtem programu gospodarczego, dającego perspektywę wyjścia gospodarki na drogę rozwoju. Poniżej

1. W artykule „Mieszane uczucia” (*Rzeczpospolita*, 29-30 maja 1993), L. Balcerowicz poddał krytyce tezy P.T.E. („Jak zdynamizować gospodarkę”) opracowane pod kierunkiem prezesa Z. Sadowskiego; niestety formę tej krytyki można — jak to uczynił Z. Sadowski — uznać za „napastliwą i pozamerytoryczną”.

podejmuje się próbę zarysowania elementów takiego programu w oparciu o niektóre wskazania, które można znaleźć zarówno w planie Balcerowicza, jak i w tezach P.T.E. „Jak zdynamizować polską gospodarkę?” (maj 1993 r.) oraz rozwijającym te tezy referacie M. Nasiłowskiego na XVII Zjazd Oddziału Warszawskiego P.T.E. (październik 1993).

3. Pożądane założenia ogólne programu

Czytelny i przekonujący program gospodarczy powinien, jak sądzę, koncentrować się na sprawach najważniejszych, pozostawiając wiele rozwiązań szczegółowych do rozstrzygnięcia w aktach wykonawczych niższego rzędu. Te kluczowe ustalenia programu można by usystematyzować wg trzech kategorii: zadania długookresowe, zadania krótkookresowe i działania realizacyjne.

Główne zadania długookresowe przyjmuję w zasadzie z Tez Zespołu Analiz i Prognoz P.T.E. (teza 4) z jedną małą korektą. Są one następujące:

- będzie kontynuowana możliwie szybka przebudowa systemu gospodarczego w kierunku sprawnie działającej gospodarki rynkowej,

- dąży się do zapewnienia trwałego wzrostu gospodarczego opartego na zmianie struktury produkcji w kierunku podniesienia jej efektywności i konkurencyjności,

- dąży się do minimalizacji społecznych kosztów przebudowy systemu gospodarczego; tu odstępuję od tez P.T.E., w których jest mowa o minimalizacji kosztów rozwoju, sądząc, że ten postulat jest raczej oczywisty i *implicite* mieści się w zadaniu zapewnienia wzrostu gospodarczego.

Jako główne zadania w krótkim okresie czasu narzucają się następujące:

- zdecydowane działania, zmierzające do systematycznego, radykalnego, zmniejszenia bezrobocia,

- zahamowanie spadku stopy życiowej społeczeństwa.

Tak ogólnie sformułowane zadania (zarówno długo- jak i krótkookresowe) nie powinny wzbudzać kontrowersji. Jako pewnego rodzaju deklaracja intencji są one jednak bardzo potrzebne dla ukierunkowywania działań resortów, samorządów, czy jednostek gospodarczych. Trudniejsza jest konkretyzacja takich działań. Jeżeli np. w tezie 7 P.T.E. znajduje się postulat uruchomienia robót publicznych, to sądzę, że jest to postulat w pełni uzasadniony, odwołujący się do dobrze

znanego narzędzia walki z kryzysem. Mam wątpliwości natomiast, czy równie przekonujący może być, ujęty w tej samej tezie, postulat tworzenia zachęt podatkowych dla przedsiębiorstw zwiększających zatrudnienie ze względu na trudności administrowania takimi raczej niespotykanymi systemami zachęt.

Pragnąc uniknąć rozproszenia się w szczegółach, trudny i na pewno podatny na kontrowersje problem działań realizacyjnych będę rozważać w odniesieniu do czterech sfer polityki gospodarczej, które w programach gospodarczych częściowo już odgrywały i — w moim pojęciu — powinny nadal odgrywać wiodącą rolę. Przy wyborze tych sfer wiodących, w dużym stopniu kierowałem się sugestiami L. Balcerowicza, który przy różnych okazjach nawiązywał do istnienia pewnych „fundamentów rozwoju”.

Tu w szczególności chciałbym odwołać się do jego artykułu „Fundamenty i nonsensy”, zamieszczonego w *Gazecie Wyborczej* z 3-4 lipca 1993. Zgodnie z sugestiami autora wyróżniłem cztery fundamentalne warunki szybkiego rozwoju, czy inaczej mówiąc, cztery decydujące dla powodzenia programu gospodarczego sfery polityki gospodarczej: 1) pieniądź i stabilizacja, 2) prywatyzacja, 3) współpraca z zagranicą, 4) instytucjonalne układy zarządzania w państwie i przedsiębiorstwie.

Wykorzystując przyjęty przez L. Balcerowicza sposób podejścia do analizy problemów reformy i przebudowy, daję jednocześnie wyraz uznania dla jego zasług w stworzeniu całościowej koncepcji polskiej reformy gospodarczej. Dalsze rozważania powinny natomiast dać okazję do zastanowienia się, dlaczego ta koncepcja zawiodła w realizacji i w jaki sposób należałoby ją korygować.

4. Pieniądź i stabilizacja

W pełni trzeba zgodzić się z L. Balcerowiczem, który w cytowanym wyżej artykule stwierdza, że pierwszym fundamentalnym warunkiem rozwoju jest stabilny pieniądź, czyli niska inflacja. Przez 30 lat (1950-1980) złoty posiadał względnie stałą siłę nabywczą. Nie był jednak prawdziwą walutą, gdyż był niewymienialny, a jego stałą wartość utrzymywano dzięki rygorystycznej polityce cen i płac, oddziaływającej skądinąd negatywnie na rozwój gospodarki. Nie można też jednak zgodzić się z twierdzeniem Balcerowicza, że „w trzy lata

staliśmy się krajem prawdziwego pieniądza...". Trudno uważać, że status złotego uległ radykalnej poprawie, jeżeli ceny rosną w skali 40 % rocznie, niewiele mniej rosną kursy walut obcych, a waluta nie jest dopuszczona do obiegu na rynkach zagranicznych; tym samym jako waluta zewnętrznie niewymienialna, w zasadzie dla obcokrajowców nie przedstawia wartości.

Skłonność do przeceniania roli złotego cechuje również niektórych ekonomistów krytykujących obecną politykę pieniężną. Np. M. Nasiłowski uważa, że „umocniło się zaufanie do pieniądza dzięki wprowadzeniu wewnętrznej wymienialności złotego do innych walut wymiennalnych”². Nie dodaje jednak, że dla utrzymania tego zaufania stopa procentowa od depozytów terminowych sięga w niektórych bankach 50 % w stosunku rocznym. W ślad za tym zaś utrzymują się jeszcze wyższe stopy oprocentowania kredytów i ich rujnujący wpływ na gospodarkę przedsiębiorstw, cierpiących na brak środków na inwestycje i finansowanie produkcji, narażanych na zatory płatnicze i bankructwa. W tej zaś sytuacji powstaje istotny dylemat do rozstrzygnięcia: czy przyjęte rozwiązanie wprowadzenia wymienialności wewnętrznej bez jednoczesnego wprowadzenia wymienialności zewnętrznej rzeczywiście umocniło pieniądz i gospodarkę, czy przyczyniło się do ich osłabienia. Jest to w moim pojęciu najważniejszy i zarazem najmniej dyskutowany dylemat polityki pieniężnej.

Zupełnie odwrotnie rysuje się sytuacja w przypadku drugiego istotnego dylematu: czy w polityce gospodarczej obecnie zadaniem pierwszoplanowym powinno być zadanie opamowania inflacji, czy przezwyciężenia recesji? Ten dylemat jest przedmiotem najczęstszych dyskusji. Są to jednak dyskusje jałowe z powodu oderwania problemu terapii od problemu diagnozy. W krajach rozwiniętej gospodarki rynkowej po ostatniej wojnie występowały cykliczne recesje w stosunkowo łagodnej formie, zdarzały się okresy gwałtowniejszego wzrostu cen i wreszcie rzadko miały miejsce równoległe występujące zjawiska recesji i inflacji (czyli tzw. stagflacji).

W tych krajach trudno byłoby znaleźć sytuacje analogiczne do naszej jednocześnie występujących ostrej recesji i wysokiej inflacji. Nie możemy zatem skorzystać z doświadczeń tamtych krajów. Jednak sama logika wydaje się tu narzucać rozwiązanie: jeżeli inflację zwalcza się polityką antyinflacyjną,

2. Nasiłowski M.: „Jak zdynamizować polską gospodarkę” (referat na XVII Zjazd Oddziału Warszawskiego PTE), Warszawa 1993.

flacyjną, recesję — polityką antyrecesyjną, to jednocześnie występujące inflację i recesję można przezwyciężyć tylko przy pomocy polityki łączącej elementy obu terapii. Rozwiązaniem najgorszym byłoby natomiast stosowanie na przemian polityki antyinflacyjnej i antyrecesyjnej, gdyż to mogłoby nie wygaszać, lecz potęgować procesy kryzysogenne.

W świetle dotychczasowych, niezadowolających doświadczeń wydaje się celowe podejmowanie następujących działań dla przełamania wciąż groźących zjawisk stagnacji:

1. Dla przyspieszenia rozwoju i zmian strukturalnych trzeba stworzyć w wybranych dziedzinach wytwórczości możliwości korzystania z preferencyjnych (subsydiowanych przez państwo) kredytów inwestycyjnych i obrotowych (np. dla efektywnej produkcji eksportowej, niektórych podstawowych przemysłów konsumpcyjnych itp.). Decyzje udzielenia preferencji muszą być podporządkowane wymogom strategii rozwoju, nie zaś partykularnym interesom.

2. Politykę pieniężną musi wspierać odpowiednia polityka zatrudnienia, polityka dochodowa i polityka cen. Pozwoli to usuwać ewentualne bariery popytu i będzie sprzyjać likwidacji bezrobocia. Spójność działań w ramach tych różnych polityk jest niezbędna, gdyż nie można oczekiwać, że gospodarka będzie się rozwijać, gdy np. krajowe ceny surowców są zbliżone do poziomu cen światowych, a wynagrodzenia za pracę pozostają na poziomie dziesięciokrotnie niższym, niż w krajach zachodnich.

Trzeba pilnie stworzyć i realizować koncepcję wprowadzenia wymienialności zewnętrznej złotego.

3. Dążąc do stabilizacji cen trzeba hamować występujące ze strony przemysłu naciski na dewaluację złotego, pamiętając, że: a) dewaluacja waluty wywołuje silne pchnięcie inflacyjne nie tylko przez wzrost cen importowych, ale także — nawet w większym stopniu — przez wzrost cen krajowych paliw i energii; b) dewaluacja może prowadzić zarówno do poprawy, jak i do pogorszenia równowagi bilansu płatniczego; c) celom promocji eksportu służą takie środki jak udogodnienia kredytowe, ulgi podatkowe, postęp techniczny, import licencji; celom promocji nie może służyć dewaluacja powodująca z reguły pogorszenie *terms of trade* w kraju dokonującym dewaluacji.

4. W warunkach wysokiej inflacji i głębokiej recesji trzeba

prowadzić politykę łączącą elementy polityki antyinflacyjnej i antyrecesyjnej. Nie można bowiem uzyskać rozwoju bez opanowania inflacji, ani nie można opanować inflacji bez rozwoju.

5. Polityka pieniężna powinna być wspierana przez politykę handlu zagranicznego w drodze zarówno promocji eksportu, jak ochrony rynku krajowego. Bez tego wsparcia nie da się utrzymać równowagi bilansu płatniczego i stabilnego kursu wymiany waluty. Dla ochrony rynku nie należy stosować ceł zaporowych, które prowadzą do szkodliwej autarkii.

6. W polityce kursowej należy systematycznie konfrontować kształtowanie się kursu bankowego złotego w stosunku do walut obcych oraz kursu parytetu siły nabywczej złotego, dążąc do zmniejszania wciąż dużych jeszcze rozpiętości między obu kursami.

5. Prywatyzacja

Dążenie do prywatyzacji gospodarki jest racjonalne. Nie można kwestionować, że gospodarka prywatna jest efektywniejsza od państwowej, chociaż w konkretnych sytuacjach może być odwrotnie. Np. jest wysoce wątpliwe, czy w warunkach lat czterdziestych i pięćdziesiątych wyniszczona i pozbawiona kadr gospodarka Polski rozwijałaby się szybciej w systemie gospodarki prywatnej, niż to miało miejsce w ramach gospodarki uspołecznionej. Jednak uwzględniając już samo to, że dziś działamy w otoczeniu państw posiadających gospodarki prywatne lub prywatyzujące się, przesądza, że kwestionowanie potrzeby prywatyzacji nie ma sensu.

Natomiast można kwestionować z wielu powodów, jak to czyni m.in. w swoim referacie M. Nasiłowski, celowość szybkiej prywatyzacji. W biednej gospodarce, wychodzącej z dwóch głębokich recesji (1979-1982 i 1989-1992), brak jest ludzi dysponujących środkami na wykup przedsiębiorstw. Rozdanie nieodpłatne nawet części tylko majątku narodowego stałoby się źródłem dużego marnotrawstwa i inflacji. Sprzedaż tego majątku na większą skalę oferentom zagranicznym przyniosłaby jeszcze większe szkody, zwłaszcza gdy oficjalny przedstawiciel rządu, minister przekształceń własnościowych, publicznie oświadczał, że przedsiębiorstwa są warte tyle, ile ktoś za nie chce zapłacić. Gdybyśmy kupowali przedsiębiorstwa za granicą, ów minister z równą wobec cudzoziemców uprzejmością przypuszczalnie uważałby, że musimy tyle zapłacić, ile sprzedający sobie życzy.

Do dużej ostrożności w procesach prywatyzacji powinna skłaniać trudna sprawa wyceny wartości zakładu. Pomyłki lub oszustwa popełniane przy tej okazji muszą spotykać się z negatywnymi reakcjami w społeczeństwie, zwłaszcza gdy szczegóły transakcji utrzymywane są w tajemnicy, a do publicznej wiadomości dochodzą tylko odpryski informacji o hutach, cementowniach, fabrykach, czy stoczniach sprzedawanych wg zaniżonych wycen.

Przy sprzedaży akcji zagranicznym kontrahentom duże zastrzeżenia budzi praktyka potrącania od wartości majątku przedsiębiorstwa sumy jego zadłużenia. Przy wysokich zadłużeniach przedsiębiorstw, praktyka ta powoduje, że zagraniczny nabywca wchodzi w posiadanie dużego obiektu za 1/5 lub 1/6 jego rzeczywistej wartości, przejmując obsługę długu na bliżej nieokreślonych warunkach.

Innego rodzaju naruszenie poczucia sprawiedliwości może powstawać, gdy przyjmuje się, że załogi fabryk otrzymują jednolity udział w akcjach swoich przedsiębiorstw, np. 20%, przy czym nie uwzględnia się różnic kapitałochłonności produkcji. Jest oczywiste, że 20-procentowy udział pracowników w elektrowni, może przedstawiać pięć albo dziesięć razy większą wartość, niż taki sam udział 20-procentowy w starej fabryce odzieży, czy gorzelni.

Niezależnie od zastrzeżeń, jakie mogą budzić poszczególne transakcje zakupu przedsiębiorstw przez kapitał zagraniczny, niepokoi również brak jakiegokolwiek informacji o skali tych zjawisk w całości gospodarki. Niezbędne są informacje np. ile wynoszą wpływy bilansu płatniczego w poszczególnych latach z tytułu sprzedaży przedsiębiorstw? Jaki jest udział kapitału zagranicznego w całym przemyśle i w poszczególnych gałęziach? Brak takich informacji grozi powtórzeniem sytuacji, jaka miała miejsce w latach siedemdziesiątych. Wówczas społeczeństwo zostało zaskoczone powstaniem wielkiego zadłużenia wobec zagranicy. Dziś może zostać zaskoczone utratą znacznej części majątku narodowego na rzecz zagranicy. Efekt w bilansie należności i zobowiązań zagranicznych — wzrost zobowiązań — jest podobny.

Dla zapewnienia optymalnych wyników procesów prywatyzacji gospodarki można uznać za wskazane następujące działania:

1. Kapitał krajowy posiada swobodę wyboru gałęzi dla

budowy nowych przedsiębiorstw. Kapitał zagraniczny nie powinien korzystać z równie szerokiej swobody, gdyż zapewnienie możliwości transferu zysków wymaga, aby kapitał ten był inwestowany w gałęziach przyczyniających się do wzrostu eksportu.

2. Prywatyzacja przedsiębiorstw państwowych musi być starannie przygotowana i przeprowadzona z uwzględnieniem interesów całego społeczeństwa, a nie wybranych jego grup.

3. Nie można sztucznie przyspieszać prywatyzacji przez dyskryminowanie przedsiębiorstw państwowych w zakresie podatków, kredytów, możliwości zbytu itp.

4. Ulgi podatkowe można przyznawać — na podstawie ogólnie obowiązujących przepisów — tylko nowo budowanym zakładom. Nie mogą ich otrzymywać istniejące, mimo że podlegają prywatyzacji.

5. Lepsza jest prywatyzacja wolna prowadząca do tworzenia efektywnych zakładów, niż szybka, lecz prowadząca do niegospodarności.

6. Współpraca z zagranicą

Jest prawdopodobne, że kryzys nękający wszystkie kraje Europy Wschodniej, w mniejszym stopniu miał swoje źródło w samych zmianach systemowych, dokonujących się w tych krajach, a w większym stopniu wynikał z nagłego zerwania więzi współpracy gospodarczej, łączących te kraje przez cały okres powojenny. Przemysły tych krajów utraciły tradycyjne rynki zbytu i zaopatrzenia, a nie były zdolne do szybkiego przestawienia się na rynki krajów zachodnich. Te zaburzenia we wzajemnej współpracy były nieuniknione, ale ich skala i konsekwencje chyba nie w pełni przewidywane. Gwałtowne skurczenie się eksportu na rynki wschodnie i jednocześnie ostry spadek popytu na rynku krajowym zmusił przedsiębiorstwa do poszukiwania rynków zbytu na zachodzie. W rezultacie nastąpił w 1990 r. dość nieoczekiwanie wysoki wzrost eksportu (wolumen eksportu ogółem zwiększył się o 13,7%), a wartość eksportu przekroczyła wartość importu, aż o 50,3%.

Za te osiągnięcia zapłacono jednak drogo pogorszeniem się *terms of trade*, które w 1990 r. obniżyły się o 16,7% i w 1991 r. znowu o 8,8% (w stosunku do roku poprzedniego). Niezależnie od problematycznej dokładności aktualnych obliczeń *terms of trade*, ujemny wpływ ich spadku jest niepod-

ważalny. Te dwa wydarzenia — utrata rynków wschodnich i pogorszenie *terms of trade* — stawały w niezwykle trudnej sytuacji polski handel zagraniczny. W tych warunkach podjęcie szokowej metody reformowania handlu zagranicznego w postaci pełnego otwarcia rynku krajowego dla importu było rażąco lekkomyślnością. Ujemne skutki dla polskiego przemysłu i rolnictwa wystąpiły szeroko i są powszechnie znane. Tylko dla ilustracji przypomnę więc podważenie egzystencji krajowej produkcji kombajnów przez bezcłowy import używanych kombajnów z E.W.G. Gdy próbowano ten import obciążyć cłami okazało się to niemożliwe, gdyż podjęliśmy zobowiązanie niepodwyższania ceł, a w punkcie wyjścia obowiązywała stawka celna zerowa.

W świetle tego typu doświadczeń z dużym sceptycyzmem trzeba odnieść się do poglądu L. Balcerowicza wyrażonego w cytowanym artykule: „Fundamenty i nonsensy”, że „Polska otworzyła się na świat po 1989 r. Stało się to — obok szerokiego rozwoju przemysłu prywatnego — główną siłą napędową naszej gospodarki”. Przy pomocy nadmiernie uproszczonych recept można raczej gospodarkę zrujnować, niż zbudować.

Nie negując w najmniejszej mierze korzyści otwarcia gospodarki na świat, ale mając jednocześnie świadomość, że otwarcie to nie może być wynikiem doraźnej decyzji, lecz rezultatem długotrwałego procesu (przypomnijmy, Wspólny Rynek budowano 10 lat, chociaż nie trzeba było zmieniać ustroju gospodarczego), sądzę, że w sferze współpracy z zagranicą należałoby kierować się następującymi przesłankami:

1. W okresie szerokiego otwarcia gospodarki na wymianę z zagranicą najbardziej pilną sprawą jest przywrócenie sprawnej i wiarygodnej ewidencji obrotów zagranicznych. Z różnych powodów utraciły wiarygodność statystyki handlu zagranicznego (z powodu nieudolnego przechodzenia na stosowaną w E.W.G. dokumentację obrotów), bilansu płatniczego (z powodu niemożności statystycznego uchwycenia różnych nowych form operacji i dróg płatniczych) i zadłużenia państwa (którego ewidencja przeszła z istniejącego niegdyś Urzędu Długów Państwa do banków, potem z banków do Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego i „rozplynęła się” w aferach F.O.Z.Z.). W takiej sytuacji oświadczenie ustępującego rządu, że „zostawia gospodarkę w dobrym stanie” trudno będzie merytorycznie uzasadnić.

2. Rozwijając bardzo pożądaną wymianę z krajami E.W.G., trzeba kłaść nacisk na konieczność niesymetrycznego otwierania rynków, ale niesymetrycznego na naszą korzyść, a nie na korzyść naszych bogatych partnerów.

3. Szczególnie wysiłki powinno się kierować na rozwój współpracy z krajami Europy Wschodniej z uwagi na ich bliskość geograficzną, istniejące do niedawna powiązania gospodarcze i podobieństwo sytuacji polityczno-gospodarczej.

4. Rozpad dotychczasowych struktur wymiany z zagranicą wymaga pilnego podjęcia prac nad ukształtowaniem nowej wizji takich struktur i przesłanek długofalowej równowagi bilansu płatniczego.

5. Troska o równowagę bilansu płatniczego wymaga powrócenia do negocjacji redukcji zadłużenia, zwłaszcza, że mimo osiągniętych w tej sprawie porozumień nasze zadłużenie wzrosło do prawie 50 mld dol., a formalne obciążenia naszego bilansu płatniczego z tytułu odsetek przekraczają sumę 4 mld dol. To oczywiście nie zwalnia z poszukiwania wszelkich innych dróg poprawy bilansu płatniczego, np. dążąc do opierania importu postępu technicznego w większym stopniu na imporcie licencji, w mniejszym zaś na imporcie maszyn i urządzeń.

7. Niezbędne rozwiązania instytucjonalne na szczeblu centralnym i w przedsiębiorstwach³

W ciągu czterech lat realizowania reformy gospodarczej wydatnemu obniżeniu uległa sprawność procesów podejmowania decyzji. Na szczeblu centralnym przejawia się to w częstych przypadkach braku decyzji, opóźniania się ich, pojawiania się decyzji sprzecznych lub niewykonalnych itp. Z kolei w przedsiębiorstwach pojawia się zjawisko zwane żartobliwie trójkątem bermudzkiem; polega ono na tym, że wiodące siły w przedsiębiorstwie w postaci dyrekcji, związku zawodowego i przedstawicielstwa załogi, pozostając w ciągłych konfliktach, mogą skutecznie paraliżować działalność przedsiębiorstwa.

Tego rodzaju niesprawności zawsze mogą się zdarzać. Ale są one szczególnie trudne do uniknięcia w warunkach „świe-

3. Tu znacznie wykraczam poza pojęcie czwartego fundamentu L. Balcerowicza; gdy dla niego tym fundamentem ma być „mądrość związków zawodowych”, dla mnie również mądrość innych uczestników procesów decyzyjnych.

żej” demokracji, rozproszenia partii politycznych, nie zawsze życzliwych dla naszych reform pewnych ośrodków zagranicznych, czy po prostu ludzkiej małostkowości. Dokuczliwość tych różnych niesprawności można by znacznie zmniejszyć przez doskonalenie układów instytucjonalnych, wyposażenie ich w klarowne reguły działania i szerokie przy tym korzystanie z doświadczeń zagranicznych. Nie powstawałyby wówczas np. wielodniowe kolejki podróżnych oczekujących na granicach na odprawy celne, nie byłoby zapewne administracji stolicy podzielonej między prezydenta i siedmiu burmistrzów, ani firm zagranicznych zapraszanych do kierowania krajowymi organizacjami gospodarczymi.

Trudności zarządzania w warunkach zdecentralizowanej gospodarki wydają się przemawiać za tym, aby integralną częścią programu gospodarczego uczynić pewne podstawowe regulacje dotyczące sposobu funkcjonowania centrum i przedsiębiorstw, jak np.:

1. Przyjęcie zasady, że pełną odpowiedzialność za gospodarkę ponosi wicepremier (lub premier), który z tego tytułu jest jednocześnie szefem urzędu wiodącego dla spraw gospodarczych (którym to urzędem może być ministerstwo finansów, lub ministerstwo gospodarki narodowej, lub centralny urząd planowania).

2. Ministrowie resortów gospodarczych są zobowiązani do działania w porozumieniu z wicepremierem odpowiedzialnym za gospodarkę.

3. Narodowy Bank Polski ponosi samodzielnie odpowiedzialność za politykę pieniężną z jednym wyjątkiem; w toku przygotowywania i przeprowadzania reformy pieniężnej działalność N.B.P. zostaje podporządkowana wicepremierowi odpowiedzialnemu za sprawy gospodarcze.

4. W przedsiębiorstwie przestrzega się zachowania wyraźnego rozdziału kompetencji właściciela (lub działającej w jego imieniu rady nadzorczej), dyrektora i związku zawodowego. Wymienione strony ponoszą indywidualnie odpowiedzialność za swoje działania, również finansową.

Uwagi końcowe

W opracowaniu tym podjąłem próbę przedstawienia Czytelnikowi, ale także samemu sobie, co powinien zawierać

program gospodarczy, który mógłby przyczynić się do przezwyciężenia wciąż moim zdaniem grożącego (niezależnie od pewnych przejawów rzeczywistego lub pozornego ożywienia) bezwład. Dążyłem do ujęcia wszystkiego, co ważne i pominięcia wszystkiego, co drugorzędne. Główny nacisk został położony na co robić. Często próbuję dać też odpowiedź jak robić, ale czynię to głównie dla celów ilustracyjno-dyskusyjnych, nie zawsze jeszcze będąc w pełni przekonany o słuszności propozycji.

W opracowaniu nie poruszyłem problemu postaw moralnych. Ale w pełni chciałbym się zgodzić z prof. Wacławem Wilczyńskim⁴, że „kluczowym warunkiem jakichkolwiek dalszych sukcesów gospodarczych kraju jest stworzenie klimatu sprzyjającego rozwojowi cnót obywatelskich i ich egzekwowaniu. Do tej pory górujący całokształt stosunków politycznych i ekonomicznych w Polsce nie promuje solidnych, uczciwych, punktualnych i odpowiedzialnych”. Jeżeli zaś tenże autor ma rację, pisząc iż „tylko pozornie paradoksalny jest pogląd, że do upadku cnót obywatelskich przyczynił się totalny charakter walki z komunizmem”, to może wyniki wyborów 19 września 1993 r. powinny napawać optymizmem.

28.9.1993

Stanisław POLACZEK

4. Wilczyński W.: „Cnoty obywatelskie”, *Wprost* nr 35/1993.

Czym jest dla mnie Polska?

Opuściłem Polskę z górą pół wieku temu. Miałem wtedy dwadzieścia lat. Przeżyłem w Polsce szczęśliwe dzieciństwo i lata szkoły średniej w dobrym krakowskim gimnazjum, a następnie Szkołę Podchorążych, Kampanię Wrześniową i pierwszy okres okupacji niemieckiej. Po wojnie, jako zdemobilizowany żołnierz założyłem rodzinę w Anglii i tam ukończyłem studia i po dziesięciu latach wyjechałem do Australii gdzie czekała na mnie oferta kariery uniwersyteckiej. Od tego czasu Australia stała się dla mnie przybraną ojczyzną i bazą do wielu wyjazdów do Europy oraz Ameryki Północnej gdzie mogłem pracować w swoim zawodzie.

Czym jest więc dla mnie Polska zważywszy ogrom odległości czasu i dystansu jaki oddziela mnie od kraju, którego językiem posługuję się na co dzień w rodzinie i którego sprawy pilnie śledzę na łamach przesłanej mi prasy, książek oraz w rozmowach z gośćmi z Polski? Zacznę od twierdzenia, że moja polskość jest dzisiaj czymś niepomernie szerszym i większym niż to, co nieodżałowany Juliusz Mieroszewski—„Londyńczyk” — na łamach *Kultury* paryskiej określał jako „nadwiślańskość” a ja, w mojej pracy naukowej określałam terminem „etniczność”.

Kiedy mówię dziś po polsku mój język jest nasycony, przepojony językiem angielskim, który już tkwi w mojej głowie, „Jeden język relatywizuje drugi” — jak pisała Ewa Hoffman w swojej polsko-amerykańskiej autobiografii pod znamienym tytułem „Lost in Translation: a Life in a New Language”. A podkreślił to dobitnie recenzent tej książki i mistrz sztuki przekładu Stanisław Barańczak pisząc: „Tyle razy się żyje ile się zna języków”. W moim przypadku ta re-

latywizacja języka jak również odległość w czasie i przeszerzeniu rzutuje na to, jak patrzę na Polskę. Dwa aspekty tego „spojrzenia” trzeba tu podkreślić: troska o to, co się dzieje w Polsce, a równocześnie spora doza krytycyzmu w ocenie polskiej historii i terażniejszości.

Z troską patrzę na Kraj — zawsze przez duże K — bo chciałbym aby Polacy naprawdę i już teraz (czy to możliwe?) stanęli na wysokości czekającego ich zadania. I myślę sobie: Kraj zawdzięcza emigracji przetrwanie stałych punktów odniesienia dla narodowej świadomości w okresie minionego półwiecza. Ale czy jest to należycie rozumiane nad Wisłą i w prawym dorzeczu Odry? Bo ja chciałbym aby wzorce zachowań politycznych i kulturowych, którymi przesiąknę uczestnicząc od pół wieku w życiu demokracji brytyjskiej oraz australijskiej, mogły być do Polski przeniesione. I ogarnia mnie szczerą i ustawicznie towarzyszącą mi troską o to, czy takie przeniesienie systemów i wzorców może być kiedyś urzeczywistnione. W tym więc sensie Polska jest dla mnie przedmiotem niepokoju o dobro tego, co w romantycznych wlotach młodości i w okresie konspiracji nazywaliśmy mianem Sprawy, przez duże S.

Krytyczna postawa wobec Polski jest niewątpliwie konsekwencją troski o przyszłość polskiej Sprawy. Przyznaję się, że w pewnym stopniu upraszczam to zagadnienie zakładając, że odzyskanie przez naród swojej podmiotowości doprowadzi szybko do usunięcia wszelkich wynaturzeń charakteru Polaka i naleciałości, które ks. Józef Tischner określił jako *homo sovieticus*. Tak rozumując zapominam o tym, że wszczęty w roku 1989 proces ewolucyjnego przejścia do demokracji musi być przez długi czas kruchy i osaczony wielkimi zagrożeniami. To prawda, ale znów relatywizując moje spojrzenie na Polskę, czy naprawdę nie ma tam miejsca na spokojny, rzeczowy dialog i dyskusję pozbawioną klimatu pogardliwej wyższości i tępej zaciekleści, która ani myśli wysilić się na argumenty, czy na polemikę programową?

W moim socjologicznym spojrzeniu na kwestię mniejszości narodowych, grup etnicznych w skali demokracji zachodniej, sięgam często wstecz przypominając sobie jak Druga Rzeczpospolita nie potrafiła zjednać sobie mniejszości narodowych, które stanowiły przecież jedną trzecią ludności. Pamiętni na krzywdy zadane nam w okresie niewoli, i oślepieni miłością własną, nie widzieliśmy krzywd, które my sami zadawaliśmy Żydom, Ukraińcom, Białorusinom, podobnie jak my pragnącym żyć wolnymi od dyskryminacji z racji swego po-

chodzenia, narodowości czy wyznania. Mówił o tym Jan Nowak-Jeziorański kiedy to w roku 1991 uczestniczył w inauguracji Krajowej Szkoły Administracji Publicznej: „Czy może ostać się naród, który nienawidzi wszystkich dokoła i ma wszystkich przeciwko sobie?”

Chciałbym, aby „patriotyzm bez wrogości” stał się hasłem nowego pokolenia, które wzrasta na ziemiach polskich, i aby tworzące się tam nowe siły polityczne i elity twórcze zrobiły wszystko, aby sprostać temu zadaniu. Mam szczególnie na myśli Kościół w Polsce. Jestem członkiem Kościoła i uważam, że są w nim odpowiedzi na wszystkie najistotniejsze dla egzystencji ludzkiej pytania. Ale równocześnie jednak czuję się dziedzicem dorobku kulturowego i cywilizacyjnego Europy i świata. Próbuję rozumieć ten właśnie szeroko pojęty, wielokulturowy świat i rodzące się w nim konflikty. Dlatego potrzebny jest dialog, rozsądna, rzeczowa dyskusja. Z tego punktu widzenia powtarzam za Jerzym Turowiczem: „Nie należy na siłę chrzcic struktur państwa. To jest antyświadectwo i zaciemnianie obrazu i misji Kościoła”. Dodaję: jest to sprzeczne z postulatem dialogu, w którym posoborowy Kościół winien przodować i wskazywać jako model działania we wszystkich dziedzinach życia dzisiejszej Polski.

W tym właśnie, szeroko pojętym dialogu, Polacy za granicą mają wielkie zadanie w dziele przeniesienia do Kraju zachodnich wzorców dialogu, w którym szuka się płaszczyzn wspólnych, koncyliacyjnych, starając się zrozumieć drugą stronę i jej racje. Ale w tym dziele musi nam również towarzyszyć ustawiczna troska o osłonięcie Polski przed ujemnymi wzorcami zachowań, które płyną z Zachodu. Społeczeństwo konsumpcyjne przeżywa śmierć wszelkiej ideologii co się przejawia w wyzwoleniu jednostek z więzów moralnych, obyczajowych i stąd tragiczne konsekwencje, szczególnie dla rodziny jako podstawowej komórki społeczeństwa w zamorskich krajach Zachodu, które stanowią potencjalną groźbę dla Polski, w miarę jak podnosi się stopa życiowa. Polacy za granicą, których opinii są przedmiotem zainteresowania środków masowego przekazu w Polsce, mogą tu odegrać rolę przy wzmacnieniu podstawowych instytucji wychowawczych jak rodzina, szkoła, harcerstwo i Kościół. Czyni to systematycznie wspomniany już Jan Nowak-Jeziorański, który nie po raz pierwszy daje przykład właściwego postępowania dla pokolenia, do którego ja należę i pokolenia moich dzieci.

Te wszystkie postulaty działania na rzecz Polski, troski o dobro Sprawy, rzeczowej i konstruktywnej krytyki tego co

dzieje się w Polsce i ostrożnego przenoszenia tam zachodnich zachowań politycznych i po części kulturowych sprowadzają się jednak do zasadniczego pytania. Czy Polak za granicą, który chce pracować w tym dziele, nie stanie się ofiarą kulturowej schizofrenii? Czy można żyć — w moim przypadku — w Australii i w Polsce?

Pisze o tym Marcin Król: „W emigracyjnych wierzę Wszystkich Świętych... Jednym ze stałych motywów wszystkich rozmów są niebezpieczeństwa emigracji. Opowiadają jak trudno jest utracić kontakt z własnym społeczeństwem, z własną kulturą, która mówią smaczne owoce wydaje tylko na rodzimej ziemi”. Wspomniany już Juliusz Mieroszewski odpowiedział na to pytanie jednoznacznie pisząc o „Kosmopolakach”. Według tej teorii Polacy zagraniczni muszą wprawdzie wyjść z emigracyjnego getta i stać się wartościowymi członkami społeczeństw krajów osiedlenia. Ja ująłem to nieco inaczej — też na łamach *Kultury* — postulując „asymilację bez wynarodowienia”. Asymilacja — to znaczy doskonała znajomość i przystosowanie się do obcych warunków — w praktyce ułatwia a nie utrudnia podtrzymanie polskości, bo „emigrant-pielgrzym” jest członkiem polskiego getta zagubionym w szerokim świecie a nie Europejczykiem, który zmienił miejsce zamieszkania. Polacy zagraniczni, którzy w coraz większym procencie są ludźmi dwóch kultur, mogą wzbogacić klimat polszczyzny teraz, kiedy mur odcinający nas od Kraju runął.

Chciałbym aby coraz więcej Polaków na emigracji w taki właśnie sposób widziało siebie, zasymilowanych Brytyjczyków, Amerykanów, Kanadyjczyków, Francuzów czy Australijczyków — jako dziedziców czegoś większego niż Polska, bo dorobku kulturowego i cywilizacyjnego Europy i reszty świata. Mam tu na myśli zawołanie Brzozowskiego *storicismo Polacco*, poszukiwanie ideałów uniwersalnych, o których pisze Miłosz, i poczucie historii jako „czasu uniwersalnego”. Jeśli wykorzystamy w pełni naszą duchową i fizyczną przynależność do tak właśnie rozumianego polskiego *universum*, to wówczas spełnimy zadanie jakie w nas, epigonach Emigracji — dziś częście Polonii — pokłada Polska.

Chodzi o wykazanie, że jesteśmy zdolni do przekształcenia ograniczającego nas otoczenia i o zrozumienie istoty współzycia w wielości ludzkiej, w uszanowaniu odmienności. A więc pluralizm jako skuteczna profilaktyka, która zabezpieczy nas przed kulturową schizofrenią.

Jerzy ZUBRZYCKI

Dziennik pisany nocą

Neapol, 5 grudnia 1993

Śliczna Cortona, miasteczko dokładnie na granicy Umbrii i Toskanii, do którego dawniej jeździłem często na krócej czy dłużej, było dla mnie z początku tylko małym skarbcem. Luca da Cortona (Signorelli) oplakujący martwego Chrystusa, Beato Angelico, Brat Anielski, najczystszy poeta *Zwiastownia*, ryneček z średniowiecznym Pałacem Komunalnym i renesansowym *Palazzo del Cristofanello*, oprawa krajobrazu tak piękna, jakby to ona, a nie położenie obronne, natchnęła budowniczych do wzniesienia tu miasta. Z biegiem czasu zauważałem w Cortonie coraz więcej, czego dowodem jest zapis w dzienniku o mojej ostatniej wizycie w roku 1989; targ sobotni, cmentarz tuż obok muru okalającego miasteczko, zaślubiny dwóch religijności, cudownie niebiańskiej Brata Anielskiego i posępnie ziemskiej Łukasza z Cortony. Ale nawet wtedy dostrzegałem mgliście jeszcze sumę składników Cortony, jej charakter zamkniętego universum, mikrokosmosu rzuconego a może zgubionego po drodze przez Stwórcę wśród harmonijnie zrosniętych pól i wzgórz. Właśnie, harmonia jest właściwym słowem w pochwałę miasteczka umbro-toskańskiego. Zewnętrzna harmonia okolicy i wewnętrzna miasta, a także wzmacniana od wieków harmonia murów miejskich z ich zawartością oraz tła aż po linię horyzontu.

Zdażyłem nauczyć się tego, co było istotą życia mieszkańców Cortony od ujrzenia światła dziennego do jego stopniowego wyciemniania u kresu wędrówki ziemskiej. Wędrówki? Raczej krótkiego przejścia, które sznur dni, miesiący, lat czynił powolnym i długim pochodem. Od uklepanego, ko-

listego miejsca przeznaczonego na sobotni targ, przez Plac i wąskie uliczki do małej Galerii z wizerunkami przyszłej Matki i zamężonego Syna; a dalej, już na końcu, do niedzielnego szczególnie spojrzenia z góry na cmentarz, wyrastający wśród drzew u stóp kamiennej obręczy miejskiej.

Moja ostatnia wizyta w kwietniu 1989 związana była z międzynarodowym kolokwium, na które mnie zaproszono w roli słuchacza. Na jaki temat? Tego już nie pamiętam, wszelkie międzynarodowe kolokwia są sieczkarniami, natychmiast po ich zakończeniu wiatr porywa sieczkę i rozwiewa ją w pustym polu. Zważywszy datę, okres ostatnich podrygów komunizmu (*los ultimos podrygos*, jak mawiał Witkacy), „dyżurne” tematy marksizmu i demokracji, marksizmu i kultury etc. mogły już być zastępowane, przy udziale tych samych na ogół prelegentów, przez chrześcijaństwo i demokrację, chrześcijaństwo i kulturę etc. W każdym razie, jeśli zdarza mi się bardzo rzadko uczestniczyć w międzynarodowych kolokwium, mam uczucie że mówcy nie wygłaszają słyszalnych zdań, lecz poruszają bezgłośnie wargami i machają rękami, jak gdyby z ogromną wprawą cięli miarowo słomę. Często przy tym sięgają po szklankę wody, co zdaje się świadczyć o potrzebie ciągłego gaszenia niewidzialnych dla słuchaczy płomieni.

Była sobota, pamiętałem o cotygodniowym targu w Cortonie. Po krótkim i nieodzownym (jakoś przecież należało się odplacić za hotel i wikt) „akcie obecności” zbiegłem po schodach Pałacu Komunalnego i szybko znalazłem się między straganami i kramikami. W Umbrii i w Toskanii targ jest synonimem obfitości, wesołości i rozmowności. Z próżni kolokwium do pełni targu, trudno o większą satysfakcję. Wiedziałem, że około południa, kiedy pustoszeją worki i beczki, kurczą się szynki i sery, znikają prawie wiana kielbas, targ żegna odchodzących na obiad jakimś spektaklem. Przeważnie popisem gimnastycznym, kapelą ludową, albo sztuczkami małp czy innych wytresowanych zwierzaków. Tym razem, nakrywszy skrawek ziemi derką i postawiwszy na niej drewniany kuferek, wystąpił połykacz ognia. Obnażony do pasa, przystojny i zwinny, wyciągnął z kufarka żelazny pręt owinięty na czubku zwilżoną szmatką. Zapalił ją i z nieopisaną zręcznością połykał ogień, jeden za drugim, wypływając je ku wierzchołkom drzew i transparentom wyborczym (zbliżały się wybory). Ognie były naturalnie zimne, gasił je dotyk przedmiotu. Ale coraz większe i efektowniejsze, aż osiągnęły kształt i wymiary ognistych obłoczków. Oklaskiwaliśmy długo

połykacza ognia, na derkę posypały się datki pieniężne, chłopek z kiosku w którym królowała *porchetta* przyniósł mu nadziany płatami prosięcia bochenek chleba.

Dałbym dużo za to, by sztukmistrz targowy (skończyła się epoka cyrkowych głodomorów, opisanych przez Kafkę) stanął na podium dla mówców w sali Pałacu Komunalnego i pokazał szanownemu gremium, prelegentom i słuchaczom, jak połyka się i wypływa ku niebu rosnące wciąż zimne płomienie.

8 grudnia

Lew Szestow w znakomitym, zdumiewająco głębokim szkicu o Dostojewskim (w tomie *Na wadze Hioba*) nazywa „człowieka iz *podpolja*” delikatnie „kaczątkiem”. Dodaje co prawda „brzydkim”, ale czułe „kaczątko” pozostaje, gdy czytelnikowi nasuwałby się raczej obraz szczura kanałowego lub ogromnego (i złośliwego) karalucha z *Przemiany* Kafki, zwłaszcza że sam bohater opowiadania Dostojewskiego mówi o sobie: „jestem robakiem”.

U Szestowa nic nie jest kwestią przypadku czy przejęzyczenia, wszystko podlega rygorom solidnego przemyślenia. *Zapiski iz podpolja* są krótką i genialną uwerturą do całej, *bogoiskatielskiej* twórczości pisarza. Kto w szczurze kanałowym, w ludzkim insekcie rezonującym w „podziemiu”, pokazującym nienawistnie światu „język i figę”, ulepionym z irracjonalnej przekory, pogardzanym i upokarzanym przez otoczenie, odrzucającym „rzekomą prawdę że dwa razy dwa równa się cztery”, widzi tylko wspaniale przedstawionego pokurcza i wyrzutka ludzkiej społeczności, ten przechodzi obok zbeletryzowanego traktatu religijnego, nie podejrzewając co się w błazeńsko-tragicznym monologu kryje. Szestow powiada w pewnej chwili z niezwykłą przenikliwością, że postacie Dostojewskiego nie są żywymi ludźmi, lecz maskami, a za wszystkimi maskami (z wyjątkiem „żywego” Starca Zosimy i „żywego” Alioszy Karamazowa, „żywymi” właśnie w cudzysłowie) chowa się ta sama twarz o różnych wyrazach i wciąż tym samym napięciu poszukiwacza religijnego sensu życia i śmierci, twarz pisarza w „walce przeciw oczywistościom” (tytuł szkicu Szestowa). Także człowiek z podziemia jest maską Dostojewskiego. Lżony, opluwany, chorobliwie przewrażliwiony, ten szczur szydzący z tego do czego po kryjomu wzdycha, zagrzebany w swoim brudnym pokoiku pod

powierzchnią społecznych praw i konwenansów, samozatruwający się własną żółcią, niezdolny do odwzajemnienia czystej miłości, otwiera nowy rozdział w literaturze światowej („w powieści trzeba bohatera, tutaj zaś rozmyślnie skupiono wszystkie cechy charakteryzujące antybohatera”, powiada narrator-monologista *iz podpolja*). Rozdział, w którym „antbohater” pod powłoką ugniatającej go rzeczywistości tęskni w skrytości ducha do „drugiego wzroku”, do „drugiego wymiaru czasu”. I „drugim wzrokiem”, w „drugim wymiarze czasu”, zobaczy że „nie można kochać ludzkości, nie wierząc w nieśmiertelną duszę”; i że „cierpienie jest jedynym źródłem świadomości”. Świadomości, która to odpycha i przeraża, to przyciąga jak światło w mroku.

Szestow wprowadza naraz, porzuciwszy na chwilę analizę powieści Dostojewskiego z *Zapiskami iz podpolja* na czele, sławnego historyka chrześcijaństwa, profesora von Harnacka. Von Harnack dysponuje tylko jednym wzrokiem i jako historyk jest przekonany, że istnieje jeden tylko wymiar czasu. W *Historii dogmatów* dochodzi do wniosku: „Nie było nigdy wiary religijnej, choćby najsilniejszej, która w decydującym momencie czerpałaby swą moc wyłącznie z własnych rezerw, która nie musiałaby się oprzeć na władzy zewnętrznej”. I w odsyłaczu wyznaje: „Konstatuję fakt, nie mam nadziei znalezienia jego ostatecznego wytłumaczenia”.

„Boga nie da się pokazać. Nie można szukać Boga w historii”. Takie było, według Szestowa, najgłębsze przesłanie Dostojewskiego. Zdradził je w *Dzienniku pisarza*, potwierdzając jakby myśl von Harnacka o „władzy zewnętrznej”, bez której nie potrafi przetrwać żadna wiara religijna. Z żalonymi wynikami. Dostojewski „prorok”, posłuszny tradycji prawosławia, nazywał po słowianofilsku Rosję najswobodniejszym krajem na świecie; krajem, który wkrótce zdobędzie Konstantynopol, który *nigdy* nie utworuje drogi walce klas, gdy tymczasem zachodnia Europa utonie w krwawym morzu konfliktów społecznych, wzywając rozpaczliwie na pomoc swego potężnego sąsiada na Wschodzie. Szestow, admirator Dostojewskiego, cytuje ze smutkiem, wyraźnie zażenowany, te bałamuctwa w latach dwudziestych naszego stulecia, wyrzeka się jednak konkluzji. A brzmiałaby ona tak: wielki pisarz, autor *Biesów* i *Braci Karamazow*, posiadacz „drugiego wzroku” w uporczywym krążeniu wokół Boga, przykłęka oto i z opuszczonymi pokornie oczami całuje pierścień Wielkiego Inkwizytora.

11 grudnia

Pasjonująca, dobrze udokumentowana i inteligentna jest książka Michała Komara *Prośba o dobrą śmierć*. Kontynuuje do definitywnej już chyba kropki poprzednią książkę tegoż autora *Czarownice i inni*. Komar stał się doktorem (anielskim?) demonologii i stregonologii (od włoskiej czarownicy *strega* i czarownika *stregone*), swoją historyczną znajomość przedmiotu przeciąga do naszej epoki, podsuwając czytelnikowi ważne pytanie: wyzionęły nareszcie plugawego ducha stare czarownice, zgasły płonące stosy, diabeł-emeryt z odrąbanym ogonem, spiłowanymi rogami, z kopytkami po poranym seansie u pedikiurzysty i z cygarem w zębach, uperfumowany i tysy, buja się w fotelu zagłębiony z ironicznym uśmiechem w lekturze Goethego, Dostojewskiego, Tomasza Manna, Bułgakowa? Ja odpowiedziałbym na to pytanie tak: literacki, symboliczny diabeł żyje i żyć będzie wiecznie, bo jest synonimem wiecznego Zła, niech wam więc nie zamydla oczu swoim emerytalnym wyglądem, co więcej — wzmógł swoją działalność w innych postaciach, bardziej dostosowanych do współczesności bez tradycyjnych rekwizytów w rodzaju kopytek i rogów; natomiast historyczny diabeł Komara, w otoczeniu czarownic i na tle płonących stosów, podlega modernizacji zależnie od okoliczności historycznych. Komar doskonale pokazuje jego przenikanie z zamierzchłej zdawałoby się przeszłości do naszych czasów.

We wstępie Kołakowskiego do polskiego wydania *Czarownicy* Micheleta istotne jest zwięzłe sformułowanie głównej intencji historyka francuskiego: „Nie diabeł jest sprawcą ludzkich nieszczęść, ale ludzkie nieszczęścia są źródłem diabła”. Kołakowski powiada: „Stwierdzenie skromne i niepretensjonalne, nieoryginalne już w czasach Micheleta, na pozór przynajmniej”.

Z pewnością myśl Micheleta jest bliska Komarowi. Trzeba tylko bardzo rozszerzyć „ludzkie nieszczęścia”, aby za Micheletem znaleźć klucz do erudycyjnych dociekań Komara. „Ludzkimi nieszczęściami” są nie tylko zaburzenia psychiczne jednostek, seksualne udreki zakonnic i księży, epidemie, plagi, wojny religijne, ale także różne formy despotyzmu. I właśnie dlatego Komar bez trudu, z absolutną dezynwolturą, przeskakuje od starych dokumentów na temat sabatów czarownic do ich imitacji (a czasem wprost kopii) hitlerowskich i sowieckich.

Trudno niekiedy uwierzyć jak demonologiczne epizody z dawnych wieków powtarzały się za naszego życia. W swoim czasie przeglądałem książkę Jacoba Marcusa *The Jew in the Medieval World* i wypisałem z niej w moim dzienniku historię Agimeta i historię Elviry del Campo. Agimet, genewski Żyd, w okresie dżumy z roku 1348 torturowany był jako diabeł wysypujący do napotykanym w podróży studni woreczki trucizny (czy zarazków dżumy). Chodziło, rzecz jasna, o ówczesną stonkę ziemniaczaną (żeby się posłużyć demonologiczną wyobraźnią polskich komunistów). W roku 1568 Elvira del Campo z Toledo, która pochodziła od strony matki z rodziny *marranos* lecz od strony ojca była „czystą” chrześcijanką i miała męża „czystego” chrześcijanina, została rzekomo przyłapana na uprawianiu po kryjomu „praktyk żydowskich”. Torturowano ją i skazano na trzy lata więzienia w żółtym *sambenito* i na konfiskatę mienia. Sądono ją za „dwulicowość czarownicy”. U schyłku rządów komunistycznych w Polsce nasz domorosły Inkwizytor książd (dziś biskup) Alojzy Orszulik zarzucił „diabelską dwulicowość” przywódcom KOR, którzy byli według niego w rzeczywistości trockistami podającymi się za polskich patriotów. I domagał się wyrzucenia Kuronia i Michnika z Polski (nie mieli niestety żadnego mienia do konfiskaty).

14 grudnia

Z listu Jerzego Stempowskiego do mnie: „W mojej młodości był zwyczaj, że gdy młody człowiek dostał od pięknej damy choroby wenerycznej, szedł do niej z wielkim bukietem, aby jej to delikatnie dać do zrozumienia, ale dziś nie ma więcej takich chorób, ani takich dam, ani takich młodzińców, ani takich zwyczajów”. Galanteria posunięta stanowczo za daleko. A w mojej młodości, w latach poprzedzających wybuch drugiej wojny światowej? W moich rodzinnych Kielcach wydano książkę zbiorową o moim pisarstwie, pod redakcją Ireny Furnal i Jana Paclawskiego. Serię bardzo interesujących szkiców zamyka wspomnienie mojego kolegi szkolnego, Franciszka Zyguły. Znalazłem w nim drobiazg, o którym zupełnie zapomniałem: „Przypominam sobie, jak starsi koledzy szkolni poznali G. z dwiema „wesołymi pannami”, bardzo życzliwymi dla młodych uczniów. Były to siostry, nazywano je „Alinkami”. Starsi koledzy nigdy im się nie kłaniali na ulicy, przechodzili obok, udając że ich nie

znają. G. był jedynym, który przy każdym spotkaniu z nimi zdejmował z głowy uczniowską czapkę i kłaniał się szarmancko. Pewnego dnia koledzy namówili „Alinki”, aby w niedzielę po nabożeństwie, kiedy główna promenada Kielc, ulica Sienkiewicza, pełna była spacerujących, „przypadkowo” spotkały się z G. koło jego domu. „Alinki” wyszły naprzeciw G. i ku zdziwieniu wszystkich obserwujących tę scenę kolegów G. — jak zawsze — zdjął uczniowską czapkę z głowy i elegancko uklonił się mijającym go siostrom”.

W mojej więc młodości akt zwykłej grzeczności uchodził już za dowód nadzwyczajnej, wyzywającej śmiałości. Najpierw stopniowo, a potem coraz szybciej (po wojnie z szybkością błyskawiczną) stosunek do kobiet nasykał brutalizacją, często chamstwem. Historycy obyczajów postąpią słusznie, biorąc to pod uwagę jako jeden ze składników agresywnego, niekiedy wręcz napastliwego i opętanego feminizmu. Wczoraj przystanąłem w parku miejskim obok wiecu neapolitańskich feministeł. Ich przywódczyni wygłosiła płomienną mowę, okraszoną obficie gestykulacją; wynikało z niej m.in., że ślubny mąż powinien każdorazowo opłacać spełnianie przez ślubną żonę „rzekomych obowiązków małżeńskich” (jej słowa). „Jesteśmy wolne — wrzeszczała przystojna zresztą kobieta o wyglądzie urzędniczki pocztowej lub ekspedientki sklepowej — zarabiamy na życie jak nasi mężowie. Więc wszystko co ekstra...”. Zamyśliła się i dodała uspokajająco: „Chyba że chodzi o pierwsze dziecko”. Dobre i to, skoro nie zanoszą się na powrót do stęchłych, staroświeckich czasów.

17 grudnia

Chętnie godzę się z twierdzeniem Milana Kundery, że dwa powieściowe arcydzieła *Tristram Shandy* Sterne'a (kongenialny przekład polski Krystyny Tarnowskiej) i *Kubuś Fatalista i jego Pan* Diderota odsłoniły ogromne możliwości ludyczne gatunku, dowiodły że powieść może być grą, zabawą, z nieograniczoną swobodą wynalazków formalnych. *Tristram* i *Kubuś* okazali się jednak niepowtarzalni, bez potomstwa czy choćby naśladownictwa (co prawda sam Diderot zawdzięczał sporo Sterne'owi), jakkolwiek Kundera ustala ogólnikowy „ciąg” od *Don Kichota* do *Toma Jonesa*, od *Ulissesa* do *Ferdydurke*. (Nie od rzeczy będzie zaznaczyć tu, że jedna z pierwszych przedwojennych recenzji z powieści Gombrowicza, moja, nazywała się *Zabawa w Ferdydurke*, a współczesna książ-

ka Jerzego Jarzębskiego o naszym klasyku nazywa się *Gra w Gombrowicza*. Szkoda tylko, że mądrym uwagom Kundery o jego ukochanym *Kubusiu* towarzyszą jego głupie uwagi o literaturze rosyjskiej, zwłaszcza o Dostojewskim. Na szczęście można je w lekturze przeskoczyć, jak na to w pełni zasługują, traktując je co najwyżej jako jeszcze jeden przykład częstej jednostronności świetnych inteligencji.

Kundera trafnie podkreśla, że to co Anglosasi nazywają *rewriting*, a co w różnych okolicznościach przybiera postać „przeróbek”, „adaptacji”, „redukcji”, „nowych transkrypcji”, odznacza się absolutną niemożnością w stosunku do arcydzieł literatury. Więcej nawet — dałaby się ukuć reguła, że im większe arcydzieło, tym większy stawia opór wszelkim zabiegom „redukcyjnym” czy „adaptacyjnym”, a rzadkie udane zabiegi tego rodzaju świadczą niezbitnie o mierności tekstu oryginalnego. Natomiast Kundera robi wyjątek dla „wariacji”, przypominając że nie pogardzał nimi czasem sam Szekspir. Po tym wielkim przykładzie łatwiej przedstawić czytelnikowi, lub widzowi, „wariację” Kundery na temat *Kubusia*, która jest równocześnie jego trzyaktowym „holdem” złożonym Diderotowi. Okropnym, żenującym, rodem z teatryku bulwarowego. Kundera przytacza okrzyk Pana z powieści Diderota, w cichej zapewne nadziei, że nie stosuje się do niego: „Niech do diabła idą wszyscy, którzy pozwalają sobie na nowo przepisywać to, co zostało już napisane! Trzeba im wyciąć jaja i obciąć uszy!”. Obawiam się, że ta podwójna operacja grozi czeskiemu autorowi *Kubusia* i jego *Pana*.

20 grudnia

Czternastostronicowy list od pana Wojciecha Cabaja, który deklaruje się jako mój uważny czytelnik. Co nie przeszkadza (i jest to zupełnie naturalne), że moja *polemiczna* odpowiedź musiałaby być równie długa, jeśli nie dłuższa, nie zgadzam się bowiem z większością tego co autor listu pisze. Nie mam jednak na odpowiedź ani czasu, ani (szczerze mówiąc) ochoty. Jeden tylko punkt zasługuje na wyłowienie — sprawa i aktualna wciąż (lub jeszcze?) i bardzo dla nas istotna. Sprawa Solidarności.

„Można odnieść wrażenie (czytam w liście), że naród polski zwariował i wypiera się wszystkiego, o co czterdzieści pięć lat walczył z komunizmem. Najsmutniejszym przykładem tej aberracji psychicznej jest zaprzęgnięcie wobec Solidarności...

Dziedzictwo duchowe i znaczenie polityczne Solidarności nie tylko nie zostało wykorzystane, ale jest niszczone z taką zjadłością, jakby było największą hańbą w naszych dziejach”.

Z listu zatem wynika, że „zaprzęgnięcie wobec Solidarności” zamieniło się stopniowo w operację jej „zajadłego niszczenia”, w której brały i nadal biorą udział przeróżne wrogie siły, rodzime i zagraniczne. „Zaprzęgnięcie” łatwo uzasadnić na przykładzie Bujaka, z jego tyleż głośnym co głupim „przepraszam za Solidarność”, oraz sławetną i lekko błazeńską sprzedażą legitymacji członkowskiej na licytacji publicznej, którą zorganizowała... pani generałowa Kiszczakowa (oba wysoki Bujaka zasuflowali mu prawdopodobnie jego mentorzy z saloników warszawskich). Ale „zajadłe niszczenie” należy zastąpić słowem *harakiri*. Solidarność została zmuszona do popełnienia *harakiri*. Było do przewidzenia, że ten wspaniały, milionowy ruch współdziałania całego społeczeństwa, solidarności właśnie, nie przetrwa długo w pierwotnej formie po osiągnięciu postawionych sobie celów. Ale nie było do przewidzenia, że zostanie błyskawicznie podeptana i doprowadzona do absurdu *zasada*, ta zasada która choćby w formie legendy, mitu, miała się stać fundamentem wolnej, niepodległej, demokratycznej Polski. Bo cóż rozegrało się na naszych oczach? „Elity” Solidarności oderwały się od swojego społecznego zaplecza w balonie stratosferycznym i zabrały się żwawo do rządzenia, pojętego jako niekończąca się seria gier, podkopów, wyrywania sobie stołków, poddawiania nóg, wazeliniańskich umizgów w duchu „grubej kreski”, „machiawelicznych” manewrów, „partyjnego” skakania sobie do oczu i gardeł. To było *harakiri* Solidarności: wielki ruch społeczny zaczął znikać z pola widzenia, niewiele brakowało by jego „elitarna” korona wskrzesiła z przeszłości takie określenia jak „tępy robot”, „durny kmiotek”. Aż doszło, w prostej linii od prezydentury RP Jaruzelskiego, do 19 września. Włodzimierz Bolecki pisze (w liście do mnie): „Ugrupowania wywodzące się z Solidarności przyczyniły się do zwycięstwa postkomunistów arogancją i lekceważeniem ludzi”. Kuroń powiada: „W wyborach wrześniowych społeczeństwo przypięcztowało ostateczną klęskę Solidarności”. Trzeba to sformułować trochę inaczej i ściślej: „W wyborach wrześniowych obóz Solidarności poniósł klęskę z rąk lekceważonego społeczeństwa”.

Przeczytałem klasyczną pod tym względem książkę Zdzisława Najdera *Jaka Polska*. Jej podtytuł brzmi *Co i komu doradzałem*, są to więc wspomnienia zawodowego „do-

radcy” (który jednak przyznaje się niekiedy otwarcie do tęsknego zerkania na fotel premiera, albo przynajmniej ministra SZ). Na blisko czterystu stronicach Najder zdaje skrupulatnie i drobiazgowo sprawę ze swoich politycznych zagrywek, niezliczonych spotkań i konwentykli, „sugestii”, komitetów i klubów, brulionów przemówień dla zwierzchników, niezbyt fortunnego kręcenia się koło Wałęsy, „błyskotliwych” pomysłów, sporów czy kłótni — słowem gorączkowej i niestrudzonej działalności w balonie stratosferycznym, który oderwał się od społecznego zaplecza Solidarności i poszybował wysoko, wysoko, zwykły obywatel już go gołym okiem nie dojrzy. Dopiero pod koniec wspomnień natknąłem się na zdanie: „Mówię Janowi (Olszewskiemu) o niewykorzystaniu przez nas możliwości — i niespełnieniu obietnicy (sic!) — nawiązywania kontaktów ze społeczeństwem”. Wszechstronny i wszędobylski „doradca”, twórca PPN, maniak społecznej „służebności”, zauważył nareszcie (parafrazując rosyjskie powiedzonko) Słonia. Dzięki mu i za to. Ale od książki zatytułowanej ambitnie *Jaka Polska* wolno było oczekiwać więcej. Tymczasem wieje od niej pustką rozpędzonej, niepohamowanej i jałowej „operatywności” za kulisami tzw. „sceny politycznej”.

Czytając książkę Najdera, przypomniałem sobie wywiad Teresy Torańskiej z Janem Krzysztofem Bieleckim, na który Jerzy Giedroyc oddał (rzecz u niego rzadka) aż pięćdziesiąt stronic *Kultury*. Ten sam „operatywny” żargon, łącznie z opisem bezustannych politycznych rozgrywek, choć Bielecki był dość długo premierem i mógłby powiedzieć coś ciekawszego i ważniejszego o rządzonej przez siebie kraju. Napisałem to na łamach *Rzeczpospolitej*. Bielecki zatelefonował do mnie (był już wtedy tylko ministrem) z pretensją, że mu „dokopałem”, jemu — pilnemu przecież czytelnikowi moich książek. Starłem się w rozmowie telefonicznej wyjaśnić o co mi chodziło. Nie był głuchy na moje argumenty. Może po prostu wyobrażał sobie „politykę” tak jak Najder — wyższą szkołę jazdy figurowej na lodzie w społecznej próżni...

22 grudnia

Spór dwóch duchownych w Krakowie. Dylemat jest z grubsza taki: czy prawdziwy katolik może być kapitalistą? Dylemat o wielkim w Polsce znaczeniu, zaprzętnął również strapioną uwagę kardynała Ratzingera, toteż niezbyt ładna i

odrobinę niegrzeczna jest może moja odruchowa asocjacja. Odżyła mianowicie w mojej pamięci anegdota, też krakowska, którą bardzo lubił Boy-Żeleński.

Przyjeżdża do Krakowa po północy Żyd w średnim wieku, w kapocie i z pejsami. Dowiaduje się, że na następny pociąg do celu podróży musi poczekać kilka godzin. Siada w poczekalni dworcowej, próbuje się zdrzemnąć, ale czuje nagle przyływ męskich pragnień. Wyprawia się więc na Planty. Pusto tam o tak późnej godzinie, chodzi i chodzi, wreszcie spotyka samotną prostytutkę. Zwraca się do niej z niedwuznaczną propozycją. Kobieta w krzyk: „Ach, ty parszywy Żydzie, jak śmiesz zaczepiać dobrą katoliczkę!”. Wysłuchuje pokornie i odpowiada pytaniem: „A gdzie ja o tej porze znajdę protestantkę?”.

Gdzie polski kapitalizm znajdzie, zgodnie z *Etyką protestancką i duchem kapitalizmu* Maxa Webera, polskich protestantów?

25 grudnia

Herzen, jeden z największych pisarzy rosyjskich. Isaiah Berlin stawia *Byłoję i dumy* (po polsku chyba *Minione i myśli*) obok *Wojny i pokoju* Tołstoja, Dostojewski uważał Herzena przede wszystkim za poetę. Na ogół publicystyka, dzieło *Kołokoła*, przesłania wspaniałe piarstwo Herzena. Pod jednym przewyższał współczesnych mu mistrzów prozy: był pisarzem bardzo mądrym (nie tyle myślicielem, co mądrym pisarzem); Berlin nie waha się mówić o jego „geniuszu filozoficznym”, choć nie był przecież filozofem, a sławne księgi filozoficzne traktował z rezerwą i z lekkim odcieniem ironii. Jak bardzo byłby dziś potrzebny Rosji nowy Herzen! Solżenicyn to za mało. Potrzebny jest Rosji pisarz dalekowzroczny, wybiegający poza granice coraz bardziej obłąkanych harców politycznych na post-komunistycznym „cmentarzysku idej” (słowa Broniewskiego przed *Słowem o Stalinie*).

Właśnie dalekowzroczność uderza w twórczości Herzena. Jego refleksje na innym „cmentarzysku idej”, po roku 1848, w tomie *Z tamtego brzegu*, książce którą w dedykacji dla syna nazwał swoim najwyższym osiągnięciem, przekreślają wszystkie „izmy”, współczesne mu, późniejsze i przyszłe. Czytając Herzena, rozumie się lepiej, jak mądry pisarz, wolny od pokus doktrynerstwa i abstrakcji, czuje i widzi nadchodzące epoki, jak wydobywa ich zarodki z otaczającej

go rzeczywistości, którą umie zobaczyć i osądzić z nadzwyczajną przenikliwością. Poganiany prozatorską swadą ostro- a nawet jasnowidza, nie odmawiając sobie bogatej ekspresji obrazowej i metaforycznej, pędzi przed siebie w *nasze* już czasy, jakby udało mu się rozerwać pęta historii.

Blisko półtora wieku temu Herzen, otrząsnąwszy się z nikłych zresztą naleciałości romantyzmu, uderzył gwałtownie w dogmat lewicy (i prawicy) europejskiej, nakazujący złożyć ofiarę na ołtarzu ideałów kolektywnych — Narodu, Demokracji, Równości, Ludzkości, Postępu — kosztem „przesądów” jednostkowych. Nie ma abstrakcyjnej Wolności (zapewniał), jest człowiek wolny; popełniają ciężki błąd ci, co przedstawiają go jako bezsilną igraszkę sił natury, lub drobinową cząstkę wielkich procesów historycznych — heglowskiego „szlachtuza historii” — poświęcaną w imię Przyszłości, w imię mglistych celów jutra, które dopuszczają rzeź tysięcy dla uszczęśliwienia przyszłych milionów. Człowiek („monada”) może być wolny, odpowiedzialny za swoje wybory, twórczy, przywiązany do swojej moralności, jeśli zachowa indywidualność w obliczu zachłannych i dzikich „mas”, odrzuci groźne złudzenie „dalekich celów”, bronić będzie do upadłego własnej godności. Herzen, który nie ukrywał swych sympatii do socjalizmu, wzywał rosyjskich przyjaciół, by pamiętali że „czapka frygijska” czy czerwony sztandar jest tym samym co „splamiony krwią” miecz klasy panującej. W romantycznym pesymizmie dostrzegał zaczął nihilizmu (i dodajmy: przyszłego faszyzmu); wiedział też, że komunistyczna rewolta mas przerodzi się w straszną krwawą łaźnię. Nie kochał „uciemżonych mas”, myślał o nich z lękiem, ale jednocześnie oburzenie moralne dyktowało mu żądanie sprawiedliwości. Przestrzegał przed oślepiającym działaniem „rozwiązań generalnych” („Ideały, konstrukcje teoretyczne, nie urzeczywistniają się nigdy tak, jak zostały poczęte w naszym umyśle”), twierdząc że sens mają wyłącznie rozwiązania specyficzne i partykularne. Nie znosił pytań w rodzaju „jaki jest cel życia?”. I tu mądry Herzen, którego więcej niż podziwiam, wydaje mi się przesadnie i programowo wręcz zamknięty na wszelkie problemy metafizyczne, jak gdyby nieprzenikalny dla szczątkowych choćby uczuć religijnych.

W rozdziale zatytułowanym *Epilog 1849* trafiłem na myśl o niezwyklej aktualności w Europie uwolnionej od komunizmu w roku 1989: „Śmierć obecnych form życia społecznego powinna cieszyć raczej, niż skłaniać do niespokojnej za-

dumy. Rzeczą straszną jest jednak to, że świat który odchodzi nie zostawia spadkobiercy, lecz ciężarną wdowę. Między śmiercią jednego i narodzinami drugiego upłynie dużo wody, upłynie długa noc chaosu i pustyni”. O czym wiemy równie dobrze w kończącym się roku 1993, jak on wiedział w roku 1849.

30 grudnia

Pociąg wjechał na stację z czterdziestopięciogodzinnym opóźnieniem, sapiąc ciężko i wlokąc za sobą pod kołami dwie żółte wstęgi dymu. Dzień był mroźny, ale nareszcie słoneczny, po tygodniach wilgotnej szarżyzny. Drzwi wagonów były zablokowane, należało opróżnić najpierw wagon zamieniony podczas podróży na szpital. Wyniesiono z niego zwłoki czworga starych ludzi do kaplicy dworcowej; oraz sporą ilość chorych kobiet i dzieci do ambulatorium dworcowego. Pasażerowie tłoczyli się na korytarzach wagonów, obok drzwi wyjściowych i unieruchomionych okien. Podniecał ich widok wody w małych fontannach na peronie i wózków z gorącymi napojami; pragnienie i ziąb w nieogrzewanych na skutek awarii wagonach dochodziły do szczytu. Matki szybko przebierały opatulone dzieci, mężczyźni zdejmowali dodatkowe swetry i skarpety. Naraz popłynął głos z głośnika przymocowanego do okna kabiny nad torami i peronami: „Mówi zawiadowca stacji. PRZEPRASZAMY wszystkich pasażerów, którzy doświadczyli niewygód w podróży. Z tajnych, niemożliwych do ujawnienia, przyczyn zmuszeni byliśmy zatrzymać pociąg w szczerym polu, a nie na stacjach na trasie przejazdu. PRZEPRASZAMY więc za ogromne spóźnienie, które spowodowało wyczerpanie się żywności i napojów w bufetach pociągu, oraz uszkodzenie przewodów cieplnych. Prosimy pasażerów, by nie zgłaszali zażaleń i nie domagali się zwrotu pieniędzy wydanych na bilety, nie mówiąc już o odszkodowaniach i innych formach zadośćuczynienia. Jeśli spotkały ich krzywdy i mimowolne niegodziwości ze strony Kolei Państwowych, niech uważają je za ofiarę złożoną na ołtarzu naszej wiecznie zagrożonej Ojczyzny. Jednym z podróżnych jest znany wszystkim publicysta i były Poseł do parlamentu. Proszę go do siebie na chwilę rozmowy”.

Istotnie z salonki wyszedł Pan Poseł i żwawym krokiem poszedł w stronę windy, która miała go zawieźć do kabiny

zawiadowcy. Od progu kabiny krzyknął: „Brawo, panie zawiadowco, pięknie i wzruszająco przeprosił pan pasażerów”, po czym wyczałował go siarczyście z dubeltówki. Zjechali obaj na peron po krótkiej rozmowie, zespoleni w przyjacielskim uścisku. Przyjął ich burzą oklasków tłum pasażerów, wypuszczonych wreszcie z wagonów.

Zawiadowca stacji przyglądał się tej scenie uśmiechnięty, lecz nie był to uśmiech tylko zadowolenia, raczej uśmiech w którym ironia przeplatała się z cynizmem. Znał niezłe niemiecki, przypomniał sobie nagle określenie *Narrenschiff* — okręt szaleńców. Mruknął pod nosem: „Istnieje, jak widać, także *Narrenzug* — pociąg wariatów”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 462 — CZESŁAW MIŁOŚZ

ROK MYŚLIWEGO

Nowy tom prozy Czesława Miłosza ma zasadniczo konstrukcję dziennika, prowadzonego przez jeden rok: 1986/87. Są to jednak dość umowne ramy, ponieważ autor sięga pamięcią do różnych, niekiedy odległych wydarzeń swojego życia, przedstawiając zarazem pasjonujące portrety swoich współczesnych w formie zwięzłych esejów lub opowieści. Tym samym ten szczególny dziennik zbliża się do autobiografii, a zarazem przenikliwego wizerunku epoki.

Osobisty w tonie, niekiedy polemiczny, czasami zaskakująco szczery, jest „Rok myśliwego” bodaj najbardziej prywatną książką w dorobku poety, dostarczając wielu autokomentarzy do jego twórczości i życia.

Str. 288

Cena F. 145,00

Biegun magnetyczny

W przedmowie do książki kucharskiej, napisanej przez jego żonę Jessie, Conrad stwierdził, że jedynie dzieła z zakresu gastronomii nie są moralnie podejrzane: ich celem jest bez wątpienia dobro ludzkości.

Z jednego przynajmniej punktu widzenia wolno przykładać do dzieł literackich probierz moralny, na ogół chwiejny, staroświecki, zawłaszczony przez kościoły i polityków — a to oceniając zgodność przesłania powieści z własnymi przekonaniami autora. Własnymi, podkreślmy to. Jest to probierz zbyt prymitywny dla teoretyków, ale nie dla czytelników: literatura XX-wieku okazała się pełna utworów, napisanych jakby przez tego sławnego w P.R.L. sołtysa, co to własne zdanie miał, tylko się z nim nie zgadzał.

Przez parędziesiąt lat użeraliśmy się z cenzurą, dowodząc, że nie podlegają jej opinie wyrażone w dziełach artystycznych, bo przestają tam znaczyć, co znaczą. Była to argumentacja mało skuteczna i, co gorsza, bałamutna. Przyznajmy, że poglądy autora są nie byle składnikiem, ale ważną sprężyną utworu. Owszem, z kiczu sprężyna sterczy. Oczywiście, żadnych kazań. Hermetycy i strukturaliści mają wszelkie prawo do poddawania tzw. formy i treści książek oderwanej analizie, z tym nie ma kłopotu. Nas obchodzi tutaj nie treść, nie forma, nie propagandowy zamiar, lecz realna funkcja książki wśród czytelników. Założmy tedy, że opinie polityczne i sądy moralne artyści miewają czasem pewien wpływ na odbiorcę. W Polsce kilku pisarzy zbudowało cały kościół mitów i narodowych iluzji, wciąż tłumnie uczęszczany.

Dzieło Conrada, powiada Michał Komar, „jest tworem rozumu, który chciałby wytrwale kolekcjonować przykłady

potwierdzające słuszność przyjętych przezeń z góry założeń światopoglądowych...". Spróbujmy wyjaśnić dalej, jakie to były założenia i dlaczego nie powinniśmy wcale się martwić, jeśli ktoś się nimi przejmie. To się zdarza.

Ksiądz infułat Walerian Meysztowicz, niegdyś huzar ziemski, a potem wachmistrz 13-go pułku ułanów wileńskich, powiedział któregoś dnia, patrząc z okien watykańskich na rozruchy studenckie: „Panie, jak tak dalej pójdzie, to trzeba będzie kamień po kamieniu odbudować Bastylię”.

Nie sądzę, aby Conrad chciał na tej budowie podawać cegły. Oczywiście nie z szacunku dla rewolucji. Zżywał się na sam dźwięk takich słów, jak „przewrót rewolucyjny”, a nawet „postęp”. Pisał ze wstrętem o „gwałcie, zbrodni i uniesieniach rewolucji francuskiej”. Ale wyróżnik jego przekonań określił najcelniej Bertrand Russell, w czarującym wspomnieniu, zawartym w tomie „Portraits from Memory”.

„Poglądy Conrada były bardzo nienowoczesne. W świecie współczesnym wpływ mają dwie filozofie: jedna, której ojcem jest Rousseau, odrzuca rygory, jako zbyt techniczne. Druga, która swój pełny wyraz znajduje w totalizmie, uznaje tylko rygory narzucone z zewnątrz. Conrad uważał, w myśl tradycji dawniejszej, że rygor, dyscyplina musi być wewnętrzna. Gardził niedyscyplinowaniem, ale nienawidził dyscypliny jedynie zewnętrznej”.

Jest to osąd moralny i już widać, że płyną z niego wnioski polityczne.

Antypatie częściej decydują o naszych tendencjach politycznych, niż wizje świetlanej przyszłości. Otóż sam Conrad swoje tendencje określił dość wyraźnie i to w przedmowie do najbardziej tendencyjnej ze swoich powieści — „In the western eyes”: „To okrucieństwo i głupota rządów autokratycznych, odrzucających wszelką praworządność i w gruncie rzeczy uznających za względne wszelkie zasady moralne, wywołują nie mniej głupią i dziką reakcję całkiem utopijnego rewolucjonizmu, który oddaje się niszczeniu nie przebijając w środkach — w tej dziwacznej wierze, iż w ślad za upadkiem istniejącego porządku musi przyjść zasadnicza przemiana ludzkich dusz”.

W ten sposób zbliżamy się do sedna sprawy: Conrad dziś wydaje się pisarzem coraz bardziej na czasie nie dlatego, że opublikował trzy powieści polityczne i kilka publicystycz-

nych artykułów (jak „Zbrodnia rozbiorów”), ale dlatego, że wszystkie swoje utwory tak napisał, jakby razem z nami przeżył koniec wieku ideologii. Nade wszystko ideologii komunistycznej, najdalej idącej, bo odwołującej się nie do jednego tylko narodu.

Nas tu obchodzi nie jeszcze jeden opis jej kariery i agonii, nurtów, metod i działań represyjnych, ale jej cel deklarowany, z pozoru nadrzędny. Była nim nie tylko przemiana gwałtem społecznych stosunków, lecz ludzkich dusz, czyli natury ludzkiej. Istotą rzeczy nieźle oddaje rosyjski termin pieriekowka, tj. przekuwanie, przeróbka, który zrobił karierę w latach dwudziestych. U nas używano terminu kształtowanie. Miał to być warunek (i zarazem punkt docelowy) procesu poddania dalszego biegu historii prawom rozumu, nie zaś drapieżnym interesom i ślepym popędem. Tymczasem zaś ta inżynieria ludzkich dusz nie potrafiła nawet śrubki wkręcić bez użycia młota. Procesy sądowe w ZSSR od pierwszej chwili służyć miały nie ustaleniu dowodu prawdy, ale wychowaniu społeczeństwa. Aż do późnych lat trzydziestych łagry nosiły nazwę instytucji wychowawczych.

Otóż Conrad też miał naturę ludzką za skażoną, widział całą jej czern, ale jednocześnie był gwałtownie, zaciekle przeciwny jej łamaniu, strychowaniu, przekuwaniu. „Bezsensowna rozpacz, wywołana bezsensowną tyranią”, oto jak nazwał skutek i przyczynę tych usiłowań. Dżungli ludzkiej Conrad nie chciał trzebić, ani wmawiać w nas, że jest ona ogrodem. Chciał tylko przejść przez nią nie klucząc i nie zostawiając współwędrowców bestiom na pożarcie.

Nie tu kończą się korzyści z nowej lektury Conrada. Jego stateczna i skrycie uśmiechnięta pryncypialność daje czytelnikom wrażenie rzeczowej pociechy, gdy te książki porównać z nowościami, których pełne są księgarnie i kioski. Jak pisze G.B. Guerri (*L'Europeo* z 22 maja 1991), wczorajsi luminarze literatury zaangażowanej (wymienia Eco, Citati, Malerbę) dzisiaj biczą manię jedzenia lodów na ulicy, zgłębiają psychologię zazdrości i nurzają się w archiwaliach. Miejsce walk o tzw. nowego człowieka i przyśpieszenie końca starego świata zajął istotnie watterkłozetny nihilizm, jak ten kierunek myślowy nazwał mój rosyjski przyjaciel A.A. Bender.

Lektura Conrada skłania do myśli, że skoro bania z kategoriowymi odpowiedziami jest przekłuta, można wreszcie zająć się paroma gorzkimi pytaniami, jakie życie wciąż nasuwa i niekoniecznie godzić się, aby elementarne zasady współ-

życia ustępowały przed prawem pięści, czy kaprysu. Conrad był zdania, że naprzód trzeba zdać sobie sprawę z tego, co nazywał powagą bytu. Potem dodał: „Dopomóc w dokonaniu moralnego odkrycia powinno być celem każdej opowieści”. Kto z moralnych odkryć chce zrobić jakikolwiek użytek, mimowolnie wchodzi między ludzi. Z tego właśnie powodu sądzę, że nie ma książek bardziej dziś potrzebnych, niż te, które tyle lat temu wydał ten człowiek.

Twierdzą tak nie dlatego, że Conrad napisał „Tajnego agenta” i „W oczach Zachodu”, powieści otwarcie polityczne. Wciąż wolę je nie tylko od książek Le Carre, wielkości dętej, lecz nawet utworów takiego mistrza gatunku, jak Vladimir Volkoff, autor „Manipulacji” (nie wiadomo dlaczego zwanej po polsku „Montażem”). Są to powieści znakomite także dlatego, że — pierwsze na Zachodzie — podjęły z pewnym powodzeniem wyzwanie rzucone przez Dostojewskiego, autora nie tylko „Biesów”, lecz także rozprawki „Dlaczego cieśniny czarnomorskie powinny i muszą należeć do Rosji”. Obie te książki Conrada mają jednak we wspólnym mianowniku liczbę pozorną: przekonanie, że w Rosji nic się nie zmienia i nic się zmienić nie może. Autor „Tajnego agenta” widzi w Rosjanach cechy, które przesadzają o ich niezmienną odmienną od ludzi Zachodu. Według Fleishmana („Conrad's Politics”) za najprzykrzejszą z tych cech pisarz uważał skłonność do pogardliwej generalizacji gdy mowa o innych, o nie-Rosjanach. Istotnie, Conrad przekonany jest, że to objaw wschodniego irracjonalizmu, tryumf zadufanej głupoty. Zgódźmy się jednak, że przypisywanie tej cechy Rosjanom w ogóle jest także aktem takiej samej generalizacji.

Tomasz Mann we wstępie do przekładu „Tajnego agenta” pisze: „Trzeba powiedzieć wyraźnie, że jest to książka antyrosyjska: jest taką w duchu bardzo brytyjskim, ma w tle wielką politykę, wielki antagonizm anglo-rosyjski i możliwe nawet, że ten antagonizm był zawsze tłem — nie powodem, tego nie twierdzą — namiętnej miłości Conrada do Anglii (...) Antypatia polska w stosunku do pierwiastka rosyjskiego znajduje w tej powieści ujście bardzo angielskie”.

Bez względu na brytyjski czy polski charakter, antyrosyjska obsesja Conrada oczywiście przytępia polityczną ostrość i „Tajnego agenta” i „W oczach Zachodu”.

To Conrad nazwał Dostojewskiego chimeryczną i pokrętą figurą, na której ciąży przekleństwo (*that grimacing and haunting creature who is under a curse*); te słowa mogą gorzej

świadczyc o Conradzie, niż o rosyjskim pisarzu. Ale gdy Dostojewski w autokomentarzu do „Braci Karamazow” powiada: „Lepiej już zostanę z omylnym Chrystusem, niż z wami, którzy macie rację”, Conrad miał prawo uznać to za sofizmat i pochwalać fałszu, chociaż Dostojewski trawestował tu słowa samego św. Augustyna. Naszemu pokoleniu to sławne zdanie przypomina nieodparcie formułę: „lepiej mylić się z partią, niż mieć rację bez niej”.

Tym, co Conrad naprawdę miał za złe swoim Rosjanom była nie banalna, samoobronna obłuda, lecz fałsz programowy, oparty na przekonaniu, że w życiu publicznym nie obowiązują żadne prawa moralne, i że zbędne, bo niekorzystne, jest zwłaszcza trzymanie się prawdy. Radca Vladimir bez kłopotu udaje liberalnego światowca, Piotr Iwanowicz — bohaterskiego zbiega, Nekator — oddanego rewolucjonistę, Razumow — ofiarę własnej zdrady.

Uczeni w piśmie nazywają ten stan ducha fałszywą świadomością. Orwell mówi prościej: toż to właśnie jego *dwójmyśl*: wyuczona wiara w coś, co przeczy oczywistości, którą równocześnie widzi się drugim oczkiem, dialektycznie. Otóż nie jest to objaw znany tylko Rosjanom. Przekonałiśmy się o tym dość gruntownie. W Polsce, na przykład, wolno już widzieć wszystkie fakty, ale uznaje się za istniejące tylko te z nich, które łechcą dumę narodową; czyni to szczególnie uciążliwą lekturę niektórych polskich gazet.

Reżyser polski, Piotr Łazarkiewicz wyznał mi, że ze dwadzieścia razy obejrzał „Pojedynek” Ridley Scotta według opowiadania Conrada. I on, i koledzy ze studiów w Łodzi robili to nie tylko ze względu na sprawność techniczną filmu. Ze znanych mi filmów ten jest najbardziej conradowski i chyba ta jego cecha okazała się najbardziej pociągająca. Ilustruje dobrze przekonanie o niezmienności natury ludzkiej, o jej ukrytym okrucieństwie i o konieczności, wręcz absurdalnej, trzymania się „paru prostych zasad”, jak godność, obowiązek, odpowiedzialność za swoje słowa i czyny, zwana niekiedy wiernością.

Marlow z „Jądra ciemności” ma wbite w głowę, że trzeba być przyzwoitym i tyle. Bez uzasadnień i kalkulacji. Swoją drogą musiała go w tej myśli utwierdzić znajomość z Kurtzem i jego życiem bez powściągnięć, zakończonym okrzykiem „Zgroza!...”. Kultura jest według Freuda po prostu sumą skrupułów: czy nie jest to myśl bardzo conradowska?

Jest więc powinowactwo stylistyczne między poetyką Con-

rada a jego kodeksem etycznym. Umiał powiedzieć co chciał bez deklaracji, samym sposobem w jaki porządkował sąsiedztwo słów. Ten sposób cechuje powściągliwość i prostota; biorą się zapewne z upodobania do angielskiego *understatement*, nie zaś z polskiego kodeksu honorowego, jak chce Najder. Wyjąwszy kilka podniosłych przenośni, stosujących się z reguły do zalet żaglowców i ekscesów morza, Conrad unika ozdób. Jego język jest skromny: istnieje japoński termin *szibui* na określenie tego rodzaju wyszukanej prostoty. Nie znosił potoczystej słodyczki. Miłosz pisze: „Kiedy Joseph Conrad dostał egzemplarz swojej „Fantazji Almayera” w przekładzie André Gide’a, rzucił go po przeczytaniu paru stron na ziemię i zaczął deptać z furją”. Skądinąd Gide nauczył się angielskiego właśnie po to, aby móc czytać Conrada w oryginale.

W rolach swoich protagonistów obsadza często figury niezdolne wręcz do zawiłych rozmyślań, wybierające drogi proste jakby z braku imaginacji. Singleton z „Murzyna” jest w istocie analfabetą. Tępawy kapitan Mac Whirr z „Tajfunu” nie wyobraża sobie nawet, że można wpaść w panikę i zostawić na łasce losu kilkuset złotych kulisów, kłębiących się pod pokładem w pogoni za rozsypanym zarobkiem; żona nie czyta jego listów bo nudne.

Otóż Conrad tak ich dobiera wcale nie z wiary w rozum i posłannictwo prostego ludu. Chodzi mu jedynie o najmniejszy wspólny mianownik moralnych wyborów. Stosuje środki ubogie z elegancją i ekonomią dowodu matematycznego.

Powiedział kiedyś do Bertranda Russella, że spośród Rosjan ma podziw tylko dla Turgieniewa. Mało kto zastanawiał się, co spokrewnia Conrada z innym rosyjskim pisarzem, autorem „Stepu”, Czechowem: powściągliwość i niechęć do ostentacji, rzetelność w stosunku do słowa i do bliźnich. I nade wszystko — odraza do tej mieszaniny obleśnego chamstwa z trywialną miałością... która po rosyjsku zwie się *poszłost’*. W „Zwycięstwie” Schomberg i Riccardo są naznaczeni z punktu tym piętnem, dopiero później dowiadujemy się o ich zbrodniach. Czechow nawet o wielkich zbrodniach nie mówi. Stara się — i to było jego *novum* — zawrzeć problemy egzystencjalne w najmniejszej ilości słów, przy tym zdawkowych. Jego spadkobiercy Beckettowi udało się sprowadzić rzecz do monosylab, grymasów i pomruków. W teatrze dalej poszedł tylko Tadeusz Kantor.

Katechizm Conrada był tak zwięzły i nieozdobny, że

E.M. Foster doszedł do wniosku, iż ten pisarz „nie miał żadnej filozofii, żadnej wiary”. To samo zresztą pisano o Czechowie. Tak jest, tam gdzie moralisci klepią kazania, a ideolodzy klecą swoje łoża Prokrusta, Conrad odwołuje się tylko do kilku elementarnych zasad postępowania. Są jak krótki lont do silnej miny. Sprowadzając kwestie etyki do najprostszych, ale kategoriycznych wymagań, sformułował warunek konieczny i wystarczający. Warunek czego? „Aby żyć przyzwoicie i mieć lekką śmierć”. Nic ponadto. Ani słowa o nadprzyrodzonej sankcji dla tych zasad. Ani słowa o wymogach prawa. Teoremat Conrada obywatel się bez tych szacownych podpór. Miał wystarczające oparcie w instancji sumienia, jedynej o której ten pisarz coś mówi. Pomińmy tu problem, skąd ta instancja dostaje wytyczne. Bo też zostaną w powietrzu zalecenia bądź Dekalogu, bądź świeckiego katechizmu, jeżeli głos mego sumienia milczy, albo się dławi. Przeważnie milczy. „Ludzkość jest podła” — pisał Conrad i tego cytatu nie trzeba oglądać przez lupę. Unikał mówienia o Człowieku w ogóle, tej hipostazie, tak chętnie wywoływanej z niebytu przez poetów i kapłanów. W pewnym liście zauważył, że człowiek wprawdzie nauczył się latać, ale fruwa nie sposobem orła, lecz skrzydlatego karalucha. Brown, Kurtz, Nikita, Vladimir, Donkin są usługowymi świadkami i dowodami rzeczowymi w procesie przeciw ludzkości. Ale tu znajduje Conrad jakby punkt Archimedesza dla swoich paru prostych zasad. Znalazł go w bydłcej połowie naszej duszy. Trudno przeczyć, że zwierzę czai się w człowieku i że nie zostawia nam innego wyboru, jak traktować, lub być traktowanym (co nieuniknione, skoro zawsze znajdzie się ktoś jeszcze silniejszy). „Stąd właśnie — pisze Russell — płynęło jego głębokie przekonanie o znaczeniu rygoru moralnego”. Istotnie, jeśli żyć trzeba wśród ludzi, jeśli zna się ich skłonności i jeśli nie wierzy się przy tym w przymuszanie do cnoty, to zostaje tylko przykład dyscypliny moralnej. A niekiedy jeszcze perswazja.

Michał Komar tak to ujął: „Ludzie są być może mało warci, ale jest jeszcze tych parę prostych prawd, dzięki którym nie staną się gorsi”.

Mimo to, badacze zgodnie uznawali te zasady za heroiczne, ale jakby bezużyteczne, bo mało pociągające. To fakt, żadnych doraźnych zysków nie zapewniają.

Conrad nagród za cnotę nikomu nie obiecywał, to jasne. Ale ostrzegał przed pewną wymierną karą, przed stratą, którą miał za niepowetowaną, bo istotnie nie wierzył w zbawienie

ani odkupienie. Tę karę ponoszą wszyscy bohaterowie Conrada, którzy zawiedli, splamili się zdradą własnych zasad, czy zagłuszyli głos sumienia: lord Jim, Kurtz, Razumow. Jest nią najgorszy z zawodów uczuciowych: zawód w miłości do samego siebie.

Conrad nie tylko sławił odwagę. Z lubością wykazywał nieopłacalność tchórzostwa. Idąc za nim, można udowodnić, że kapitulacja wcale nie jest najpewniejszym sposobem zachowania głowy za cenę utraty twarzy. Udać się to tylko, gdy mamy do czynienia z gentlemanem (a był to gatunek kopalny już za czasów Conrada). W przeciwnym razie traci się łeb z całą resztą. Swoich Brownów i Jonesów Conrad wprowadził chyba po to, aby tę prawidłowość unaocznic.

Ostrożność i realizm są w polityce na pewno konieczne. Ale właśnie realizm każe traktować pragmatystów z ostrożnością, uprzykrzonych zaś moralistów z nadzieją, że niektórzy z nich okażą się trzeźwymi dalekowidzami.

Polski pisarz, Władysław Bartoszewski, nazwał swoją książkę wspomnień „Warto być przyzwoitym”. Bartoszewski ratował Żydów podczas okupacji, w ludowej Polsce poznał więzienie, a w nim — celę śmierci; wykładał potem na tajnych uniwersytetach i pomagał w narodzinach Solidarności. Dodajmy nawiasem, żeby nie uroczyć, że Bartoszewski został w Wiedniu ambasadorem Polski nieco bardziej wolnej.

Nieszczęściem moralistów są nie ich zasady, tylko złudzenia. Conrad złudzeń nie miał. Programy polityczne uważał za lichy bryk, a teorie ideologów za rzut płaski ogromnej, czarnej bryły ludzkiego losu. Ale nie dzielił świata na rajską dziedzinę etyki i piekielną domenę polityki. Do głowy mu nie przychodziło, że trzeba być przyzwoitym tylko w swoim domku. Ten marynarz miał prawo moralne za coś w rodzaju bieguna magnetycznego. Dobrze wiedział, że na ogół nie jest to praktyczny cel ludzkich podróży. Ale dał nam do zrozumienia, że bez tego punktu orientacyjnego żeglować można tylko po gliniance.

Oto mniej więcej wszystko, co powiedziałem w Catto-lica, na sympozjum, zajmującym się ekranizacją dzieł Conrada. Na sali przeważali Włosi i Anglosasi, Polaków było ledwie trzech. Dlatego wydaje mi się potrzebne dodanie tu paru uwag, przeznaczonych dla polskich czytelników.

Nie uzurpuję sobie prawa do kompetencji w zakresie

źródeł i dat, szczegółów treści i angielskiej formy dzieł Conrada. Co zaś do ich funkcji w polskim świecie, sędzę, że staje się niezastąpiona.

W niedużym tylko stopniu zależy to od pochodzenia pisarza. Temat to uprzykrzony, ale wart jeszcze paru słów. Nie ma innego kryterium przynależności do literatury, niż język. Wszystko inne to baliwernie, mgliste rozmowy o duchu narodowym, obrażające nie tylko sprawdzalną rzeczywistość, lecz także szacowną wiarę w rozstrzygające dla życia ducha znaczenie słowa, logos.

Rosyjscy nacjonalkomuniści lansują pogląd, wedle którego na przykład Mandelsztam nie był to poeta rosyjski, lecz *russkojazycznyj jewrejskij pisatel*. To samo Pasternak, już nie mówiąc o Bablu. Idąc tym tropem Puszkina byłby rosyjskojęzycznym poetą etiopskim.

Conrad był pisarzem angielskim nie mniej niż Wilde, Shaw, Joyce, wszyscy Irlandczycy, Celtowie. Co prawda nie urodził się w Anglii, jak w Polsce urodzili się Lelewel, Korczak czy Leśmian, po angielsku mówić i pisać zaczął dopiero jako człowiek pełnoletni, podczas gdy Oppman, Pol, Tuwim mówili po polsku od kołyski. Ale miał rację Adolf Nowaczyński kiedy w 1938 roku, (w czasie gdy był skądinąd najmymowniejszym rzecznikiem endencji) sprzeciwił się próbom „adoptowania przez piśmiennictwo polskie” Josepha Conrada. Dodał nawet: „Czyż nie należy właściwie błogosławić tym wszystkim Emigracjom za to, że dość ciężki zasiedziały i przyziemny słowiański materiał rasowy kolejno wyrzucały z siodła, wykorzystywały, wysypywały na świat i szlacheckim synom rozszerzały perspektywy i horyzonty?”

Z tym wszystkim, Conrad mógł stać się dla polskich czytelników pisarzem pierwszej potrzeby.

Tymczasem pewnego jesiennego dnia 1935 roku w 333 numerze warszawskiego *Kuriera Porannego* Witold Gombrowicz skonstatował: „... nie uprzedzona obserwacja wykazuje, że rodak angielski jest jednym z najbardziej obcych autorów, jakich przekładamy z cudzoziemskich języków na nasz język (...) tylko duma narodowa czuje się zadowolona, reszta duszy milczy”.

O przyczynach tej obcości zaraz będzie mowa, ale od razu podkreślmy, że obserwacja była trafna, że od tej pory zmieniło się to i owo, ale raczej powierzchownie i że wpływ Conrada na prozę polską jest nikły. Samodzielność zwykle cieszy; tu jednak zostawia pewien niepokój, bo od dawna czuje się brak w polskiej powieści tych akurat elementów,

które zapewniły Conradowi mir w całym świecie.

Nikt z polskich pisarzy rozprawiających o Conradzie z wylaniem i przekonaniem (może z wyjątkiem J.J. Szczepańskiego i Herlinga-Grudzińskiego) nie wziął sobie do serca jego poetyki, a więc zespołu założeń i środków, które tak godnymi wiary uczyniły poglądy, z jakimi pisarze ci żarliwie się zgadzali. Tak było z Żeromskim, Gołubiewem, Andrzejewskim, a także z Dąbrowską. Co prawda, przeczytali go późno.

Ślady lektur Hemingwaya i Faulknera, ba, nawet Butora, znaleźć można u niejednego z polskich pisarzy. Conrad spłynął jak woda po gęsi.

Dziesiątki książek napisano na temat związków Conrada z polską tradycją. Moi studenci z Bari i Pizy co i rusz przynosili mi rozprawki o refleksach polskiej poezji romantycznej u Conrada, albo o jego pismach w obronie Polski czasu I wojny. Pora wspomnieć o rozbieżnościach; nie z całą tradycją, ale z jej przemożnym nurtem. Od tego nurtu Conrad oderwał się zupełnie świadomie. Trzeba widzieć nie tylko co Conrad z Polski wziął, lecz także czego zabrać nie chciał.

Każdy wie, że polska proza rodzi się z barokowej oracji, kazania, facecji. Jej naturalną i samoistną formą jest gawęda. Sarbiewski utrzymywał (trochę na wyrost), że „jak Hiszpan jest z natury teologiem, Włoch filozofem, Francuz poetą, Niemiec historykiem, tak Polak — mówcą”. Ta tradycja zakorzeniła się za czasów kontrreformacji, która chciała odzyskać masy, więc stawiała na wyobraźnię przeciw mędrkowaniu, na wspaniałość przeciw surowości, słowem — na środki bogate, przemawiające do umysłów nieuczonych elokwentniej, niż pisane i śpiewane herezje. Główny gościniec polskiej prozy prowadzi przeciw od Skargi i Paska do Rzewuskiego, a za nim do Sienkiewicza. Ten nie musiał nawet pisać o wiktoriach. Już samą zbytkownością swojej pięknej frazy krzepił polskie serca. Każda epoka w Polsce płaciła trybut tej wymownej tradycji. Ryszard Przybylski nazwał swój pyszny szkic o Wielkiej Improwizacji — „Wielka gadanina”. Bez księdza Wujka i Skargi nie byłoby ani „Książ Pielgrzymstwa”, ani „Anhellego”. Sienkiewicz ma epigonów do dziś dnia. Od Kossak-Szczuckiej do Żukrowskiego. Potok wylał teraz szeroko na łamy literackich miesięczników w postaci tzw. „prozy magnetofonowej”. No i dobrze, ale nie bardzo. Borges powiada: „Barok zasługuje na potępienie jako wykroczenie przeciw zasadom moralnym — jego grzechem głównym jest próżność”.

Próżność była tym czego Conrad bardzo nie lubił (puszenie się miał za naczelną polską przywarę Witkacy). Alter ego Conrada, Marlow, jest wymownym narratorem wielu opowiadań, ale są to zawsze zwierzenia gentlemiana, dbającego by nie wpaść w przesadę, by przestrzegać dyskrecji i nie uchodzić za fanfaron. Jesteśmy o sto mil morskich nie tylko od pana Zagłoby, lecz także od Melchiora Wańkowicza.

Nie chcę przez to powiedzieć, że polska gawęda gorsza jest od angielskiej story, albo, że oddałbym „Trylogię” nawet za „Kubusia Puchatka”. Przypomnę tylko banał: stylizycznym szablonom polskiej literatury odpowiadały stereotypy, modele Polaka. Te zaś zmieniały się. Otóż najbardziej zmienny okazał się stereotyp Polaka-katolika. Ojciec Bocheński zapomniał dodać do swoich „Stu zabobonów” przesąd o niezmienności tego modelu.

Model narodził się w czasach walki z Reformą, bo trzeba było odciąć się od mędrków-różnowierców. Za czasów romantyzmu oznaczał skądinąd człowieka wierzącego w zbawczą misję narodu, gotowego do poświęceń dla innych, stojącego zawsze po stronie prześladowanych, gardzącego wyrachowaniem i rozsądkiem poprzedniej, niepobożnej i niepoważnej epoki Oświecenia. Przyszła klęska powstania i kompromitacja romantycznego wzorca. I właśnie za czasów Conrada nastąpiła istna galwanizacja stereotypu za sprawą utalentowanych założycieli Narodowej Demokracji. Był to skok wstecz nad grobami kilku pokoleń. Romantyzm zostawiono socjalikom, Oświecenie — inteligentom. Żeby odwojować masy, ci politycy wrócili do Warszewickiego i Kitowicza, do lamusa kontrreformacji. Co ważniejsze — chcieli Polski normalnej, jak inne kraje Europy — a wrócili do anomalii, która na parę wieków odcięła Polskę od Zachodu. Zachód tymczasem ciągnął zyski z szerzącej się, mimo wszystko, wolności inicjatyw, badań i poglądów. Od dominacji Wschodu, tj. Rosji ta duchowa izolacja wcale nie uratowała. Stereotyp składał się z zadufania i ksenofobii, wspartych o nową teorię egoizmu narodowego. Tak ulepiony Polak-katolik miał tyle wspólnego z chrześcijaństwem co ping-pong z kulturą chińską. Z szacunku dla religii może lepiej nazywać ten zbiór poglądów i przesądów sarmatyzmem, jak to dawniej było przyjęte. Jakkolwiek ją nazwać, klamrą tej całości miała być idea narodowa. Jak wąsko była rozumiana, wyjaśnia Aleksander Bocheński, a zna się na rzeczy: „Narodowe’, czy ‘nienarodowe’, to znaczy skierowane przeciw obcym, czy też nie”.

I żeby to chociaż korzyść wyznawcom przyniosło. Gdzie tam.

Otóż Conrad całym jestestwem i wszystkimi znanymi swoimi poglądami uosabiał przeciwieństwo tego stereotypu. Nie znosił „wizjonerskiej i zbrodniczej paplaniny” rewolucjonistów, był przeciwnikiem rozbuchanej demokracji (jakby powiedział Piotr Wierzbicki), ale miał odrazę do wszystkiego, co mu trąciło sarmatyzmem.

Jerzy Pietrkiewicz nazywa „patriotyczną wrażliwością” to, co w rodakach raziło Conrada — i co sam w sobie z przykrością znajdował. Pietrkiewicz pisze rozumnie: „Zachował się długi list, naświetlający wiele stron tego problemu. Norwid formułuje w nim myśl, która, jak mi się wydaje, mogłaby rzucić światło na 'złożoną lojalność' Conrada: 'Kto patriotyzm zmienia na wyłączność... ten musi koniecznie z Ojczyzny uczynić sektę i skończyć fanatyzmem' (do W. Zamoyskiego, luty 1864)”.

Uprzykrzony problem sekciarstwa narodowego dla Conrada był organiczną częścią zagadnienia zła, które jest w samym centrum jego dzieła. Stąd bierze się zarówno jego obsesja osobistej odpowiedzialności każdego za swoje czyny, jak jego kodeks — tych parę zasad z pozoru prostych. Czesław Miłosz utrzymuje, że polska twórczość wymija chyłkiem problem zła, że nie widzi jego aspektu filozoficznego.

Już takie koincydencje kazałyby nam sięgać nasamprzód po książki Conrada, gdyby nawet nic wspólnego z polską substancją i tradycją nie miał. Ale po wszystkim, co wyżej napisałem powiedzmy, że miał wspólnego wiele. Tyle, że był obywatelem drugiej strony polskiego księżycy, wiele mniej znanej, ale rzeczywistej, a jakże. Był ulubionym autorem Żeromskiego i Słonimskiego, Dąbrowskiej i Jasienicy, Rafała Blütha i Jana Strzeleckiego, żeby mówić tylko o nieżyjących. Widzieli w nim zapewne sojusznika tradycji, której wśród wrzawy i przesileni nie wolno w Polsce dać zagłuszyć. Stawowi ona w polskim kontekście nurt głębszy, ale zepchnięty z powierzchni przez wiele obfitszą falę popularnych wzorców obyczajowych. Oczywiście, mówię o dwóch polskich żywiołach, o dwóch wzorcach: inteligenta i kołtuna. Od ich kolejnych wcieleń nie ma widać ucieczki. Tyle, że szarym człowiekiem stał się dziś inteligent, a chwalczy kołtuna pięją o woli ludu.

Conrad ma w sobie wszystkie najlepsze cechy polskiego inteligenta, nie tylko w rodowodzie. W tym widzę pewną rękojmnię jego przyszłej popularności. Jak dobrze pójdzie.

Tymczasem jest w Polsce dalej pisarzem źle obecnym. Anna Tatarkiewicz w *Polityce* odkrywa w Conradzie rzeczownika pomiarkowania i patrona tych wszystkich, którzy w trakcie minionych za Murem lat usiłowali robić w Polsce pozytywne rzeczy w miarę dozwolonych możliwości. Być może pomylił jej się Conrad z Jarosławem Haszkiem, który założył pewnego wieczoru w knajpie „U kalicha” Partię Powolnego Postępu w Ramach Przepisów Prawa. Pani Tatarkiewicz czyni to w ramach polemiki z Adamem Michnikiem, bo ten często cytuje z atencją Conrada i jego proste zasady w swojej książce „Z dziejów honoru w Polsce”. Ale oto sam Michnik w *Tygodniku Powszechnym* przywiązanie do tych zasad nazwał „patologią etyczną”. Oto skutki jazdy na drogowskazie. Drogowskaz nie jest pojazdem, ale znaczenia przez to nie traci.

Pisano te polemiki nie sto lat temu, lecz w 1991-szym roku. W Polsce zatem fenomen złej obecności Conrada trwa. Ma precedensy dostojne.

Gombrowicz (w cytowanym już felietonie z 1935 roku): „Conradowi — pisze późniejszy autor 'Kosmosu' — wszystko przemienia się w wielkość, patos, kosmos... zastanawiamy się, co tu w tym wszystkim pasuje do nas, do skali, w jakiej odbywa się egzystencja, widzimy że nic zupełnie i olśnieni, ale nie przekonani, jak gdyby muśnięci skrzydłem ogromnego ptaka (proszę wybaczyć nieodczowną metaforę) zamykamy książkę z podziwem. Król-Duch! Jeszcze jeden!”.

Istotnie, coś tu nie pasowało do polskiej egzystencji owego roku. Ale minęło lat niewiele. To i tamto zmieniło się nawet dosyć gwałtownie. Gombrowicz znalazł się za granicą i oto czytamy w jego „Rozmowach z Dominikiem de Roux”:

„Coś niedobrego, coś spaczzonego było w naszym stosunku ze światem... Polacy, będąc narodem najbardziej uwikłanym w mrzonkę, iluzję, frazes, legendę, deklamację... potrzebna tu była rzeczywistość, nie jakaś wtórna, nie 'polska', ale ta najbardziej fundamentalna, po prostu człowiecza. Wydobyc Polaka z Polski, żeby stał się po prostu człowiekiem... Dystans do formy — w tym wypadku — do formy narodowej”.

W „Dzienniku” z 1956 powiada (z niezwykłym, jak na niego uniesieniem):

„Jakże wyglądałby nasz rozwój gdyby wówczas pojawiła się na naszym niebie obok mickiewiczowskiej, inna gwiazda: mąż równie znakomity i wzniosły, który by jednak nie oddał siebie na służbę narodu, ale dumnie wzgardziwszy całą biedą

naszą, wszystkimi koniecznościami niewoli, spróbował dotrzeć do Piękności, jako człowiek wolny, swobodny duchowo”.

Jeśli był kto taki, to pisał po angielsku. I nie wzgardził całą biedą naszą, ani nie do samej Piękności próbował dotrzeć. Pół wieku przed Gombrowiczem wsiadł na swój żaglowy trans-Atlantyk, zostawiając na brzegu ten sam bagaż (czy balast, jak kto woli), który wytrzymał z tułaczego worka i wystawił na pokaz jego rodak z Małoszyc. Wyjechał i kto wie, może został w świecie z podobnych pobudek.

Wśród biografów uchodzi za pewnik, że Conrad opuścił kraj, by uniknąć poboru do wojska rosyjskiego. Wyjechał, mając lat 17, w październiku 1874 roku. Otóż w imperium rosyjskim 1-go (13-go) stycznia tegoż 1874 roku weszła w życie liberalna reforma wojskowa projektu Dymitra Milutina. Ustanowiła pobór dopiero od 21-go roku życia, 6 lat służby w wojskach lądowych, 7 — we flocie, ale tylko dla niepiśmiennych. Poborowi z wyższym wykształceniem służyli zaledwie 6 miesięcy, absolwenci gimnazjum — 18 miesięcy, innych szkół średnich — 3 lata. Conrad miał zatem jeszcze 4 lata czasu, sama sprawa też już nie była gardłowa. Nadto, od 1867 roku mieszkał w austriackiej Galicji. Wyjechał w świat z Krakowa. Tam chodził do gimnazjum, tam pochłaniał książki i gazety. Mieszkał przedtem w lwowskim internacie dla sierot po powstańcach 63-ego roku, miał w nim poezje romantyków, które ojciec czytał mu na głos w Wołogdzie, Czernihowie, Kijowie, ale też mógł chodzić na odczyty Szujskiego i Kalinki, bo to był Lwów i Kraków stańczyków, szkoła ugody. O wyjeździe, o morzu mówił już w 1872-gim roku.

Chłopak miał zatem dość mitologii i martyrologii, ale chyba nie mogła entuzjazmować go bita droga, którą rozsądni przewodnicy wtedy właśnie Polakom wskazywali. Droga była po stracących porywach zapewne zbawienna, ale prowadziła tylko do jednego wyboru, przekłętą polskiego wyboru: między złem, a mniejszym złem. Być przyzwoitym człowiekiem? To chyba znaczy nie uznawać tego wyboru za jedyny i ostateczny, jeśli nawet podejmować go się musi. W Polsce należy mieć więcej niż gdzie indziej wytrzymałości, aby przestrzegać tej zasady. Może dlatego wyjechał.

Gdy Orzeszkowa oskarżyła Conrada, że sprzedał talent obcym, że zubożył przez to swój kraj, naród, kulturę, Wincenty Lutosławski w swojej „Odpowiedzi Orzeszkowej” nic nie mówił o kulturze powszechnej, o polskim w niej udziale, o „wydobyciu Polaka z Polski, żeby stał się po prostu człowiekiem”. Napisał dosyć przytomnie:

„Mylnie podaje moja przeciwniczka przyczyny emigracji zdolności (...). Emigrowali w XIX-tym wieku Mickiewicz, Słowacki, Chopin i Krasiński. A nie motywy ekonomiczne były tu decydujące, lecz niemożność życia bez kompromisu pod uciskiem”.

Tylko że wymienieni dopiero co panowie zostali w kręgu polszczyzny. Conrad nie potrafił. Nie tylko dlatego, że kompromisy naprawdę źle znosił, ale dlatego, że to, co — jak się okazało — miał do powiedzenia, nie dałoby się w Polsce przełożyć na *panujący dialekt epoki*, rodzaj patriotycznej, barokowej *nowomowy*. Ale taki talent mógł dać szansę innemu dialektowi polskiej myśli. Gdyby go nie zadziobali, rzecz jasna. Boże, jak by się wtedy polski Conrad Polsce przydał! Absurdalne to westchnienie, tym więcej, że dziś jego urzekające dzieło i jego przesłanie wydaje się jeszcze bardziej na czasie: polaryzacja postaw, dusz, zachowań jest w Polsce gwałtowniejsza, niż gdziekolwiek indziej i pilne staje się przypominanie o tym biegunie magnetycznym, którego Conrad nie spuszczał z oka. Ale ja rozumiem Orzeszkową.

Jerzy POMIANOWSKI

Polnische Buchhandlung

KSIEGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie

Z ukosa

Dziwiąc się światu czasami widzę ze zdumieniem, że te moje zdziwienia mają wierny kształt poruszeń mojego ojca, z czasu kiedy wydawał mi się już taki stary.

Że gaśnie w oczach uroda kobiet, że dzieci stają się dorosłe, a ludzie nieustannie robią te same głupstwa, że jednak wszyscy umierają prędzej czy później, a na ogół prędzej. A przeszłość zaczyna być ciepła i bezpieczna, bo już wolna jest od zagrożeń. Ze zdumieniem patrzę jak czas mojego dzieciństwa pomału nabiera patyny i staje się nieomal zabytkiem. A przecież to było prawie wczoraj. Lata 50-te to dla mnie czas dziecięcy, połowa lat 60-tych to młodość, której bym nie nazwał za Mickiewiczem „górną i durną”. Spotykając na „obcym bruku” setki ludzi polskiego pochodzenia zawsze się dziwię jak łatwo nam wykrzesać ogień z kilku słów, albo nawet z milczenia. I ogrzać przy nim ręce. I to właśnie jest ta wspólna piaskownica, zapachy tych samych klatek schodowych, te same granice podwórek, i co było w słowach oraz między słowami tamtego czasu. To wszystko jest w nas jak złoty pył umarłych już kwiatów.

Powinna to zatrzymać w sobie na zawsze nasza współczesna proza i film, ale czy potrafią? Na razie ten świat jest nadal żywy w ludziach, również tych rozrzuconych dzisiaj po całym świecie, ale on odejdzie razem z nimi.

Święta, one zawsze miały szczególną barwę z dominującym zapachem świeżo upieczonego ciasta. Porządki, tropienie moli, czyszczenie porcelany i srebra. Kręcenie ciasta w kamiennych garach. Zające wiszące za oknami jak szyszki na sośnie. A w wannie karp świąteczny, milczący skazaniec. Wanna nagle stawała się jeziorem i więzieniem. Podejrzewam,

że taki karp usnąłby od razu w wodzie chlorowanej jak ta w dzisiejszej Warszawie. Karp, albo dwa karpie śmigają w wannie, ich pyski zdawały się mieć czułe i lekko umalowane wargi. Tym smutniej było myśleć o tym co je czeka. Problem gdzie się kąpać, bo wanny sąsiadów też okupowane przez karpie. Potem dramat w domach, kto zamorduje rybę, czym i jak? Dowód jak ludność miejska nawet po rzezi wojny ucywilizowała się. Czy znowu prosić dozorcę? Pamiętam jeszcze żywy plusk karpia w wannie, moją niechęć by potem się w tej wannie kąpać, jak i odgłosy pozbawiania go życia, głuche i wstrząsające świadectwo jak silne jest życie ryby, i jak wielkie może być okrucieństwo ludzi nam bliższych. Potem te pęcherze z ryby, chyba dla zabawy.

Choinka, która musi sięgać czubkiem sufitu. Choinka bardziej niż dziś niezwykła, bo nie było jeszcze telewizji, a jeśli istniała to nie kolorowa. Wielka gęstość wzajemnych odwiedzin, właśnie dlatego, że telewizja jeszcze nie zniszczyła tkanki sąsiedzkich kontaktów. Bezpieczna radość lepienia łańcucha, bo nawet kiedy to się robiło niechlujnie i krzywo, to były potem niezwykle efekty. Anielskie włosy, dlaczego nie pachną, czy to są rzeczywiście włosy?

Polski socjalistyczny świat bogaty w zapachy niechlujnych klatek schodowych, z przyprawą sumy zapachów mieszkań, a te mieszkania pachniały tak intensywnie. Ale święta pokrywały to wszystko swoim zapachem.

I zapach pasty do butów na chwilę przed wyruszeniem do kościoła, miesza się z zapachem grzybów i kapusty co płyną gęstym strumieniem z kuchni.

Milicjant, już nie w mundurze skrada się po kryjomu do kościoła. Na straganach zapakowana w biały pergamin słodycz o przerażającej nazwie „pańska skórka”, gumista substancja posypana cukrem pudrem, a ujawniająca każdą szczelinę w zębie. Wielkie owłosione ucho księdza w konfesjonale pachnie kadzidłem.

Kolorowe święta w ołowianej ramie socjalizmu. Jaki to dziwny obraz! I ta prywatna ekonomia, w betonowych ramach centralnie kierowanego państwa.

Bezzębna Pani Stasia co handluje mięsem, a przy okazji alkoholem. Rozpakowuje to mięso z gazet jakby wyjmowała jedwabie. Czy jest coś bardziej czułego niż mięso? Targowana się o cenę pochylając się badawczo nad jego purpurą.

Baba wiejska z jajami i serem, jej zapach przenikliwy, ale naturalny. Drewniane budki warzywne z żurkiem w butelkach, beczkami gdzie zapach kapusty i kiszonych ogórków

do dziś wrusza ślinianki w ustach. I te niemal kryształowe pękate syfony do jednorazowego użytku, tak ciężkie, że nie było łatwo je dźwigać, syczące cicho i żałośnie.

Zasapany listonosz z torbą pachnącą skórą, a mieści się w niej cały świat, zamknięty w kolorowych pigułkach pocztowych znaczków.

O świcie słodki brzęk roznoszonych butelek z mlekiem i wieczorny pusty brzęk wystawianych butelek. Krzyk z podwórka ostrzyciela noży, krzyk sprzedających kartofle z konnych wozów, krzyk „butelki, szmaty skupuję”, krzyk baby wiejskiej jagody, jagooooo... We wszystkich tych okrzykach słowa nie mają brzegów i zlewają się w jedno.

Za to podwórko o granicach zupełnie oczywistych, ze stolicą w postaci trzepaka, a na nim przewijają się coraz inne figury z niebywałym widokiem dziewczęcych majtek. Odliczanki przed zabawą w chowanego, przekazywane z pokolenia na pokolenie wytrwale jak pieśni Homera.

Pokraczne gołębniki przylepione do dachów domów i pocztowe gołębie kołujące falującą chmurą z wlepionymi w nie oczami gołębiarza, którego włosy rozdzielone przedziałkiem błyszczą w słońcu.

Ulice z kocich łbów, a każdy kamień ma inny pysk. Jakaż to bogata ulica zrobiona z tyłu głów. Czepianie się cycka konnego wozu, i długi jęzor bata, który ściga uciekające dłonie. Potem podniosły akt asfaltowania ulicy i akt wylewania betonu, bo nie wiedzieliśmy, że asfaltem i betonem pokrywa się żywą tkankę dawnego świata.

Moja Warszawa miała jeszcze żywe ślady wojny. Domy z otwartym bokiem jakby je rozplątał tasak rzeźnika. Zapach mokrej cegły, zapach śmierci. Potem dłonie ludzi układające nowo narodzone cegły. Godzinami z zapartym tchem podglądałem przez okno jak rodzi się dom z ludzkich dłoni, więc rozumiem, że magia i poezja odbudowy mogły uwieść dziecko, które jest przecież w każdym dorosłym, i zasłonić stalinizm.

Nawet kolarski Wyścig Pokoju wydaje mi się dzisiaj kolorową wstążką na plecionce z lat, a jej czerwony „pokojowy” kolor już zupełnie wypłowiał. Kiedy wyciągnie się rękę to czuć kształt rowerowej pompki, którą Staszek Królak miał dać w głowę ruskiemu zawodnikowi. I jak z tym wyścigiem, tak było z całym socjalizmem, wyścig miał ukazać jak kraje obozu walczą o pokój, a została w zbiorowej pamięci ta pompka. Sam zaś socjalizm, kiedy wydawało się, że jest zbyt chory i za stary na cokolwiek, urodził nagle kapitalizm.

Czy tak chory i brzydki socjalizm mógł urodzić ładne i zdrowe dziecko?

Tak, tamten świat już odszedł niemal zupełnie, a był on w dużej mierze urobiony przez efekty wojny, która narodziła się w... Berlinie.

Spędziłem niedawno trzy gwałtowne dni w tym miejscu gdzie dzisiaj zrasta się pęknięty kręgosłup Europy.

Berlin, Alexander Platz przytłacza swoją wielką pustką. Niebotyczna wieża zwieńczona monstualnym okiem owada, kiedyś czujne oko Imperium. W dole skulony w sobie, stłamszony wieżą kościół, a wszystko w okowach monotony betonowych bloków. Czy można było zbudować lepszą metaforę na stolicę wschodnich Niemiec? Berlin Zachodni po połączeniu sparszywał, to przyzna łatwo każdy. Kiedyś to miasto, ogrodzone wysokim murem ze swoją zoną śmierci — skąd po nocach wyły policyjne psy, a czasami było słychać strzały — było miastem niezwykle młodym, żywym, bo mając pętlę na szyi musiało mocno oddychać. A na co dzień widząc brak wolności, nieustannie uświadamiało sobie jak smakuje wolność. Gdy stało się to o czym nikt przy zdrowych zmysłach nie marzył, dwa miasta stanęły naprzeciw siebie jak dwoje ludzi, którzy żyli za grubą ścianą, a kiedy w końcu ściana runęła, nie potrafili ze sobą rozmawiać i nie wiedzą co robić w tak nagle obszernym pokoju. Jedni są spłoszeni nadmiarem zimnego światła, bo żyli w mroku, drudzy, że sąsiad nie jest młodą dziewczyną, a starą zniszczoną osobą bez płci.

Mur, który runął ujawnił piękną katedrę i niezwykle „Pergamońskie Muzeum”, ale co więcej, oprócz zaniedbań trudnych do uwierzenia? Tego muru dzisiaj wyraźnie brakuje miastu i wiele słyszałem głosów, że trzeba go było zachować na pamiątkę, a i jako laska by się pewnie też przydał. Kiedy na lotnisku Tegel mówię, że jadę do wschodniego Berlina, patrzą na mnie jakby ze smutkiem i ostrzegają, że to daleko. Od jakiegoś czasu można się już bez trudu dodzwonić z jednej do drugiej części. Jeden ze znaków, że inne różnice kiedyś też znikną. Ale nikt nie docenił ile to czasu zajmie, jak będzie trudne i kosztowne.

Tak oto wygląda kraj, który miał być dowodem, że socjalizm jest jednak możliwy. Niemcy Wschodnie to była wielka atrapa, fasada trochę błyszcząca, a zapleczegnięte. Dzisiaj dawny obywatel NRD konsumuje dwa razy więcej niż wytwarza, jest to oczywiście możliwe dzięki aktowi połączenia.

A miasto straciło formę i klasę, już nawet inaczej pachnie, nie wie gdzie się zaczyna i kończy, kim jest i dokąd zmierza. Kiedyś wschodnich można było poznać na pierwszy rzut oka po ubraniu, dzisiaj już nie. Ale te nowe ubrania zakrywają wnętrza urabiane przez kilkadziesiąt lat koszowego socjalizmu, który nastał tu po katastrofie. Ta katastrofa zdruzgotała morale społeczności, która podpisała pakt z czarnym diabłem, by po zbrodni hitleryzmu i strasznej klęsce podpisać pakt z diabłem czerwonym.

Fasady niektórych domów w miejscach reprezentacyjnych są wymieniane, czasami wypatrosza się wnętrza, a wtedy widać te wszystkie socjalistyczne przepierzenia, drewnopodobne wykładziny, błyszczące linolea, szare flaki socjalizmu.

W mieszkalnych budynkach urodzonych w fabrykach domów — te fabryki kupiliśmy i urodziły one mongoidalne dzielnice naszych miast — snują się korytarze bez końca, nudzą labirynty schodowych klatek, ściany błyszczą od zgniłozielonej olejnej farby, widać plamy i zacieki, które prowadzą ze sobą nocne gry. A jaka gama zapachów!

Ludzie zamykani tłocznie w klatkach wind zwijają w popłochu ogony pod siebie, aby ich nie deptać. Nieliczne kwiaty pogubione i wynędzniałe w tych korytarzach jak zwierzęta w ZOO.

A na mrocznej ulicy, gdzie kiedyś królowała enerdowska moralność, stoją dzisiaj niewiasty z płonącymi tyłkami, z wzburzonymi biustami, jak orientalne ptaki, a ciemna ulica cała się nimi czerwieni.

Sytuacja Niemiec jest dla nas niezwykle ważną lekcją. Skoro tak długi i bolesny jest akt połączenia się Niemiec wschodnich z Niemcami, które są jednym z najbogatszych i najlepiej funkcjonujących organizmów państwowych naszej planety, to w jak niezwykle trudnej sytuacji jesteśmy my, z naszą wielowiekową biedą, z niszczącymi wojnami, ze zdemoralizowaną tkanką społeczną i bez żadnej pomocy z zewnątrz? Na tle Niemiec widać heroizm naszej Wielkiej Zmiany. I jaka szkoda, że sami Polacy w tej Wielkiej Zmianie nie czują nawet jednego włókna heroizmu. Tak, nie ma dzisiaj w Polsce zupełnie poczucia wielkiego celu i wspólnej sprawy. Jak ktoś otwiera usta, to widać tam tylko pieniądze, one są dzisiaj głównym tematem rozmów i myśli ludzi, którzy jeszcze dziesięć lat temu śmiertelnie by się zgorszyli słuchając własnych słów i oglądając własne myśli.

Nasi politycy, nasze partie nie potrafią ukazać celu naszej drogi i zbudować wizji. A bez wizji nie ma żadnych

szans by stworzyć w społeczeństwie poczucie wielkiego celu, czy choćby wiary, że mimo obecnych bólów wspinamy się na szczyt. Nie ma w ogóle tego szczytu w polu czyjegokolwiek widzenia. Nie ma go też pewnie w rzeczywistości, ale to nie szkodzi. W życiu nieustannie wspinamy się na różne strome ściany, nie widząc, że są płaskie jak podłoga, przeskakujemy nie istniejące przeszkody, osiągamy wysokie miejsca, by odkryć, że co miało być himalajskim wierzchołkiem nie większe jest od szafy. Stąd tyle depresji właśnie po osiągnięciu celu. Ale właśnie te „szczyty” dają nam energię, bo trudno jest żyć bez marzeń, tak człowiekowi jak i społeczeństwu.

W wolnej Polsce nastąpiła gwałtowna inflacja marzeń, skarłały one do wymiaru finansowych i zawsze prywatnych interesów, nie ma już natomiast zupełnie marzeń zbiorowych. Po doświadczeniach faszystowskiej i socjalistycznej utopii można by się z tego nawet cieszyć. Ale jednak brakuje nam dzisiaj dramatycznie energii, która płynie właśnie ze źródeł idei. Czy suma egoistycznych energii zastąpi wizję?

Pamiętam dziecięce czasy gdy marzyłem, aby być prezydentem lub sportowcem, mój przyjaciel natomiast chciał być tylko kanalarzem. I oto prezydentem już być nie chcę, a sportowcem nie daję rady. Za to mój dawny przyjaciel nagle wszedł w politykę i niespodziewanie zrealizował swoje marzenie, bo zarazem zszedł do kanału.

Potem w wieku młodzieńczym moim upartym i wieloletnim marzeniem było obalenie komunizmu. Niebezpiecznie kiedy realizują się tak wielkie marzenia.

Artysta Kazimierz Dejmek? Jak paradoksalnie układają się losy ludzi. Wyreżyserował słynne „Dziady” w roku 68, od których zapłonął ogień studenckiego Marca. I chociaż był zupełnie mimowolnym twórcą tej iskry, to jednak zyskał miano bohatera. W 68 praktycznie nie miał wyboru, lawina zdarzeń zepchnęła go na stronę buntowników. Pod tą lawiną zagubił się zupełnie fakt, że to przedstawienie „Dziadów” miało być uhonorowaniem 50 rocznicy rewolucji październikowej. A prawdziwym winowajcą był Mickiewicz, nie Dejmek. Jako, że nie można było ukarać wieszacza, to w zastępstwie Dejmka wyrzucono z partii.

W roku 81 kiedy mógł nareszcie sam wybierać, a powierze zaczęło krzepnąć na ulicach, zaś dramat opuścił teatr by wejść do fabryk i domów zwykłych ludzi, Dejmek stanął z

boku. Problem, że wtedy nie było boku. Ci co chcieli być z boku stali po stronie stanu wojennego.

Dzisiaj ten reżyser jako chłopski minister z ramienia postkomunistycznej PSL, zasiadł w pałacu gdzie mieści się Ministerstwo Kultury. To jeden z upadłych pałaców czasu, który już minął. Dejmek nastał po niejakim Góralu, ministrze, którego pamiętam sprzed kilku miesięcy, gdy jako niski urzędnik nosił teczkę szefa Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, mecenasa Chrzanowskiego. Minister Jerzy Góral nie był mocny w kulturze, ale ZChN dostało to stanowisko i trzeba było kimś je obsadzić, żeby się nie zmarnowało. A sam Góral wiele chorował, więc się nie naminirował.

Reżyser minister Dejmek na samym wstępie w wywiadzie dla *Rzeczpospolitej* uderzył w całe środowisko aktorskie.

„Bojkot aktorski był gestem kabotyńskim i pozera, który postanowił zatrzeć ślady swojej wiernopoddanej służby u różnych partyjnych dworów, no i oczywiście zaczęło się niepodległościowo leżeć krzyżem w Kościele. Dziś, gdy powiały nieco inne wiatry, wielu z nich zasililo szeregi antyklerykałów. Ach zostawmy to szkoda gadać”.

Nie, jednak trochę pogadamy panie ministrze. Wiadomo, że im bardziej praca była publiczna w PRL, tym bardziej człowiek był narażony na sprzedanie się tym co dysponowali sceną i reflektorami. Tak upadło środowisko pisarzy i aktorów. Aktorzy wydają się o wiele bardziej zależni od pisarzy, bo nie można grać do szuflady. Zresztą zawód aktora od wieków był obciążony brakiem powagi, aktorów uważano trochę za prostytutki, za ludzi niegodnych, bo czyż jest godne za pieniądze bywać kimś innym niż się jest?

Aktorzy PRLu grali więc te wszystkie role których wymagała nasza ruchoma scena. A głos Andrzeja Łapickiego do dziś prześladowuje nasze uszy w dawnych kronikach filmowych. I fakt, że właśnie oni, aktorzy ujawnili nagłe swoją moralną twarz i prosty kręgosłup, jak w blasku zdjęcia rentgenowskiego, jest niezwykle. Dejmek nazywa bojkot „gestem kabotyńskim”. Kabotyńskie gesty to takie, które są głupie, nieprawdziwe, bez elementu prawdziwej odwagi, za które nie płaci się żadnej poważnej ceny. Wartość oporu w stanie wojennym, nie tylko tego środowiska płynie z faktu, że tak naprawdę to nikt z nas nie wierzył w zwycięstwo. Był to gest pokonanych, którzy nie godzą się z powrotem totalitarnego reżimu, z upokarzaniem zdrowego rozsądku, z upodleniem własnej ojczyzny i siebie samych. Było to działanie bezinteresowne, odruch moralny. Zdarza się, że tak zachowuje się cała społeczność.

W sytuacjach skrajnych ludzie oddają masowo życie, za jakąś sprawę, niestety nie zawsze jest to święta sprawa, ale czasami taką jest. W stanie wojennym całe środowiska, rzesze zwykłych ludzi, zachowywały się odważnie i z determinacją, nie myśląc o własnych prywatnych interesach, gotowi byli poświęcić wiele dla idei demokracji i wolności. Dejmka to gorszy.

Na zdrowy rozum sytuacja Polski jest bardzo dobra. Mamy jednak wolność i jednak demokrację. Koniunktura międzynarodowa jak na razie jest niezwykle korzystna, zagrożeń z Zachodu zupełnie nie ma, a ze Wschodu? Z tego kotła może wyleźć każde monstrum, ale póki co wylaź tylko Żyrynowski.

Lament z powodu sukcesu wyborczego Żyrynowskiego w Rosji, powinien być stonowany właśnie w Polsce, bo Tymiański nie był od tego rosyjskiego ekstremisty o wiele mądrzejszy. I tylko jak większa jest Rosja i jej problemy, tak i jej ekstremista gada większe głupstwa niż Tymiański.

To prawda, że nas nie chcą do NATO, ale to jeszcze nie żaden wyrok. Że to oburzające? Doprawdy po dwustu latach odtrąceń nie powinniśmy mieć złudzeń.

Ekonomia się męczy, ale wedle ekspertów z całego świata radzimy sobie nadzwyczaj dobrze. Używając tak modnej u nas dzisiaj metafory samochodowej, a kiedyś była okretowa — nikt jednak nie jest w stanie dać głowy, czy naprawdę wyszliśmy z zakrętu, w który być może weszliśmy ze zbyt dużą szybkością. Nadal po obu stronach barykady można znaleźć mądrych ludzi. Jedni twierdzą: nasz szybki marsz do kapitalizmu, prywatyzacja, to było genialne posunięcie taktyczne. Drudzy mówią: z liberalizmu zrobiono doktrynę i bez sensu zniszczono polską ekonomię.

Unia Pracy, SLD, PSL, którzy podzielają ten ostatni sąd, chociaż mają teraz w parlamencie większość, bynajmniej nie próbują udowodnić słuszności tej tezy. Tłumaczą się, że pojazd, a w domyśle kochana nasza ojczyzna Polska, mknie ku przepaści, ale jest tak rozpędzony, że nie można ostro hamować: „Tylko zły kierowca z całą siłą naciska na hamulce lub nagle skręca w lewo” — tłumaczy istotę dramatu Premier. I oto proponuje budżet, który jest kontynuacją polityki zabójców Polski.

„Zmądrzeli i otrzeźwieli” — mówią głosy przychylnie z opozycji, gdy nieprzychylni krzywią się — „paskudni oportuniści”.

A naród jest nadal nieszczęśliwy. Ten naród z rozpaczy i przekory wybrał postkomunistów. Jeżeli spełnią oni wyborcze obietnice to prawie na pewno nastąpi gospodarcze załamanie, jeśli nie spełnią, to ci sami zawiedzeni ludzie mogą zachwiać istniejący porządek. I wtedy na scenę wkrocza Wałęsa, o którym wszyscy mają coraz gorszą opinię, ale nie aż tak złą by nie uznać go za mniejsze zło.

Wedle badań przeprowadzonych przez Sopocką Pracownię Badań Społecznych, 60% społeczeństwa nie jest zadowolone z Lecha Wałęsy. A co drugi badany mówi, że często lub bardzo często czuje rozczarowanie w stosunku do niego.

Historia jest po brzegi wypełniona poczuciem społecznej tragedii, myśleniem, że czasy są złe, lub straszne, a idą jeszcze gorsze. Potem mija wiek i potomni patrzą na ten okres jako na pełen światła. Tak nawet dzisiaj spory procent Polaków spogląda na komunizm. Z badań wynika, że szczególnie dobrotliwym okiem na niedawną przeszłość patrzą gospodynie domowe. A przecież kto nie pamięta czasów, gdy w naszych sklepach królował ocet. Zastępy butelek z octem zasłaniały puste półki. Nie widać jednak na większą skalę zjawiska ucieczki od wolności. Ludzie chcą zachować obecne przywileje wolności, ale uzyskując zarazem zwiększenie bezpieczeństwa socjalnego. I głosując na postkomunistów głosowali właśnie na to, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie wierzył, że nastąpi ograniczenie demokracji.

Ale Polska dzisiaj to jednak zbiornik dla różnych rozczarowanych. Jest duża grupa, których zawiodł komunizm, których zawiodła „Solidarność”, zawiodła Unia, prawica, Wałęsa, których zawiodą postkomuniści. Komunizm był nie do zniesienia, a kapitalizm jest zaskakująco mało apetyczny. Kto by wstał i pokazał trzecią drogę, choćby ona nie istniała, a tylko dobrze by ją skłamał, może wygrać najbliższe wybory prezydenckie. Na razie uderza brak takich kandydatów. Ale brakuje też dużej klasy polityków, a spalanie się istniejących, wydaje się dramatem nowych czasów. Wybory są za dwa lata, Polska liczy 40 milionów, a nigdzie nie widać osoby, co by się nadawała na Prezydenta. Bardzo to jest osobliwe.

Na 43 swoje urodziny Mieczysław Wachowski dostał prezent w postaci tytułu ministra stanu, teraz jest najwyższy

rangą po Prezydencie. Wałęsa wysłał do jubilata list ze słowami: „Byłeś przy mnie zawsze, kiedy potrzebowałem cię najbardziej. (...) Sam nie wiem, skąd czerpiesz tyle energii, zapału, a nade wszystko — cierpliwości”.

Ten list jest w stylistyce dobrze znanej Prezydentowi modlitwy: „Aniele stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój”.

Minister stanu Wachowski jest jednym z bardziej milczących polityków w świecie, nie wiadomo jakie ma poglądy, może ich w ogóle nie ma. Nic dziwnego, że powiedział po nominacji, „Trudno mi w tej chwili znaleźć słowa...”.

„Miecio został ukonstytuowany. Nikt nie będzie się już teraz mógł Miecicia czepiać” — powiedzieli urzędnicy z Belwederu.

Wałęsa najwyraźniej już się zdecydował. Nie posiada teraz prawie zupełnie zaplecza politycznego. Kiedyś miał wokół siebie ludzi, którzy do jego intuicji wsadzali wkładkę intelektualną, dzisiaj posiada ludzi, którzy tylko wkładają mu buty. Posiada więc wiernego Wachowskiego, który bardzo się krząta, mota, załatwia, węszy. Sam przecież kiedyś powiedział: „musi być ktoś, kto to wszystko trzyma w garści”. Ale czasami chwyci w garść za mocno!

Oto dawny spowiednik Lecha Wałęsy, pan na włościach kościoła św. Brygidy, prałat Henryk Jankowski, oskarżył publicznie Mieczysława Wachowskiego. Powiedział, że w czasach gdy jego ucho służyło jako kanał, którym płynęły do Pana Boga grzechy Prezydenta, to był świadkiem jak Wachowski nie pozwalał spotkać się z Wałęsą prezesowi Banku Narodowego Wójtowiczowi, który chciał mu przekazać informacje o nadużyciach. Te nadużycia to nic innego jak słynna gigantyczna afera ART-B. Ale wszystko grzęzło wtedy w gabinecie szefa gabinetu. Czy prałat Jankowski nie mówi prawdy?

Wachowski pytany przez dziennikarzy najpierw oświadczył, że „nie będzie komentował niepoważnych wypowiedzi śmiesznych ludzi”. Czyżby Wałęsa przez tyle lat śmiesznemu i niepoważnemu księdzu powierzał wszystkie skarby swojej duszy? Ten ksiądz dzisiaj ubolewa, że „mamy mężów stanu, którzy sami się kompromitują”.

Wtedy Wachowski zrobił się bardziej rozmowny i obnażył korzenie przyjaźni księdza i Wójtowicza, wówczas Prezesa Narodowego Banku; „To w tym właśnie okresie został wybitny w srebrze medal z podobizną księdza prałata, z napisem 'Obrońca praw człowieka i Solidarności’” — przypomina Wachowski, który nawet posiada taki medal. Ksiądz gwałtownie protestuje, że medal nie jest ze srebra i nie był bity

w państwowej mennicy.

Ksiądz Jankowski to też barwna postać. Znajomi, którzy byli kiedyś w jego mieszkaniu opowiadali, że wiszą tam na ścianie trzy portrety. Jeden przedstawia Matkę Boską, drugi Piłsudskiego, a trzeci samego księdza Prałata. Wszystkie są jednakowej wielkości.

W całym tym publicznym obgadywaniu się nawzajem nie byłoby niczego niezwykłego, gdyby ów magiel nie rozsiadł się na skrzyżowaniu: kościół św. Brygidy, Narodowy Bank Polski i Belweder.

Gdy już daliśmy głos duchownym, to może warto w poincie zacytować biskupa Jana Chrapka, „Będziemy pokoleciem zniszczonym, przez siebie samych zmarnowanym, jeżeli my wszyscy nie odważymy się powiedzieć: pogubiliśmy się w całym tym bigosie ostatnich czterech lat”.

Dalej biskup jako jedyną i ostatnią szansę proponuje jakieś miejsce gdzie byśmy: „jeszcze raz się spotkali”. Obawiam się, że tylko wiara w życie pozagrobowe daje tu pewne nadzieje.

W polityce zrobiło się znacznie nudniej, co nie znaczy, że mądrzej czy bardziej elegancko. Na zapleczu prawica próbuje się jednoczyć po wielkiej klęsce, Wałęsa puszcza do nich oko, ale nie dostaje w odpowiedzi za wiele uśmiechów. Unia się żeni z liberałami, ale sama choruje na różne wstydlive choroby, więc kto wie czy nie zrobi krzywdy liberalnej partnerce. Młodzi członkowie Unii mówią coraz głośniej, że starzy muszą odejść z powodu politycznej sklerozy. Prof. Geremek niby jest gotowy odejść, ale zaraz dodaje, że „zapal młodych powinien być połączony z mądrością starych. Problemem nie jest wymiana generacyjna, a niewielkie rozmiary sceny politycznej: Warszawa, ulica Wiejska i kilka kawiarni. To chorobliwe”.

A w najciemniejszym kącie politycznych kulis X splata spotkania Kwaśniewskiego i Mazowieckiego, by dogadać Unię i SLD i w ten sposób zerwać sojusz SLD z PSL. Opowiada mi o tym szeptem Y. weteran opozycji, zawsze pamiętam taki zasadniczy w sprawach ideowych, jak bywa ksiądz w sprawach dogmatu wiary, a mówi mi teraz o tym, jak o akcjach banku. O akcjach banku też mówi, że w nich dobrze ulokował pieniądze. Tyle my, dawna opozycja.

A postkomuniści? Trzeba uczciwie przyznać, że nie robią zbyt dużych głupstw, co było chyba do przewidzenia, czyli nasze reformy nie wydają się zagrożone. Trochę kreatur

wychynęło ze szczelin, ale nasze kreatury mają równie rozognione pawianie zady. A system bankowy jak kulał tak kuleje, a i system podatkowy jest kaleki skoro wszystkim prawie udaje się ukryć dochody. Wielkie urzędy centralne dalej wypłukują się z fachowców, są jak chorzy starzy ludzie z zaburzeniami krążenia, z żylakami na nogach i dolegliwościami hemoroidalnymi. Mafia taksówkarska jak rządziła ulicami Warszawy tak rządzi, a ja znów gdy spotykam prezydenta Warszawy to nie mam nawet ochoty go o to pytać.

A państwo pod rządami postkomunistów nadal zarządza wielce centralnie. Są nowe lawinowe podwyżki; telefony, benzyna, rosną czynsze. Państwo w panice wysysa pieniądze by podreperować budżet, dać o 200 tysięcy więcej najbiedniejszym i tak zatkać papierem rozkrzyczane dzioby: „Obiecaliście to teraz dawajcie”. Ale ci biedni już widzą, że ta macka za dnia daje, a ssawka w nocy zabiera.

Organizacja pracy w Polsce ma nadal charakter skurczowo-rozkurczowy. Dawny typ szefa w postaci nomenklaturowego urzędnika posłusznego władzy, nieco zastraszonego, z reguły bez klasy i bez wyobraźni, ale za to, dosyć sprawnego, zastąpiły dzisiaj rzesze ludzi nagle oderwanych od prac naukowych i ambicji artystycznych. To są zwykle postaci ekscentryczne. Problem, że nowe czasy potrzebują ludzi, którzy są skrzyżowaniem inteligencji oraz imaginacji z rutyną. Należy instytucje przekształcić, nie niszczyć profesjonalnej urzędniczej tkanki oraz pewnych rutyn. Starzy tego nie potrafią, bo nawet nie wiedzą o co chodzi, gdy nowi nie mają narzędzi do przebudowy. Nie bardzo też zresztą wiadomo co budować, jak przekształcać, bo nadal wszyscy są skrępowani kaftanami przestarzałego prawa. Jako, że nowe ze starym nie chce się krzyżować, jak nie krzyżują się różne gatunki zwierząt, problem jest załatwiany w ten sposób, że nowi mają jako zastępców starych. Powstaje wtedy mutacja żółwia z żyrafą. A ten mutant porusza się właśnie skurczowo-rozkurczowo.

O tym jak nowe czasy zmieniły nasze widzenie wzbogacając je o problemy świata, których kiedyś nie dostrzegaliśmy zajęci własną tragedią, już pisałem kilkakrotnie. Ale to dotyczy też odmiennego czytania sztuki, również literatury, gdzie z tego samego utworu wyluskujemy dzisiaj dramat indywidualny, gdy wczoraj wylawialiśmy dramat społeczny.

Wielki Artysta zamyślił się nagle siedząc naprzeciw mnie przy stole w eleganckiej restauracji.

„— Czy wolność nie ma u nas już żadnej ceny, czy Polacy naprawdę nie wiedzą, że są wolni, i że wolność jest wielką wartością?”

Artysta posiada nie tylko obszerny i czuły umysł, ale ma przy okazji środki, które pozwalają mu pić wolność z każdego naczynia. A miliony Polaków biorą wolność w ręce i zanim doniosą do ust, to nie ma tam nic.

„Teraz możemy nareszcie wracać do tego co najbardziej lubimy, i co najlepiej robić umiemy — mówi Artysta — nie mamy już wobec Polski żadnych zobowiązań. Zrobiliśmy co było w naszej mocy. Niewiele nam się udało, ale i też nie popsuliśmy zbyt wiele. Jest dzisiaj dosyć okropnie, ale działają naturalne mechanizmy, nam już nic do nich. Jest parlament wybrany w naprawdę demokratycznych wyborach, nasz głos nie może być mocniejszy od głosu ludzi wybranych przez naród. I jednak jest wolność!”

Coś w tym jest, coś jest, myślałem, zastanawiając się czy mi z tym dobrze, że nie mam już wobec Polski żadnych obowiązków, oprócz tych podstawowych. I myślałem, że jeśli to prawda, to jest ona dramatyczna, bo od dawna ten kraj nie potrzebował tak bardzo wnikliwej oceny, czym jest dzisiaj oraz wizji literackiej oraz intelektualnej, czym chce być jutro?

SMECZ

Fakir

W minionym ustroju powiat nasz miał być przemysłowy. To znaczy fabrykę mieli nam zbudować, bo żadnej u nas nie było, a bez fabryki, wiadomo, nie wypada. Przyjechali, wyrąbali polanę w lesie i na tej polanie komin wielki postavili. Pytaliśmy się, bo zawsze człowiek jest ciekawy, jaka to fabryka będzie i co wyprodukuje. Powiedzieli, że będzie duża, a co wyprodukuje, to niech nas o to głowa nie boli bo wyprodukuje to, co trzeba. Potem pojechali i już nie wrócili bo ustrój się zmienił. A komin został.

Wstyd nam było, że fabryka niby jest, bo komin, ale jej nie ma, bo nie ma. Więc żeśmy wynajęli Józka spod lasa, żeby w kominie póki co palił, jak już jest komin to niech będzie i dym, a sami daliśmy ogłoszenie w WALL STREET JOURNAL:

POSIADAMY KOMIN. MOŻLIWOŚĆ DOBUDOWANIA FABRYKI.

Na razie wszystko było dobrze. Dym z komina szedł, zatrudnienie w powiecie było, bo Józek, a z Wall Street jakiś kapitalista przyjedzie i fabrykę nam dobuduje.

Czas mijał i kapitalisty widać nie było. Dopiero pod jesień jeden przyjechał. Hindus.

Bardzo żeśmy się ucieszyli, no bo kapitalista i jeszcze bardziej, że z Indii, bo już się martwiliśmy, że przyjedzie jakiś Żyd albo Niemiec. Hindus komin obejrzał, powiedział, że właśnie takiego szukał i że dobudować fabrykę to drobiaz, tylko trochę czasu mu na to trzeba. Jasne, że trzeba, więc zawarliśmy umowę, że zostanie u nas dopóki nie dobuduje, a tymczasem będzie miał wikt i opierunek za darmo.

Zamieszkał u wójta, zaś stołował się w restauracji przy rynku, a wójtówna mu turban przepierała. Grzeczny był, nie można powiedzieć. Nikomu w drogę nie wchodził, jadł co mu

dali, a szczególnie lubił ruskie pierogi i piwo. Tylko księdzu proboszczowi podpadł bo do kościoła nie chodził. Myśmy mu tego nie mieli za złe, bo to przecież poganin, i tak do piekła pójdzie, ale ksiądz proboszcz na to, że to nie jest żadne usprawiedliwienie, bo jak poganin to niech się wychrzci.

Zresztą nie pokazywał się wiele, tyle co do restauracji i z powrotem. Przeważnie siedział w domu i nad dobudowaniem fabryki pracował.

Ciekawi byliśmy jak mu to idzie, ale nie śmieliśmy go o to zapytać. Poprosiliśmy więc wójtówną, żeby podglądnęła przez dziurkę od klucza. Ona na to, że już podglądnęła, ale nic ciekawego bo on tylko siedzi i gra na fujarce. Bardzo nas to zdziwiło i postanowiliśmy się z nim rozmówić. Poczekaaliśmy na niego w restauracji, a kiedy przyszedł na obiad, pytamy:

— Co jest z tą fujarką.

— U nas w Indiach taka specyfika. Siada się i gra na fujarce. Wtedy lina, albo co, położona na ziemi, w kłębek zwinięta, porusza się, jej koniec się unosi, w górę się wypręża i po chwili cała stoi jak drut.

— No dobrze, ale co to ma wspólnego z fabryką.

— Z fabryką jest tak samo. Zagra się na fujarce i fabryka stoi. Właściwie to miał rację. U nas też fujarki odgrywają dużą rolę, zwłaszcza w życiu gospodarczym. Ale zostało nam trochę wątpliwości.

— A długo tak grać trzeba?

— Zależy od fabryki. Jak duża, to długo, a jak mniejsza, to krócej. Panowie życzą sobie dużą, czy mniejszą?

Popatrzyliśmy po sobie. Przydałaby się duża, ale widzimy, że on do schabowego zamówił ćwiartkę, a stołuje się już od jesieni. Z drugiej strony... Mamy przecież pod względem gospodarczym doścignąć Japonię, a to nie może się obejść bez kosztów.

— Niech będzie duża.

— Załatwione — powiedział Fakir i zamówił drugą ćwiartkę, bo pierwszą już wypił.

Pożegnaliśmy się, żeby mu nie przeszkadzać. Niech pracuje.

Na Wielkanoc wciąż jeszcze fabryki nie było. Za to wójtówna zaszła w ciążę, a Fakir zniknął.

Nie mieliśmy mu za złe. Fabryki nie mamy, ale mamy przyrost naturalny, a to jest najważniejsze. Duży naród — silny naród.

Grudzień 1993,

Copyright Diogenes Verlag, Zurich Sławomir MROŻEK

Wiersze

Johannes BOBROWSKI

SARMACKA RÓWNINA

Duszę,
pełną mroku, późno —
dzień z otwartym
tętnem, błękit —
śpiewa równina.

Kto,
jej falującą pieśń,
to powtarza, zaklęty
w wybrzeże, jej pieśń:
morze, po sztormach,
jej pieśń —

Ale
słuchają cię przecież,
wysłuchują, miasta,
białe i ciche
od dawnych brzmień.
Na nich twoje przestworza,
ciężki zapach,
jak piasek.

I
wioski są twoje.
Zieleniące się dla ciebie
przy gruncie, drogami,
wąsko, rozbite szkło
z łez, w zgliszcza
obrócone twoje lato:
śląd popiołów,

tam było stąpa miękko,
przed ciemnością,
oddychając. I dziecko
idzie za nim
pogwizdując, za nim
przez płoty
woła staruszka.

* * *

Równina,
olbrzymi sen,
olbrzymi od marzeń, niebo
dalekie, brama dzwonu,
w sklepieniu skowronki,
wysoko —

Popłyn do swoich bioder,
wilgotne
cienie lasów, niezliczone
te jasne pola,

gdzie wkroczyły ludy
na ulicach ptaków
na przedwiośniu
ich nieskończony czas,

których bronisz
z ciemności. Widzę cię:
trudne piękno
nieprzejrzystej glinianej głowy
— Isztar albo innego imienia —
znalezione w szlamie.

Johannes BOBROWSKI
Przełożył Andrzej Pańta

Marzena BRODA

* * *

Rzeki dojrzewają do powodzi w moich źrenicach,
by oczy przestały widzieć. Jak w mieście,
gdy zgasło każde światło, trudno się z miejsca ruszyć.
W pamięci są jednak zaznaczone drogi,
którymi strach nie rządzi, za krokiem jest następny krok,
stopy wystarczy oprzeć na powietrzu,
więc schodzę ze świata po omacku, tylko dłaczego
bocznymi schodami?... Ręka dotyka poręczy,
której nie ma w zasięgu, zawsze było wilgotno i mroczno,
lecz teraz jest gorzej, schodzenie nie ma końca.
Samobójstwo przeważnie prowadzi donikąd,
a życie po nim bardziej się wyludnia i,
jeśli wysiadać z pociągu to lepiej wiedzieć na której stacji,
niż potem błędzić, dachu szukać nad głową,
a śmierć jak przyjaciela obwiniać o zdradę...
Myślę, że wkrótce usłyszę nie żałobne dźwięki,
one oznajmią, że zbliżam się i z płaczu jak z labiryntu
wychodzę, tuż koło domu, wprost na mój cień,
który porzuciłam w niewłaściwym dniu,
tak jakbym zapomniała swój głos i wszystkie wiersze,
choć zamierzałam przecież wrócić,
nie usłyszycie nigdy głośniejszego żalu.

Marzena BRODA

Bolesław TABORSKI

„ES GIBT KEINEN JÜDISCHEN WOHNBEZIRK...”

„nie ma już dzielnicy żydowskiej w Warszawie” —
podobno to nieprawda bo to głosił Stroop
kat getta hitlerowiec więc czarny charakter
a jednak... jednak... gdzie jest ta dzielnica?
gdzie są ci Żydzi jak tylko na kirkutach
z potłuczonymi nagrobkami jak tylko

w pianie na ustach histerycznych bab
w zakłamaniu potomków tych pono nielicznych
szmalcowników węszących za łupem
no i jeszcze pielgrzymi z izraelską flagą
co w Polsce widzą tylko miejsca kaźni
i okropnych antysemitów — zgroza
jedni i drudzy jakże jednostronnie
w swych uwarunkowaniach postrzegają świat —
tak nie możemy nie możemy trzeba
przerwać ten łańcuch wrogości uprzedzeń
pamiętać trzeba że ta polska ziemia
święta jest także jako grób milionów
i że drzewek w Yad Vashem więcej by sadzono
gdyby się pchali do nich wszyscy sprawiedliwi
a rzeczywistość wbrew sloganom głupców
nie jest tak prosta ni jasna ni ciemna
ale złożona — „owoc miłości pokoleń
która przerosła nienawiść” — jak pisał poeta
co mosty przerzuca i sobą zwycięża
ten świat... ten świat i już wiemy:
odtąd żydowska dzielnica jest wszędzie
jako znak smutku gniewu i pamięci
i pojednania i trudnej miłości

Toruń, 7.5.93

Bolesław TABORSKI

Ewa SONNENBERG

WYROK

Przed sądem przypadkowym zbiegowiskiem głodnego tłumu
Metal Falszywa przypowieść o wojnie Ciecz
w probówce alchemika Siedem gwiazd Róża
Jerycha Latający dywan Raport o stanie wolności
Kłęska żywiołowa Ekologiczna masakra Rzeź
niewiniątek XXI wiek Zbrodnie

* K. Wojtyła, *Mysząc ojczyzna*.

wygrane na nosie Hymny do własnych ułomności
Kobieta czy mężczyzna Przekładanie podań
z biurka na biurko z drzewa na drzewo
Taki sobie stryczek

SALON BIEDY

Przy gorzkiej kawie i suchym chlebie
można wydłużyć artyzm
Pokusić się o uzupełnienie garderoby
kreować tworzyć gdybać Finał:
ogrzeje niezależność
luksus
sztuka dla sztuki
Happening za darmo
jeszcze lepiej literatura
w kawałkach I znajdzie się kolejny
Rimbaud napisze wiersz
na dwa głosy: duszy i żołądka
Wygra konkurs jednego wiersza
utnie romans z niedopieczonym
Verlainem i powiesi się
ze szczęścia Zostanie zapomniany A może
inaczej wróci do siebie
w sztuczne światło peronów
w iluminację rejsu dookoła świata
na metalowych ścianach pociągu

Ewa SONNENBERG

Kraj

Pożytek z utraty złudzeń*

Ledwie trzy miesiące temu („Karaul ustał”, MT z 15. X. 93) napisałem, że po zbrojnej rozprawie Jelcyna z parlamentem przeważą w Moskwie „raczej polityka odbudowy imperium niż budowy demokracji”, wobec czego „należy spodziewać się niekorzystnych dla nas zmian także ze strony Zachodu”. Pochlebiałem sobie, że jest to pogląd obrazoburczy. Wkrótce jednak okazało się, że nie kraczę samotnie na puszcy, lecz znalazłem się w pokaźnym chórze, gdzie nie zabrakło nawet głosu pana prezydenta. Część komentatorów sądzi, że demonstrując bez osłonek niezadowolone z „partnerstwa dla pokoju” Lech Wałęsa rozpoczął z dwuletnim wyprzedzeniem kampanię wyborczą do Belwederu. Może. Nie zgadzam się jednak z poglądem, że jest to propagandowy gest dobry dla pozyskania polskiej publiczności, ale bezskuteczny w stosunkach z Waszyngtonem, gdzie powinniśmy zabiegać o pozycję prymusa, ewentualne życzenia przekazywać szeptem i nie pozwalać sobie na publiczną krytykę wielkiego partnera.

Państwa zrzeszone w NATO są demokracjami. Na ich politykę zagraniczną można wpływać nie tylko kanałami tajnej dyplomacji, ale i odwołując się do opinii publicznej, która musiała zauważyć niekonwencjonalne demonstracje Wałęsy. W otoczeniu Billa Clintona wywołało to zapewne irytację. Myślę jednak, że nic nie tracimy odstępując Czechom pozycję prymusa we wschodnioeuropejskiej klasie Waszyngtonu. Pozycję tę zajmowaliśmy przez cztery lata, ale nie przyniosła ona Polsce specjalnych korzyści politycznych, gospodarczych ani obronnych. Pod względem bezpieczeństwa jesteśmy, jak cała

* „Magazyn Tygodniowy” *Gazety Robotniczej*, 21. I. 94.

Europa środkowo-wschodnia, w gorszej sytuacji niż dwa-trzy lata temu. „Partnerstwo dla pokoju” jest przecież równoznaczne z udzieloną na wyraźne życzenie Kremla odmową osłonięcia nas strategicznym parasolem NATO. Zamiast osłony otrzymaliśmy listek figowy, spod którego i tak wszystko widać.

Przez cztery lata, gdy liczyliśmy na wspomniany parasol, naczelną dewizą polskiej polityki zagranicznej było nie robić niczego, co mogłoby skomplikować decydom z Waszyngtonu i Brukseli ich międzynarodową grę. Takie samoograniczenie inicjatywy jest główną niedogodnością pozycji prymusa. Jest to też jedna z przyczyn, dla których nie dorobiliśmy się własnej polityki wschodniej. Dalsze wyrzekanie się samodzielnej inicjatywy na tym polu, żeby tylko nie przeszkodzić administracji Clintona w budowie nad naszymi głowami osi Waszyngton-Moskwa, byłoby z naszej strony absurdalne, zwłaszcza że prezydent i minister spraw zagranicznych RP powiedzieli już głośno, co na ten temat myślą. Skoro zaś powiedzieliśmy A, trzeba powiedzieć B, czyli zrewidować w praktyce te założenia polskiej polityki zagranicznej, które się nie sprawdziły.

Pewnie, że nie jesteśmy mocarstwem, a myśl o stworzeniu alternatywnego wobec NATO bloku obronnego jest mrzonką. Bezpieczeństwo zewnętrzne średnich i małych państw opiera się jednak nie tylko na sojuszach wojskowych. Istotnym czynnikiem zmniejszającym ryzyko są także międzynarodowe struktury współpracy politycznej i gospodarczej. Powinniśmy budować takie struktury nie krępując się wymogami zbliżenia amerykańsko-rosyjskiego, lecz poszukując partnerów zaniepokojonych obniżonym współczynnikiem bezpieczeństwa oraz takich, którym nie dogadza redukcja porządku świata do osi Waszyngton-Moskwa.

Myślę, że polski parlament mógłby wystąpić z inicjatywą międzynarodowego spotkania sił politycznych zainteresowanych taką wielostronną współpracą. Rzecz dotyczy przede wszystkim Europy Wschodniej, ale może wywołać zainteresowanie również na Zachodzie. W każdym razie nie ma powodu zamykać się w ramach Grupy Wyszehradzkiej. Wśród czeskich polityków, którzy odczuwają pokusę zajęcia lepszego krzesła w brukselskiej poczekalni, inicjatywa taka może nie wywołać entuzjazmu. Nie powinno jednak zabraknąć reprezentantów Ukrainy i państw bałtyckich, gdyż ich niepodległość ma kluczowe znaczenie dla regionalnego i europejskiego bezpieczeństwa. Nie powinno też zabraknąć ro-

syjskich demokratów przeciwnych powrotowi do polityki imperialnej. Nawet jeśli nie stanowią oni w swoim kraju większości, obecność ich będzie miała wielkie znaczenie, ponieważ bezpieczeństwo Europy zależy przede wszystkim od kierunku politycznej ewolucji w Rosji.

Chodzi przy tym szczególnie o współpracę gospodarczą. Zerwanie powiązań kooperacyjnych między krajami RWPG i w kręgu państw posowieckich jest jedną z głównych przyczyn załamania się gospodarczego, nie udało się bowiem wytworzyć nowych form współpracy. Postulat wejścia do Unii Europejskiej nie zostanie zrealizowany szybko i nie powinniśmy z tego powodu załamywać rąk. O ile bowiem członkostwo w NATO dałoby nam gwarancję bezpieczeństwa, a więc natychmiastowy i bezsporny pożytek, o tyle szybka i pełna integracja gospodarcza z Unią Europejską może być ryzykowna dla obu stron. Bez ochrony rynku krajowego przez cła, odrębność narodowej waluty i wysoki kurs dolara, ciosy zagranicznej konkurencji zrujnowałyby dziś jeszcze każdą postkomunistyczną gospodarkę. Tak właśnie stało się w NRD po zjednoczeniu, tyle że RFN wyasygnowała na złagodzenie społecznych skutków szoku ogromne środki, którymi inne kraje nie dysponują. Aby uniknąć katastrofalnego załamania, integracja ekonomiczna z Zachodem musi być długotrwałym procesem, pozwalającym na modernizację potencjału odziedziczonego po socjalizmie. Trudno to sobie wyobrazić bez odbudowy na nowych zasadach regionalnej współpracy gospodarczej, stworzenia systemu rozliczeń i odpowiednich instytucji bankowych. Dla całej postkomunistycznej Europy jest to w gruncie rzeczy problem bezpieczeństwa. „Partnerstwo dla pokoju” rozwiązało nasze złudzenia. Straconych złudzeń nie musimy żałować, bylebyśmy po stracie zmądrzeli. Czas przystąpić z własnej inicjatywy, nie czekając na pozwolenia i zachęty, do budowy partnerstwa dla rozwoju.

Karol MODZELEWSKI

Brudne szyby

1.

Najnowsze wydarzenia polityczne w Warszawie dają się z pozoru opisać dość prosto.

Obaj koalicjanci, PSL i SLD, znaleźli się wkrótce po starcie na kursie kolizyjnym i to z kilku naraz powodów.

Po pierwsze, niedookreślone zostały kompetencje i warunki współpracy wewnątrz rządu. Wiadomo było, że zgodnie z umową koalicyjną nominacje następują za zgodą obu stron, ale nie sprecyzowano, co się dzieje dalej: czy premier ma prawo nadzoru i ingerencji w „działki” wicepremierów i czy jego szef URM-u prowadzi politykę kadrową suwerennie, radząc się tylko premiera, czy też jest wykonawcą, poleceń rządu.

Po drugie, nie opracowano w istocie żadnego programu koalicyjnego, mimo że zaklinano się stanowczo, iż koalicja zamierza być trwała, stabilna i rządzić przez całą kadencję. W szczególności, nie uzgodniono zamierzeń konstytucyjnych, co do trybu opracowania i akceptacji nowej ustawy zasadniczej i co do takich zasadniczych jej rozstrzygnięć jak np. kompetencje prezydenta, rola samorządów i demokracji bezpośredniej, obecność i rola izby wyższej. Nie wiadomo czy nowy rząd wie, jakiej chciałby struktury administracyjnej kraju i jakiej pragmatyki urzędniczej. Nie uzgodniono także rozstrzygnięć w sprawach mniejszej zapewne wagi politycznej, ale brzemiennej w konflikty jak wszystko co dotyczy stosunków państwa z Kościołem katolickim.

Po trzecie, uzgodnienie, że „na początek” nie trzeba zadrażniać stosunków z prezydentem, obie strony potraktowały tak, jak gdyby rząd zwolniony był od obowiązku posiadania spójnej polityki zagranicznej i obronnej, a nawet od dbałości o bezpieczeństwo obywateli i wgląd w funkcjonowanie aparatu policyjnego.

Oczywiście, wszystkie pominięcia i zaniechania miały być chwilowe, do czasu opracowania i uchwalenia budżetu, utożsamianego na ogół z całością polityki gospodarczej, mimo że na samym początku napomykano, iż Centralny Urząd Planowania miałby odzyskać nieco splendoru, a program gospodarczy objąć przynajmniej pełną kadencję, cztery budżety...

Symbolem takiej niekompletności i nieraz niezborności usta-

leń koalicyjnych jest brak rzecznika rządu. Ewa Wachowicz, miss Polski 1992, jest jako rzeczniczka premiera nieporównanie bardziej przekonująca dla widzów niż dla słuchaczy; zresztą Zdobysław Milewski, w tej samej roli u premier Suchockiej, nie był taki ładny, a do powiedzenia też miał niewiele. Podobieństwo sytuacyjne sięga zresztą dalej: obie koalicje były mianowicie na wstępie równie niedopracowane, i w obu kierownictwo Urzędu Rady Ministrów znalazło się w rękach ludzi bardzo ambitnych, faworytów premiera, lubiących nie tylko rządzić, lecz nadto mieć szerokie koncepcje i opowiadać o nich. Michał Strąk nie mówi jeszcze aż tyle co Jan Maria Rokita — nie było czasu — ale równie nieostrożnie, i rzecznik rządu, który by samą swą funkcją zmuszał go do milczenia, jest mu na nic niepotrzebny.

Kiedy jest piękna pogoda, nie pada i nie wieje, można pomieszkać nawet w kiepsko skleconej budzie. Ale w Polsce zimą tego roku aż duje po dachach. W szpary pozostawione w koalicyjnej konstrukcji natychmiast wdzierają się zimne wiatry i deszcze. Chcąc nie chcąc, lokatorzy wiercą się niespokojnie szukając lepszego legowiska.

Możliwości konfliktu zawarte w niedopowiedzeniach i nieźbornościach kontraktu koalicyjnego aktualizują się jedna po drugiej.

Jest zapewne jeszcze za wcześnie, by oskarżać nowy rząd, jak to czyni Unia Demokratyczna, o niechęć do samorządów i wolę ponownej centralizacji administracji. Ale nie ulega kwestii, że mając na widoku niedalekie wybory samorządowe wszyscy mobilizują na gwałt swoich, nie wiadomo jak to zwać — po staremu aktywistów czy po nowemu notabli w terenie. Nie powinno to oburzać Jana Marii Rokity, który dzisiaj nie ukrywa, że wielka kampania propagandowa o przywrócenie powiatów — drukowano przecież mapy i przyjmowano delegacje przyszłych powiatów, choć wszystko było jeszcze w lesie — miała na celu pozyskanie dla Unii Demokratycznej i premier Suchockiej lokalnych elit z przynajmniej 300 nowych stolic administracyjnych. Nowy szef URM-u, Michał Strąk, nie ma równie dobrych pomysłów. Dochodzi nawet do kompromitacji jak np. rządowy projekt reorganizacji rejonu stołecznego. Mniejsza już o to, że patronuje mu ten sam doradca, prof. Michał Kulesza, który Rokicie „robił” powiaty: wtedy ponoć decentralizował samorządność, a teraz ją — w Warszawie — centralizuje, likwidując samodzielne samorządy dzielnicowe na rzecz jednolitej gminy Warszawa, z milionem mieszkańców. Wiadomo, że nie-

podobna kontynuować w stolicy rozbięcia dzielnicowego, ale o dziwo, nikomu w URMie nie przyszedł do głowy pomysł dwóch szczebli samorządu, choć dopiero co zaprojektowano właśnie takie dwa szczeble w powiatach. Istotą projektu nie jest jednak, by tak rzec, jego autor, jest nim ustawowe upoważnienie premiera do wprowadzenia w stolicy zarządu komisarycznego, w praktyce zupełnie samowolnie.

Wiele uwagi — bardzo krytycznej — przyciąga polityka kadrowa duetu Pawlak-Strąk i koncepcja administracji publicznej, która spoza niej prześwieca. Strąk, na naradzie w Bydgoszczy, wręcz „rzucił myśl”, że należałoby zaprowadzić obyczaj — nie wiadomo czy ustawowo — iż po wyborach wszyscy wojewodowie oddają się do dyspozycji nowego premiera, a ten dopiero decyduje, kogo pozostawia na stanowisku. Przywołano przy okazji przykład prefektów we Francji, zapominając, że tworzą oni nietykalny *corps*, podczas gdy nasi zdymisjonowani wojewodowie odchodzą w niebyt; ale jest skądinąd interesującym faktem, do jakiego stopnia fascynuje naszych polityków, od Wałęsy Lecha do Strąka Michała, francuska piramida administracyjna. Otwarte upolitycznienie pozycji wojewodów nie jest zapewne niczym absurdalnym, ostatecznie wymienia się ministrów, można i wojewodów. Dowodzi jednak, że premierowi i jego głównemu współpracownikowi całkiem obca jest idea apolitycznej służby publicznej. Na wojewodach zresztą się nie kończy. Anegdotycznie zabrzmia zapewne, ale jest najzupełniej autentyczna wypowiedź posła PSL z Zamościa, który powiedział mi, że tamtejszy Urząd Wojewódzki trzeba „wymienić od góry do dołu”.

Trzeba gwoli sprawiedliwości przyznać, że rządy solidarnościowe nie mają wcale czystej karty. Aby trzymać się przykładu Zamościa, panująca tam do niedawna rodzina Zamojskich traktowała województwo jak swą ordynację. Trzeba też jednak stwierdzić, że niezależnie od wielkich koncepcji Michała Strąka działa on głównie pod presją terenowych działaczy PSL i posłów, którzy ich reprezentują. Kadra PSL „wrosła w kapitalizm” znacznie słabiej niż dawna nomenklatura PZPR: tamci byli przecież przewodnią siłą, mieli lepsze dojścia, lepsze protekcje, a również o wiele lepsze przygotowanie do nowego ustroju, fachowe i mentalne. PSLowcy siedzieli na miedzy, a za business mieli głównie dawne GS-y. Lepiej niż nic, ale mało. W rezultacie są o wiele bardziej niż tamci spragnieni posad i awansów w administracji. Na 18 nowych wojewodów tylko 2 jest z SLD...

Z konstytucją, która miała być priorytetem priorytetów,

obu koalicantom przestało się nagle spieszyć. Przypominają się czasy rządów solidarnościowych, zaś Aleksander Kwaśniewski jako przewodniczący Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego jest tak aktywny jak Mruczuś na piecu. Toczy się jakieś leniwe spory, kogo zapraszać na posiedzenia i które projekty rozpatrywać, prawica pozaparlamentarna zapowiada, że będzie przeciw, wszyscy zaś razem mają serdecznie dosyć Unii Pracy obstającej, jak Kato Starszy przy zniszczeniu Kartaginy, przy postulatcie referendum dyrektywnego. Dla polityków koalicji oddać w ręce społeczności decyzję o takich sprawach jak uprawnienia prezydenta i jego rola wobec rządu i parlamentu, istnienie Senatu, rozdział Kościoła od państwa, czy konstytucyjna równoprawność różnych form własności — to jakby wypuścić z rąk worek z pieniędzmi: te materie konstytucyjne są dla nich ważką monetą przetargową w kształtowaniu stosunków sił na scenie politycznej. Pisanie konstytucji jest zadaniem trudnym i na pewno wymaga spokojnej refleksji. Ale czasu było dosyć. Teraz nie ma co udawać, że naród reaguje zbyt emocjonalnie i prześlepia zawilości. Za to politycy rozumują zbyt interesownie, są zawsze skłonni traktować materię konstytucyjną jako polityczną i to doraźnie; pamiętni niedawnych doświadczeń wiedzą zresztą jak łatwo „poprawia się” konstytucję, od okazji do okazji.

W istocie rzeczy, koalicja nie ruszy z konstytucją, dopóki nie wyklaruje sobie, jak ma wyglądać przyszłość polityczna obu partnerów. Tutaj dotykamy jednego z dwóch głównych powodów zewnętrznych przyspieszonej obecnie aktualizacji koalicyjnych konfliktów, których możliwość zawierał niedopracowany kontrakt. Zarówno SLD jak i PSL rozglądają się za możliwą alternatywą obecnego sojuszu. Nie dlatego, by chciały ten sojusz zerwać, jak sugerują często dziennikarze, którzy z niecierpliwości czytają od razu zakończenie kryminału.

2.

Zarówno SLD jak PSL są zdecydowane kontynuować koalicję i są na pewno szczerze deklarując wolę wspólnego rządzenia przez całą kadencję. Ale bezalternatywność jest przez jednych i drugich odczuwana coraz wyraźniej jako niezdolne obciążenie. Tymczasem wokół — pokus przybywa.

Najpierw jest, jak zawsze, Kościół, którego tradycyjne kierownictwo, z kard. Glempem, postawiło bez żenady na dobre stosunki z PSL. W imię uratowania i utrwalenia zdobytych z poprzednich epok politycznych (Gierek-Jaruzelski,

Mazowiecki-Suchocka), ale również, o czym nie wolno zapominać, w imię poprawy bardzo nadwątlonych pozycji Kościoła w niższych warstwach społecznych. Kulturalnie tendencja ta może zaowocować cofnięciem się polskiej religijności i polskiego katolicyzmu do tradycyjnych form i postaw ideowych, ale to sprawa do innej dyskusji. Dla PSL, w którym na zbliżenie z Kościołem stawia sam Pawlak, linia ta ma, w pierwszym przybliżeniu, same pozytywy: PSL uzyskuje rozgrzeszenie definitywne i odpust zupełny, w zamian zaś potwierdza tylko to, co Kościół i tak już uzyskał (z konkordatem). Przy bliższym wejrzeniu widać jednak, że gra PSL z Kościołem snadnie i niepostrzeżenie przechodzi w grę z prawicą — jak na tych zebraniach sołeckich i parafialnych, na których głównym tematem politycznym jest wyklinanie Żydów i masonów. Tego sojusz z SLD nie mógłby przetrwać.

Drugim kramem z pokusami jest Belweder. Wałęsa i jego doradcy nie zrezygnowali wprawdzie z drugiej kadencji prezydenckiej, ale zdają sobie sprawę, że rzetelne szanse mogłoby mieć to przedsięwzięcie jedynie w sytuacji larum narodowego („powstań, mości Wałęsa”): tutaj Żyrynowski z Jelicynem, tam Kohl ze skinami, Clinton zdrójca nie dopuszcza nas do NATO, a w Warszawie postkomuch Kwaśniewski sięga po prezydenturę. W styczniu wszystkie te elementy zagrały razem, jakoż wskaźnik popularności prezydenta ruszył w górę. Zbyt słabo jednak. Larum narodowe może być czynnikiem wspomagającym, ale na pewno nie wystarczy, a sam w sobie, z właściwymi mu pomysłami i niewymienialną ekipą, Wałęsa jest po prostu kandydatem kontrproduktywnym: im więcej mówi i robi, tym bardziej się pogrąża. Nadto, i ten czynnik waży najbardziej, wcale nie wiadomo, czy warto będzie sięgać po drugą kadencję, jeśli konstytucja zredukuje radykalnie kompetencje prezydenta (a wszystkie sondaże dowodzą, że w referendum tak by się właśnie stało). Obraz zmieniłby się zupełnie, gdyby Wałęsa był uznanym kandydatem również PSL. To trudne przedsięwzięcie: prezydent jest na wsi bardziej niepopularny niż w którejkolwiek innej warstwie społecznej. Gdyby jednak nastąpił układ: Pawlak na prezydenta w r. 2000 (taki młodzian ma jeszcze czas), a już teraz Wałęsa namaszcza go na swego delfina? To o takich właśnie dalekosiężnych kombinacjach napomykał min. Wachowski w pierwszych kontaktach („na polowaniu”); Pawlak słuchał i milczał, co mu przychodzi z łatwością. Zapewne zauważył bez trudu, że całkiem odwrotnie niż w grze z Kościołem, Wałęsie PSL musiałoby świadczyć pierwsze i potem cze-

kać pięć lat na odpłatę... Niemniej, faktem jest, że Pawlak wyciszył do szeptu kontrowersję o koalicyjnych wiceministrów w resortach prezydenckich, i że ze swej strony Wałęsa odsyła, podpisane, odwrotną pocztą, zarówno ustawy uchwalone przez większość, jak i dymisje (Borowski!) przedkładane przez premiera.

Inaczej niż PSL, SLD pokus ma niewiele. Najgłośniejsze było o jakiejś kombinacji z Unią Demokratyczną, ale to się okazało księżycowym politykowaniem: jedyne, co Unia Demokratyczna, wkrótce zjednoczona z liberałami, mogłaby zaofiarować SLD, to żeby działacze w rodzaju Borowskiego czy Kaczmarka zgłosili akces do nowej partii, a wtedy by ich zapewne przyjęto, jak w swoim czasie przysłówiowego już Marcina Świącickiego... Innymi słowy, zamiast rozłamu w UD, rozłam w SLD. Teraz zresztą, po aferze z Borowskim, również lewe skrzydło Sojuszu odgraża się po kątach, że mogłoby zacząć kombinować np. z Unią Pracy.

Przed Pawlakiem jest zatem nadmiar mirażu, przed Kwaśniewskim nadmiar zagrożeń. To tłumaczy w dużej mierze ofensywną strategię premiera w sporze o Borowskiego-Kawalca i miękką SLD.

Tutaj zatem drugi z zapowiedzianych zewnętrznych powodów erupcji konfliktów wewnątrzkoalicyjnych. Powód jest bardzo prosty: prace nad budżetem są na półmetku i widać już coraz wyraźniej, że pokrycie dla obietnic premiera jest w tym preliminarzu cieniutkie, a kontynuacja aż bije w oczy. Zapewne jest to w jakiejś mierze logiczne: jeśli się rzeczywiście skręca, to powolutku, ledwo, ledwo jest na początek najbezpieczniej. Ale takie ledwo, ledwo na ogół trudno zauważyć, więc może wcale się nie skręca? Zagrożony wzrostem napięcia społecznego i utratą wiarygodności, Pawlak postanowił zrobić coś spektakularnego, co by przekonało wszystkich, bez obciążania budżetu, że jednak się skręca. Prywatyzacja Banku Śląskiego dostarczyła idealnego wprost pretekstu, ponieważ na dodatek do skuteczności Pawlak miał jeszcze, dymisjonując wiceministra Kawalca, stuprocentową rację (że zaś Borowski dał się — bez trudu — sprokować do złożenia dymisji, to wprawdzie dobrze świadczy o jego poczuciu honoru, ale kiepsko o umiejętnościach w grze politycznej). Kawalec, najwierniejszy przyjaciel Balcerowicza, jest człowiekiem uczciwym i sztywnym jak drąg. Obaj umyślili sobie w swoim czasie, że trzeba prywatyzować jak najszybciej i za każdą cenę, bo chodzi o kreację kapitału i jego nosiciela, tzw. klasy średniej, jedynie zdolnej wydzwignąć kraj. Obaj byli stanowczymi przeciwnikami ekipy Krzysztofa Lisa, która chcia-

ła prywatyzować przedsiębiorstwa uporządkowane, najlepsze, za pełną, najwyższą cenę — i wobec tego w pierwszym roku zdołała w taki sposób sprzedać tylko pięć przedsiębiorstw... Teraz Kawalec sprzedał za bezcen... bardzo dobry bank*. W rozmowie z *Gazetą Wyborczą* (12-13 lutego) dowodzi, że lepiej sprzedać z niedoceną, niż żeby potem nabywcy byli rozczarowani spadkiem kursu (jak nb. było dłuższy czas z owymi pierwszymi pięcioma firmami). Dzięki metodzie Kawalca „w ludziach został optymizm”. A oto ciąg dalszy:

„— W jednym optymizm, a w drugim poczucie niesprawiedliwości, wywołujące falę sprzeciwu wobec prywatyzacji, kapitalizmu, giełdy, banków, Ministerstwa Finansów, a także sprzeciw Kawalcowi.

— Zapewniam pana, że ten sprzeciw byłby dużo większy, gdybyśmy sprzedali akcje drogo, a potem ich cena by spadła.

— Ale to by był tylko sprzeciw tych, którzy kupili akcje i na nich stracili. Bierna większość po cichu zacierałaby ręce. (Dlaczego ktoś kto nie kupuje akcji jest zdaniem G.W. bierny? — K.W.)

— Ja wolę, żeby ręce zacierała aktywna 800 tysięczna mniejszość (wg. ocen, liczba posiadaczy choćby jednej akcji w Polsce — K.W.), bo mam nadzieję, że ona będzie rosła i całkiem niedługo zamieni się w tę większość, która stworzy w Polsce demokratycznej kapitalizm”.

Trudno zaprzeczyć, że Pawlakowi, którego stronnictwo jest bardzo krytyczne wobec prywatyzacji po polsku — Kawalec po prostu sam wszedł w ręce.

Ale czy ludziom wystarczy sprawa prywatyzacji jako rekompensata za budżet? W połowie lutego „grzanie” strajkowe na Śląsku i pierwsza od wielu lat udana manifestacja protestacyjna Solidarności w Warszawie nie rokowały lekkich czasów dla rządu. Pawlakowi udało się osiągnąć tyle, że notowania jego partii i jego samego trzymały się bardzo dobrze w sondażach, podczas gdy SLD wydatnie spadały. Należało przewidywać, że teraz obaj koalicjanci zajmą się raczej ratowaniem wspólnego dobytku.

3.

Chciałbym na koniec oderwać się od referowania aktualności, aby poddać pod rozwagę czytelników takie oto spostrze-

* Sprzedane za 500 tys. za sztukę, akcje Banku Śląskiego skoczyły 14-krotnie na pierwszych sesjach giełdy, po czym spadły i ustabilizowały się na poziomie 9-10-krotnego przebiccia.

żenie korespondenta-weterana: życie polityczne w Polsce staje się coraz mniej przejrzyste, jak przez zarastające brudem szyby. Jest to dodatkowy, rzadko zauważany rezultat szczególnego zapóźnienia naszego systemu politycznego.

Demokratyczne stronnictwa i ligi polityczne — taką ligą usiłował być na początku system komitetów obywatelskich — miały swój historycznie dany czas na zagospodarowanie sceny. Nie podejmuję tu wielekroć wałkowanej kwestii, czy trzeba się było od razu dzielić, czy należało spychać Solidarność do roli związku zawodowego, żeby „zrobiła miejsce” dla układu partii... Cokolwiek zrobiono, trzeba było, podejmując się konstruowania partii — konstruować je rzeczywiście. Tymczasem polskie demokratyczne partie polityczne były przez długi czas zaledwie blokami startowymi dla indywidualnych karier. I dziś nadal są to w ogromnej większości twory ułomne, kadłubki, bez kultury organizacyjnej, bez życia umysłowego, nawet bez mediów i miejsc komunikowania się członków. Również formacje postkomunistyczne choć liczebniejsze uległy tej deformacji. Nie jest to oskarżeniem. Być może, tak być musiało w nowej sytuacji społecznej, kiedy inicjatywy i energie ludzkie znalazły sobie po upadku socjalizmu realnego nowe pola do zagospodarowania i nowe problemy do rozwiązania. Ale fakt pozostaje faktem: polski system partyjny jest ułomny i dziurawy.

Tymczasem pod nim, w społeczeństwie krystalizuje się ogromne bogactwo najróżnorodniejszych zbiorowości najrozmaitszego rodzaju: związków, stowarzyszeń, klubów, kółek miłośników — a także holdingów i wspólnot interesów. Świetnie, rośnie nam oto społeczeństwo obywatelskie? Niestety, to, co rośnie w ten sposób, nie jest jeszcze i może tym trybem nie stanie się nigdy społeczeństwem obywatelskim. Decyduje o tym rodzaj stosunków, jakie się kształtują pomiędzy tą tkanką społeczną, a tzw. życiem politycznym czyli poziomem systemu partyjnego. Obu tym poziomom życia zbiorowego brak z reguły wspólnego języka w tym sensie, że kiedy społeczeństwo używa języka polityków wówczas nie mówi o tym, co jest dla niego ważne — i *vice versa*. Stosunki wzajemne ślepną, pozostają zderzenia i presje, lobbing po polsku. Niektórym wydaje się więc, że zrobiliśmy się demokratyczni po amerykańsku. W USA system partyjny też jest przecież ułomny. Ale w Ameryce istnieje za to przemożny — może nawet zbyt przemożny — system prawny, który utrzymuje właściwą łączność różnych poziomów życia zbiorowego. Niejako od zewnątrz, na kształt scho-

dów przeciwpożarowych obowiązkowych w Ameryce, ale przecież skutecznie... Polskie lobby działa w próżni prawnej.

Nie trzeba sobie wyobrażać, że wszystko to prowadzi koniecznie do spisków i mafii jak w znanej teorii dziejów. Bynajmniej, rzeczy bywają znacznie bardziej niewinne — i niemniej — szkodliwe. Pierwsze z brzegu przykłady: polska energetyka, polskie cukrownictwo, polska policja. Przedstawiciele każdej z tych dziedzin usiłują przekonać polityków i opinię publiczną do jakichś swoich koncepcji organizacji i funkcjonowania. Zaangażowane są ogromne interesy, tymczasem brak elementarnej zgody co do podstawowych faktów i liczb — i żadna z polskich partii politycznych nie umie sformułować w żadnej z tych dziedzin programowego i dobrze uzasadnionego stanowiska. Istnieją tylko różne indywidualne opcje polityków, a dziennikarz, który z nimi rozmawia, musi się domyślać, z kim dany polityk ostatnio się spotkał lub, w gorszej wersji, kto i jak na niego naciskał. Jeśli trudno mieć pretensję do energetyków, cukrowników i policjantów, że każdy z nich kalkuluje i wnioskuje tylko w skali swego podwórka — dlatego ich pokazowe argumenty o „interesach narodu” są na ogół tak dęte i niedomyślane — to jednak nie sposób rozgrzeszyć polityków, którzy wszystkich tych problemów nie umieją przełożyć na język programów i opcji.

Nie dziw się więc, Czytelniku, że nie wiem, co będzie u nas z energetyką, cukrem i policją, nie wiem nawet, kto jak zgłaszuje. Przez szyby nie widać.

Warszawa, 13 lutego 1994

Krzysztof WOLICKI

Kartki ze skażonej strefy

I

1.

Mój syn, lat 34, z przyczyn sobie wiadomych, zapragnął nauczyć się porządnie po rosyjsku. W tym celu przewertował odpowiednie ogłoszenia w gazetach. Na próżno. W Polsce istnieje możliwość nauczania się najbardziej egzotycznych języków świata, tylko nie rosyjskiego. Rosyjski wyparował z

edukacji Polaków. Syn znalazł, co prawda, jeden kurs państwowy tego języka, ale gdy zadzwonił, okazało się, że sprawa nieaktualna, bo kandydatów brak. Brak też prywatnych nauczycieli. Rusycyści, a była ich mnogość, bo przez lata rosyjski obowiązywał od piątej klasy szkoły podstawowej, dawno się przekwalifikowali. Poprawnie po rosyjsku w Polsce nie mówi dziś nikt, prócz nielicznych specjalistów. Gdy np. trafi się w sklepie rosyjski trunek (coraz rzadziej) i klient prosi o przetłumaczenie etykiety, sprzedawca najspokojniej odpowiada „nie czytam tego alfabetu”.

Powstała sytuacja paradoksalna: w świecie zakotłowało się od problematyki rosyjsko-polskiej, a najbardziej zainteresowani, Polacy, nie chcą znać rosyjskiego i Rosji. Mówią wprost — nie nadążamy za biegiem historii. Toteż proroczy, bo zgłaszany od dawna, postulat Redaktora paryskiej *Kultury*, żeby wysłać młodych Polaków na tanie, bo oparte na wymienionej relacji złotówki do rubla, stypendia do Rosji — zawisł w próżni. Nie chcą. Wołami nie zaciągniesz. Na Wschód jeżdżą tylko dziennikarze „od wypadku”, gdy coś się wydarzy, „naród” woli sobie łamać język na niewybrednej angielszczyźnie i tęsknie patrzeć na Zachód. A już pojechać, uczyć się Rosji? Nie, tam nikogo nie ciągnie... Tu trzeba zaznaczyć, że nie ma w tym nastawieniu żadnej awersji narodowościowej, jest tylko zwyczajne uleganie modzie, właściwe młodości. Tym lepiej, bo można się temu stosunkowo łatwo przeciwstawić. A warto.

Podstawowe rozpoznanie polityczne nakazuje przecież, że dziś, bardziej niż kiedykolwiek, należy położyć nacisk na wszechstronne poznawanie Wielkiego Sąsiada, jak i w ogóle, sąsiadów, do czego kluczem jest język. Obok nitki dyplomatycznej powinna więc rosnąć inna, daleko mniej sformalizowana, płaszczyzna wzajemnych stosunków, popierana przez oficjalne agendy. Niestety ograniczamy się do doraźnych reakcji politycznych.

2.

Przed wojną w domach polskich guwernantki francuskie zostały zastąpione przez instytucję *Fräulein*. Przy wzrastającym napięciu polsko-niemieckim po miastach najspokojniej krążyły zastępy Niemek, wynajmowanych przez inteligencję do nauki języka dla dzieci. To też była moda, ale podyktowana doraźną pragmatyką. „Ucz się języka wroga” — brzmiało hasło. (Rosja sowiecka, również wówczas wróg, potrafiła nas uspić. Któż wtedy myślał o nożu w plecy?!)

Dzisiaj jest inaczej. Wrogości nie ma, ale wyobraźnia polityczna powinna nam podsuwać pomysł za pomysłem, żeby broń Boże, nie dopuścić do „sytuacji wroga”. Dobrze, że zniknęły tromtadrackie powiedzonka, jakie pamiętam sprzed wojny — że Pepiczków i Litwinów moglibyśmy czapkami nakryć... Ale to mało. Stanowczo, mało.

3.

— Czy byłeś już w Druskiennikach? — Pytanie, które przewija się dziś często w towarzyskich rozmowach Polaków. Bo albo się było, albo się jedzie, albo chce się jechać powtórnie. Kuracja w tym historycznym uzdrowisku stała się niesłychanie popularna. W sezonie między Warszawą a luksusowym sanatorium „Litwa” kursują specjalne autokary. Wsiada się na Placu Konstytucji o godzinie dziesiątej rano a wysiada przed gankiem pensjonatu o ósmej wieczorem. W relacjach kuracjusze podkreślają trzy rzeczy: niezwykły, życiodajny klimat, doskonałość zabiegów i wrogość otoczenia. Ludność zna polski, ale go demonstracyjnie nie używa, choć pensjonariusze, z których żyją, są głównie Polakami (Litwinów na Druskienniki nie stać).

Na szczęście do Druskiennik nie jeżdżą handlarze, którzy chamstwem i zupełnym brakiem wrażliwości na otoczenie do reszty popsuli nam swego czasu opinię w NRD i Czechosłowacji. Tutaj mamy szansę. Bo jeśli tylko „poczujesz Litwę”, niechęć możesz szybko przekuć w niespodzianą przychylność.

Opowiadała mi znajoma, że na szlaku Druskienniki-Wilno istnieje przyciągająca podróżnych swoim urokiem kawiarenka. Wśród szczerego lasu stoją totemy wielkości drzew, stwarzając nastrój jakiejś odwiecznej pogańskości. Gdy olśniona dawała wyraz swojemu zachwytowi, podeszło do ich towarzystwa dwóch młodych Litwinów, pytając po polsku tonem inkwizytorskim:

— Dlaczego się podoba?

— Bo u nas czegoś takiego nie ma.

— Dlaczego nie ma?

— No bo wasza kultura jest trochę inna...

Uznanie tej inności niespodzianie wprawiło Litwinów w dobry humor. Lody zostały przełamane. Ludzie, których najwyraźniej gnębił kompleks polski, poczuli się równorzędni. Wystarczyło jedno zdanie.

Każdy Litwin wie kto to był gen. Żeligowski; jest dla nich postacią negatywnego bohatera. Ręczę, że gdyby u nas

przeprowadzić ankietę uliczną, kto zacz, nikt by nie odpowiedział. Dobrze mieć w głowie różnicę podejścia do historii, gdy się jedzie na Litwę. I dobrze znać rachunek win.

Nie należy też żałować, że jadą tam głównie starsi — wszak celem jest kuracja — tego ruchu nie można regulować odgórnie. Musi płynąć swoim naturalnym korytem.

4.

Polacy, może jak nikt, potrafią współżyć z innymi indywidualnie. Wiedzą o tym przybywający do nas tłumnie Rosjanie, za pracą i z towarem. „Ruski targ” wrósł w krajobraz Polski nie tylko jako fizyczny element pejzażu. Bez Ruskich byłoby już smutno na polskiej ziemi. „Ruscy” (piszę w cudzysłowie, bo wliczyć tu należy różne nacje, z Ukraińcami włącznie) są rozchwytywani — od prac przy budowie do nianczenia dzieci. Na bazarze czy w domu są grzeczni, kulturalni, czysti i uczciwi. Stereotyp niezbornego Rosjanina został przełamany. Pracują świetnie, liczą złotówki jak dolary, na co my patrzymy z rozczuleniem, bo widzimy w tym naszą niedawną saksową dolę i znak filozoficznej maksymy, że fortuna kołem się toczy. Dobrze nam z nimi, bo poza dobrą pracą podnoszą nam samopoczucie, ale i oni nie wychodzą na nas źle.

Piszę to na podstawie własnych doświadczeń z Rusłanem, Tatarem z Kazania, wżenionym w Stawropolski Kraj. Pozostanie w mojej pamięci — niezależnie od przetoczek politycznych — jako dobry duch, który swoją złotą rączką pomógł mi znieść gehennę przeprowadzki. Uczył się szybko po polsku, polityką się nie interesował. W czasie tzw. konfrontacji parlamentarnej w Moskwie podnosił od czasu do czasu głowę znad wiertarki pytając: „Jelcyn jeszcze jest? Nie cenił go i nie miał złudzeń, że ukróci bałagan („bałagan” — najczęściej powtarzane przez niego słowo na określenie tego, co dzieje się w Rosji). Nie był więc zwolennikiem Jelcyna, ale uważał go za gwaranta swojego paszportu i dlatego chciał, żeby się ostał. Program minimum, jak to często u Rosjan. Żegnaliśmy się z Rusłanem przy akordach wynurzeń Żyrinowskiego na temat granicy niemiecko-rosyjskiej na linii Wisły. Akurat wtedy to mówił. Gdy powiedziałam: „Rusłan, teraz ja będę u ciebie sprzątać”, oczy mu się zaśmiały. Ale oboje uznaliśmy to za dobry żart.

Trzeba przyznać, że jest w naszym stosunku do zarobkujących przybyszów ze Wschodu trochę protekcyjizmu, ale jednocześnie ich szczery podziw dla naszego rynku dowartościo-

wuje nas i ewokuje życzliwość i autentyczną ciekawość, żeby dowiedzieć się, jak to u nich się kroi. Toteż w nocnych sąsiadów rozmowach przy kielichu nawiązuje się intensywna nić kontaktu, zupełnie niezależna i jakościowo różna od politycznych tarć na szczytach. Jakbyśmy się z mówili: „niech tam politycy się żrą, a my tu milczkiem-ciszkiem lubimy się, i wiemy swoje...”.

W obliczu Drugiej Wojny było zupełnie inaczej. Panowała izolacja społeczeństw zaangażowanych w spór. Pamiętam z dzieciństwa, że Niemiec (niezależnie od *Fräulein*) i Rosjanin jawili mi się jak diabeł rogaty. Dziś dziecko polskie nie boi się żadnego sąsiada, jest z nim zżyte, bo widzi go na każdym rogu i straszenie go Żyrinowskim, cokolwiek by nie wyrabiał, tego faktu nie zmienia.

Jeśli dodam, że dynamika wzrostu przybywających do nas za chlebem ludzi z dawnych obszarów ZSSR nie słabnie mimo międzynarodowych napięć, to nie trzeba podkreślać, jakie to może mieć kapitalne znaczenie w przebiegu naszych przyszłych losów. Trzeba więc nie tylko chuchać i dmuchać, żeby to zbliżenie trwało, ale starać się o pogłębienie tego typu kontaktów. Jak? Jak powiedziałam: przede wszystkim nie szkodzić. Ale stwarzać warunki na „modę na Wschód” można. A nawet trzeba. Bo przepływ, żeby był skuteczny, nie może być jednostronny. Szerokie pole dla wyobraźni dla instytucji społecznych i fundacji, których tyle.

II

grudzień 1993 – styczeń 1994

1.

Mam nowego listonosza. Młody, rzeczowy, sprawny — „intelektualista w okularkach”. Przychodzi inkasent z gazowni; też młody. Przyjemnie z nim zamienić dwa słowa. Pol-szczyzna poprawna i logiczna. Serce rośnie, że w Polsce rośnie inteligentne pokolenie zwykłych śmiertelników...

Staje się u nas prawidłowością, że na niższych szczeblach coraz częściej zdarzają się ludzie pierwszorzędni, a wyżej — „żłoby”. Używam tego wyrażenia nie żeby kogokolwiek obrażać, ale dlatego, że jest ono słyszalne zewsząd. „Żłób, młot” — tak mówią o wielu przedstawicielach najwyższych władz ludzie z tramwajów. Mówią nie przez złośliwość, ale na podstawie konkretnych wystąpień delikwentów. Mówią z pewnym zażenowaniem, bo mają świadomość, że ci na górze są

najzupelniej legalni: nikt nie narzucił ich siłą, więc nie można na nikogo zwać winy za ich obecność.

Tak więc patrząc na polskie społeczeństwo, trudno nie dostrzec, że przepaść — w stylu bycia, w języku, a przede wszystkim, w rozumieniu demokracji, tej na co dzień, bez słów — między rządzonymi a rządzącymi stale się pogłębia.

2.

Dołożyłam starań, żeby choć raz wychwycić w wypowiedziach prezydenta konkretną odpowiedź na zadawane mu pytania. Nie ma. Nawet gdyby go spytać, co jadł na śniadanie, odpowie: „ja, jako prezydent...” po czym nastąpi oracja o jego zbawczych działaniach. Gdy mówi: „zrobiłem błąd”, w następnym zdaniu okazuje się, że był to genialny chwyt. Przekonanie o własnej nieomyślności, w które co gorsza, najwyraźniej wierzy, budzi poważne obawy o stan jego psychiki. Poczucie, że jest człowiekiem zesłanym przez Opatrzność, zasnuwa mu oczy mgłą tak gęstą, że gubi kontakt z otoczeniem, co było dawniej jego mocną stroną. Charyzma wyparowała bez śladu; dziś Wałęsa budzi w ludziach politowanie. Gdy powtarza swoje: „ja jako prezydent”, ludzie dopowiadają: „ja, jako Boba...”. Była taka posłanka, nazwiskiem Boba, która, co tu gadać, stała się publicznym pośmiewiskiem, a jej: „ja, jako lekarz...”, weszło do rozweselających powiedzonek. Postawę nieszczęsnej Boby można usprawiedliwić wychowaniem w izolacji: ojciec, skrajny antykomunista, nie posyłał jej do szkoły; pierwszy kontakt z rówieśnikami nastąpił na uczelni. Czym jednak usprawiedliwić Wałęsę, który szkołę życia otrzymał bogatą, i choć urodził się w strasznej biedzie, dosłownie, na klepisku, matkę miał wspinałą (sprawdziłam na miejscu)?

To, co w nim dziś narasta, zdaje się być znacznie niebezpieczniejsze niż woda sodowa. Sposób, w jaki chciał się pozbyć rzekomo zagrażających mu członków „Rady Radiofonii”, uświadomił mi coś, czego nie byłam do końca pewna: że złamie demokrację, żeby powtórzyć swoją prezydencką kadencję. Obym się myliła.

Jest rzeczą wiadomą, że kto ma media ten ma — jak to on nam mawiał, a my mu wtórowaliśmy — „władzę”. Każdy zamach stanu rozpoczyna się przecież od opanowania radiostacji.

Tylko że jemu nawet i radiostacja już nie pomoże. Panegiryczna seryjna audycja telewizyjna „Prosto z Belwederu” wywołuje skutki odwrotne do zamierzonych: budzi u

widzów śmiech gorszy niż Boba, bo śmiech gorzki. W końcu, to myśmy go wybrali głową państwa.

Teraz nikt go nie wybierze. Po władzę musiałby więc sięgnąć poza demokrację. Piszę to z niewesołą zadumą nad destrukcją człowieka, który był przecież Wielką Obietnicą.

Napisałam te słowa w połowie grudnia 93. I oto nie minął miesiąc, kiedy stały się nieaktualne. Historia, która w naszych czasach szybciej się toczy niż losy jednostki, przyszła Wałęsie z pomocą. Jego postawa wobec przyjęcia Polski do NATO sprawiła, że znów o nim głośno. Pełno go po gazetach. Nie rozstrzygając, czy lepiej domagać się buńczucznie członkostwa (jak my), czy po cichu drążyć (jak Czesi), wypada stwierdzić, że sprawa NATO trafiła się Wałęsie jak znalazł. A ponieważ wiadomo, że nie będzie szybkiego rozstrzygnięcia, więc jego aktywność może się przedłużyć i wywindować go na drugą prezydenturę.

3.

Mamy dziś w kraju dwa związki pisarzy. Jeden — o pięknej karcie z ostatnich dziesięcioleci komunizmu. To stąd, jeśli nie wychodziły świetne dzieła literackie (nie wychodziły), to wychodziły mądre ostrzeżenia do władz o zagrożeniach dla kultury narodowej; tu było jedno z gniazd ożywczego fermentu, który potem ogarnął Polskę. Stan wojenny rozgonił ten zespół, stawiając w jego miejsce nowy, posłuszny, złożony z karierowiczów. Wolność przywróciła do życia dawne Stowarzyszenie Pisarzy. Mamy dziś dwa związki, i w jednym stoją domku, na Krakowskim. Łatwo więc o porównania. I cóż się dzieje? Ten prawy, zasłużony, o czystym sumieniu, któremu nic nie przeszkadza rozwinąć skrzydła — wędnie, jakby na własne życzenie. Po prostu, źle funkcjonuje w najprostszycich sprawach: nie potrafi nawet dobrze informować. Jeśli ktoś chce się czegoś dowiedzieć, np. o adresie pisarza, książce, miejscu — wali obok, do pokoju „złych” sąsiadów; ci działają jak w zegarku.

Analogiczny przykład ze Stowarzyszeniem Dziennikarzy Polskich na Foksal. Brutalnie rozgromiony „Esdep”, przepędzony z budynku, gdzie usadowiło się posłuszne władzom stanu wojennego Stowarzyszenie Dziennikarzy PRL, przewzane natychmiast przez lud Warszawy Duperalem; otóż dziś, ten niesławny Duperel funkcjonuje sprawnie, podczas gdy SDP nie jest w stanie nawet się normalnie reaktywować, bo na zwoływanych od czterech lat zjazdach notorycznie brak *quorum*, więc spotkania zamieniają się w pełne kłótni — jak w rodzinie — herbatki.

To tylko dwa przykłady powszechnego zjawiska, które można wytłumaczyć przeszerogowaniem: oto dawni aktywiści poszli w górę, do władz centralnych. Tylko, gdzie następcy? Dlaczego powstała — i trwa! — próżnia?

4.

Gdy mój syn instalował się w Ameryce w nowym mieszkaniu do drzwi pukali rozmaici akwizytorzy, oferując — nie jak u nas, pancerne drzwi — ale telefon. „Weź od mojej kompanii” — prosili — i wsuwali w rękę bakszysz.

Na całym świecie „telefonacja” jest interesem, u nas przekleństwem. Oczywiście, gdyby złamać monopol państwa w tej dziedzinie, wnet nasze miasta i wioski pokryłyby się siecią telefoniczną, bo założenie telefonu jest prostsze niż danie ludziom pracy czy mieszkań. Ale w molochu telefonii państwowej panuje zasada: sam nie zjem, ale drugiemu nie dam.

W totalitaryzmie, jakim był komunizm, instalowanie telefonów prywatnych z litery ustroju było działaniem niepożądanym. A jednak jakoś to powolutku, boczkami szło. Istniała np. instytucja „dziadka kablowego”. Gdy trwające wiecznie rozkopki przerywały kabel, przychodził dziadek, i w płataninie instalacji łączył drucik z drucikiem. Dziadek był jeden i gdy zachorował, naprawa trwała miesiącami, ale istniała nadzieja, że wreszcie przyjdzie.

Dziś dziadka nie ma i telefonów nie ma. Opłaty telefoniczne wzrastają w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do świadczonych usług, coraz gorszych; z dzielnicy do dzielnicy połączyć się nie sposób, a przeniesienie numeru z sąsiedniego domu urasta do problemu niewykonalnego. Dyrekcja godzi się bezwstydnie, żeby przyszli użytkownicy wyłożyli z własnej kieszeni za całą operację oprzyrządowania osiedla, a za parę lat ewentualnie się zobaczy...

Nieudolność tej miary, że wyglądająca na sabotaż. Ale nie jest to żaden sabotaż — wzięliśmy tylko sprawy we własne ręce. Gdy budowaliśmy w Polsce drugą Japonię, obowiązywał slogan „Polak potrafi”. Dziś możemy się przekonać dowodnie, że Polak nie potrafi.

5.

Za komuny panna młoda musiała mieć dwa komplety ślubnego stroju. Długą suknię na ślub kościelny i krótką — na uroczystość w Urzędzie Stanu Cywilnego. Obecnie Konkordat — nie zatwierdzony, ale już działający — redukuje ceremonię do jednej, kościelnej. Urząd na podstawie danych z

parafii sporządza akt ślubu cywilnego. Rozsądne rozwiązanie, gdy sprawnie robione, bo unika dublerki obrzędu świeckiego, który dla Polaków, jacy by nie byli antyklerykalni, wydawał się zawsze czymś komicznym.

Więc Pałace Ślubów opustoszały. Interesanci zenią się w nich bądź rozwodzą — dla PIT-u (kwestionariusz podatkowy tak skonstruowany, żeby komplikować życie). Przychodzą do USC pospiesznie, z pracy, bez gali i gości, nie chcą kwiatów, Mendelssohna ani szampana. Uroczą się ubrany personel i mistrz ceremonii, w purpurowej, ni to todze, ni sutannie, snują się smutni, zdezorientowani i przybici. Widzą swoją nieprzydatność. Co będzie? Budynki można wynająć bankom, ale co zrobić z personelem?

Co? Dać podwyżkę! I tak się pewnie stanie, bo gdy „budżetowce” podwyższają, to w pierwszym rzędzie idą nie nauczyciele, lekarze czy sędziowie, ale biurokraci.



Lecz przy tych wszystkich nonsensach coraz częściej się zdarza, że — jak powiedziałam na wstępie — staje na naszej drodze fachowiec — listonosz, kierowca autobusu, lekarz w szpitalnej izbie przyjęć — i wykonuje swoją pracę porządnie, kompetentnie i z tą dozą poczucia humoru, która sprawia, że interesantowi robi się raźniej, wywiązuje się międzyludzka ożywcza interakcja, gasząca zamknięte ponuractwo, tak charakterystyczne dla naszej strefy.

To oni, młode pokolenie nisko i średnio płatnych pracowników, są elitą.

Zdrowy rozum nakazywałby więc przetasowanie: tych z góry należałoby spuścić na dół, a tych z dołu wywyższyć. Ale tak się nie dzieje. Obie grupy cyrkulują na własnych orbitach nie przagnąc się zetknąć.

Czy więc nie jest tak, że młode pokolenie Polaków stanie się powoli kosmopolitami mówiącymi po polsku. Bo czy można bezkarnie odwracać się od państwa?

Ewa BERBERYUSZ

Sprawy i troski

O Europę pojednania

OŚWIADCZENIE INTELEKTUALISTÓW, NAUKOWCÓW ŚRODKA EUROPY

Nic nie jest dane raz na zawsze: wyzwolony nagle spod komunistycznego jarzma Środek Europy eksplodował w miejscu zdawałoby się najmniej do tego sposobnym, na południu. Błyskawicznie oddzieliła się Słowacja od Czech, punkty zapalne pulszą od byłej NRD poprzez Litwę, Białoruś, Mołdawię aż po Kaukaz.

Ze świadomości zagrożeń, niebezpieczeństw jakie wiszą nad Europą zrodziła się w Warszawie idea powołania Fundacji Eklemicznej TOLERANCJA. W jej skład weszli przedstawiciele prawosławnych, ewangelików, katolików, reprezentanci mniejszości narodowych. Udaną próbą nadania jej charakteru między-narodowego i takiegoż zasięgu oddziaływania było dwudniowe sympozjum zorganizowane 4-5 grudnia 1993 w Zalesiu Górnym k. Warszawy. Uczestnicy z Francji, Niemiec, Białorusi, Chorwacji, Rumunii, Litwini i Polacy z Litwy, przedstawiciele Węgier, Słowacji i Polski zgłębiając temat „Tolerancja świadectwem demokracji” próbowali zjednoczyć swoje działania w zwalczaniu odwiecznych patologii: nacjonalizmu, szowinizmu, uprzedzeń wyznaniowych, dyskryminacji mniejszości narodowych. Akcentowano konieczność wzmożonego oddziaływania przez środki masowego przekazu, odpowiednio wczesnego ostrzegania przed zagrożeniami dopiero następującymi, celowość prowadzenia badań studyjnych, organizowania opiniotwórczych, pobudzających uwagę opinii publicznej konferencji i sympozjów, „zespołów ludzkich zdolnych do natychmiastowego działania w punktach zapalnych i konfliktowych”.

W dyskusji, po referacie wprowadzającym Mikołaja Koza-

kiewiczza — a trwała ona niemal pełne dwa dni — każdy z uczestników dzieląc się przemyśleniami nt. tolerancji, dialogu, mówił o doświadczeniach własnego kraju. Dało to coś w rodzaju summy najbardziej palących problemów z jakimi borykają się państwa postkomunistyczne. Ljiljona Vlasic-Matkowicz z Zagrzebia zwróciła uwagę na niebezpieczeństwa jakie niesie ideologia zamykania jednego narodu w jednym państwie, nazwała to politycznym idiotyzmem. Wskutek wojny w byłej Jugosławii stracili wszyscy, z wyjątkiem tzw. polityków. Szymon Szurmiej mówił o walce ze stereotypami, np. Żyda czy Ukraińca w Polsce, Polaka w USA. Prof. Adam Maldzis z Mińska za groźną chorobę Białorusi uznał pseudotolerancję i pseudodemokrację wywołane falą szowinizmu, który od wewnątrz jest co prawda przegniły, na zewnątrz jednak całkiem krzepki. Białorusini wyglądają na nietolerancyjnych, ponieważ chcą swojego języka (nawet rząd nim nie mówi), wyznania, własnych uczelni. Patrioci nie tolerujący dawnych komunistów nazywani są szowinistami na usługach np. Polski. Mówił też o prawosławiu pretendującym do jedynej, państwowej religii, bardzo niechętnie współpracującym z Kościołem rzymskokatolickim. Horst Grützke z Berlina ujął wszystkie ironią pierwszych słów swego wystąpienia: pochodzę z kraju podpalaczy. Przeciwwstawiając pracowitość, dorobek gospodarczy Niemców wciąż jeszcze widocznym niedostatkom tolerancji wskazał na wzajemne poznanie się jako konieczny warunek zrozumienia i akceptacji drugiego człowieka. Dr Janos Harmatta z Budapesztu wskazywał na tolerancję jako skuteczną tamę przeciw przestępom władzy. W krajach z widocznym dążeniem do władzy absolutnej coraz trudniej o nią. Przedstawiciel Litwy stwierdził, że tolerancja stanowi trzon etyki chrześcijańskiej. Litwa jest dzisiaj swoistym laboratorium, gdzie odbywa się weryfikacja pojęć tolerancja, demokracja. Sytuacja jest o tyle korzystna, że można już mówić o powrocie do dobrej tradycji dialogu. Ks. prof. Alfons Skowronek z Warszawy wskazywał na opaczne skutki tolerancji opartej na negacji, zakazach, pomijającej akceptację człowieka. Z kolei Eugeniusz Czykwin z Białegostoku uwypuklając nadwrażliwość historyczną mniejszości narodowych podniósł konieczność uchwalenia przez sejm ustawy zabezpieczającej mniejszości pod względem prawnym. Bardzo bliskie siebie wypowiedzi Dušana Ondrejovicia z Seneka, Macieja Morawskiego z Paryża i Tadeusza Myślika z Warszawy niejako podsumowały dyskusję roztrząsając „problem cudzoziemca” w Europie, poszanowania odmienności, przewartościowania samego pojęcia tolerancja — powinna przestać być widziana w kategoriach indywidualistycznych a zyskać wymiar społeczny. Najlapiardziej rzecz ujął Ondrejović słowami Martina Luthera Kinga: albo będziemy współżyć ze sobą, albo zginiemy jak glupcy.

Na zakończenie konferencji przyjęto wspólne oświadczenie skierowane „do opinii publicznej, do sfer rządowych, do polityków oraz parlamentarzystów w swoich krajach, do Rady Europy i innych organizacji międzynarodowych”, w którym wyrażono „słowa zaniepokojenia i obaw przed skutkami narastającej — nie tylko w naszej części Europy — fali szowinizmu, nacjonalizmu i antysemityzmu”.

„W imię prawdziwie humanistycznych wartości — czytamy dalej — opartych na miłości bliźniego oraz biblijnym przestaniu «nie zabijaj» — powołujemy międzynarodowy komitet ludzi dobrej woli pragnących poświęcić się idei upowszechniania zasad tolerancji, humanizmu i wzajemnego zrozumienia wśród mieszkańców całej Europy. W miarę naszych sił i posiadanych środków podejmować będziemy konkretne akcje służące upowszechnianiu postaw tolerancji, zwłaszcza wśród młodzieży naszych krajów. (...) Niech to będzie Europa pojednania — a nie Europa nienawiści, niech to będzie Europa otwarta na świat.

Domagamy się, aby więcej z pieniędzy podatników przeznaczyć na realizację takich integrujących przedsięwzięć, jak międzynarodowe uniwersytety letnie, spotkania młodzieży różnych krajów i środowisk, organizowanie festiwali sztuki poświęconych krzewieniu idei humanizmu, braterstwa narodów, wzajemnego szacunku pokoleń oraz równouprawnienia dla mniejszości narodowych, wyznaniowych, jak i wszelkich innych. Uważamy, że obowiązkiem rządów jest zapewnienie warunków dla zachowania i odrodzenia tożsamości mniejszości narodowych.

Wszyscy mamy jedno życie i mamy prawo przeżyć je bezpiecznie i godnie!”.

Adam W. KULIK

Czy koniec „Biblioteki Narodowej”?

Opinia publiczna w Polsce zaniepokojona jest wieściami o grożącej likwidacji jednej z najpoważniejszych instytucji wydawniczych — „Biblioteki Narodowej” Ossolineum. Nazwa „Biblioteka Narodowa” znana jest każdemu czytającemu Polakowi: ukazują się pod nią systematycznie od roku 1919 dzieła klasyków literatury polskiej i obcej — od Kochanowskiego po Gałczyń-

skiego i futurystów, od Homera po Hemingwaya — w opracowaniach wybitnych polskich uczonych i znawców literatury. Wystarczy tu wspomnieć nazwiska Aleksandra Brücknera, Tadeusza Sinki czy Juliana Krzyżanowskiego. Wydawana od roku 1933 przez lwowskie Ossolineum wznowiona została w roku 1947 w Krakowie przez Wacława Borowego (jedno z najświetniejszych nazwisk tej doby). Upaństwowiono ją następnie i przeniesiono wraz z całym „Wydawnictwem Ossolineum” do Wrocławia (choć redakcja „Biblioteki Narodowej” znajduje się w Krakowie), gdzie funkcjonowała już niezależnie od Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, a po likwidacji Polskiej Akademii Umiejętności i stworzeniu na wzór sowiecki „Polskiej Akademii Nauk” podporządkowana została w r.1953 tej ostatniej.

Po roku 1945, który był — wraz z okresem 1939-45 — największą katastrofą w dziejach kultury polskiej, z pięciu głównych ośrodków trzy, Warszawa, Lwów i Wilno przestały istnieć, Poznań utracił za okupacji większość bibliotek publicznych i prywatnych, pozostał więc tylko Kraków. Lecz i te zasłużone wydawnictwa, których właścicielom udało się wznowić działalność w roku 1945, jak na przykład Arcta lub Gebethnera, były od początku zagrożone: już od roku 1948 władze komunistyczne przystąpiły do ich likwidacji. „Biblioteka Narodowa” była więc jedną z niewielu placówek, którym udało się utrzymać ciągłość, bez której nie może istnieć kultura.

Obecnie grozi tej placówce zagłada. W związku z ogólnym kryzysem wydawnictw państwowych „Biblioteka Narodowa” przestała praktycznie wychodzić: w roku 1993 ukazały się wszystkiego zaledwie trzy czy cztery tytuły. Powodem jest faktyczne bankructwo „Wydawnictwa Zakładu Narodowego im. Ossolińskich”, które z samym Zakładem tj. z Biblioteką Ossolińskich we Wrocławiu od dawna nie ma nic wspólnego.

Wydawnictwo to było prowadzone latami przez ludzi wrocławskiej nomenklatury. Byli oni na tyle sprytni, by zrozumieć, że nie uda się im prowadzić firmy w nowych warunkach. Wycofali się więc gremialnie pozostawiając pismo w rękach, jak się to mówi, „załogi”. Po półtora roku wybrana przez załogę nowa dyrektorka podała się z kolei do dymisji i zniknęła.

Obecne „Wydawnictwo Osso” było od początku związane z PAN-em. Miało się zajmować publikacją prac naukowych Akademii itp. Rentowność firmy zapewniona była automatycznie,

1. Piszę tę nazwę w cudzysłowie, aby podkreślić, że nie ma ono nic wspólnego z wrocławską (dawniej lwowską) Biblioteką Zakładu Narodowego im. Ossolińskich (o czym może nie wszyscy czytelnicy wiedzą) i że na dobrą sprawę nie ma też prawa do tej nazwy.

jako że PAN płacił wszystkie rachunki niezależnie od ich zasadności. Od kiedy PAN przeszedł na nowy system, w którym subwencje zależą od wyników i kierowane są dla najlepszych, wszystkie jego instytucje zaczęły oszczędzać i uruchomiły własne wydawnictwa lub związały się z tańszymi, prywatnymi. „Wydawnictwo Osso” straciło więc większość (90 procent!) zleceń. Jego własne publikacje, około 30 procent produkcji, okazały się niezbyt udane i niezyskowe. Jednak zatrudnienia nie zmniejszono (nic dziwnego, skoro dyrektor zależał od „załogi”) i nie zreformowano sprzedaży, przeznaczając na płace itp. również subwencje, które początkowo otrzymywano między innymi na niektóre pozycje „Biblioteki Narodowej”. Wydawnictwo było ponadto mocno zadłużone w wielu instytucjach, a zwłaszcza w drukarniach, nie było więc w stanie (przy istniejących układach personalnych oraz w sytuacji permanentnego zadłużenia wszystkich firm państwowych) przystosować się do nowych warunków. Zmiana nomenklaturowej dyrekcji na nową nastąpiła jakby o dwa lata za późno, do zarządzania wyniosła ludzi z dobrymi pomysłami, lecz bez zdolności szybkiego urzeczywistnienia, co doprowadziło do stagnacji. W „Osso” pozostało wszystko po staremu, tak na przykład norma opracowania redakcyjnego wynosiła w dalszym ciągu 7 arkuszy wydawniczych na miesiąc. Pierwsza redukcja zatrudnienia, nie w każdym wypadku trafna, wcale tej sytuacji nie poprawiła. Efekt był łatwy do przewidzenia: drukarnie wstrzymały druk książek, banki zablokowały konta, przestały wychodzić nawet tytuły subsydiowane. Zaczęło się mówić o bankructwie wielkiego wydawnictwa.

Sytuacja jest obecnie taka, że KBN kategorycznie odmówił subwencjonowania jakichkolwiek publikacji „Wydawnictwa Osso”, które przejadło beztrąsko prawie półtora miliarda złotych, przeznaczonych na określone publikacje, w tym też na „Bibliotekę Narodową”.

Wydawnictwo już od dawna nie płaciło podatków, nie regulowało rachunków w drukarniach. Jeśli zatem coś jeszcze wychodziło, to dlatego, że drukarniom opłacało się „złapać” nowe zamówienie, nawet nie w pełni wypłacalne... były przecież w podobnej sytuacji co wydawnictwo i liczyły na ratunek państwa czy banków, co się niekiedy udawało. Ostatnio — jak wieść niesie z inicjatywy lobby uniwersytecko-politycznego — Rada Pracownicza odwołała dyrektorkę i nowym dyrektorem został historyk lotnictwa, do niedawna zatrudniony w administracji lokalnej, p. Malak. Fama głosi, że jest on mistrzem wygrywania partii beznadziejnych. Podobno też uzyskał, dzięki swym wrocławskim koneksjom, jakieś nowe kredyty bankowe. Czy i jak potrafi je spłacić, nie wiadomo. Postanowił też podobno usamodzielnić dział handlowy, przekazując go agentom

oraz zmniejszyć zatrudnienie. Nie będzie to łatwe, jako że jego ostateczna nominacja zależy głównie od „załogi”, liczącej jeszcze dzisiaj około 140-150 osób.

W tym wszystkim najbardziej poszkodowana jest „Biblioteka Narodowa”, właśnie dlatego, że jest, można by powiedzieć, bezpańska — żadna inna instytucja się nią nie opiekuje — i na dodatek względnie samowystarczalna. Do „Wydawnictwa Osso” trafiła przed 40 laty na zasadzie „prawa telefonicznego”: ktoś partyjny postanowił — na sugestię PAN-u — że będzie ona kontynuowana w „Wydawnictwie Osso”. W ostatnich latach, zdaniem osób miarodajnych, była stosunkowo samowystarczalna. Jej deficyt, stosunkowo niewielki, mógłby zostać pokryty przez subwencje, które rozmaite władze (KBN, Ministerstwo Edukacji Narodowej, Ministerstwo Kultury) a nawet czasem fundacje dość chętnie w razie potrzeby przydzielały. Szczegółów nikt nie zna, były one zawsze utajnione przed wszystkimi, w tym i przed krakowską redakcją. Zresztą możliwe, że nawet samo pojęcie „rentowności” nie było jasne dla dyrekcji we Wrocławiu. Można tak wnioskować choćby na podstawie tego, że choć Redakcja domagała się wielokrotnie podania jej wskaźników rentowności poszczególnych pozycji książkowych, po prostu po to, by móc odpowiednio sterować programem (np. wydawać więcej klasyków czy więcej lektur itp.), to w odpowiedzi otrzymywała zawsze wykazy sprzedaży, nic więcej. Wygląda więc na to, że wydawnictwo w ogóle nie potrafiło określić czy wyliczyć rentowności poszczególnych pozycji. Zresztą pod koniec panował już we Wrocławiu tak nieopisany chaos, że samo znalezienie na przykład umowy wymagało wielu tygodni. Same wykazy sprzedaży były skądinąd pocieszające. A nawet były niespodzianki, jak na przykład to, że największym *bestseller*-em była wysprzedana do ostatniego egzemplarza Kronika Kadłubka... jak się okazało, bardzo ciekawa książka.

Mimo że „Wydawnictwo Osso” korzystało z „Biblioteki Narodowej”, to jest z przyznawanych na nią subwencji i ze względnie wysokiej sprzedaży, to jednak traktowało ją po macoszemu, jako własność, z którą się nie należy liczyć. Tak jest do dzisiaj. Nie ma po prostu pieniędzy na wydanie gotowych do druku tomów „Biblioteki Narodowej”, ponieważ wszystkie idą na bieżące pensje, opłaty itd. Nowy dyrektor uzyskał — wpłacając jakieś sumy — możliwość dalszego funkcjonowania firmy (na jak długo?), ale czy coś potrafi wydać, nie wiadomo. Oczywiście teraz „Wydawnictwo Osso” zdało sobie sprawę, że „Biblioteka Narodowa” jest jedną z jego nielicznych szans i... zarejestrowało *copyright* na nazwę serii (na ile legalna jest ta operacja nikt nie umie powiedzieć). W tej sytuacji może ono się już zupełnie nie liczyć z Redakcją, tym bardziej, że mieści się ona w Krakowie i

nie jest w stanie co chwila nagabywać Dyрекcję. Dodać można, że „Wydawnictwo Osso” winne jest samym autorom około 350 milionów złotych. Redakcji nic nie płaci albo tylko minimum, licząc się — skądinąd słusznie — że pracownicy Redakcji z tak zwanych wyższych względów nie porzucą „Biblioteki”, z którą związani są od lat.

Jeśli chodzi o samą Redakcję „Biblioteki Narodowej”, to ma ona w zapasie około piętnastu pozycji książkowych, albo gotowych albo na ukończeniu. Nowych umów zawierać jednak nie może, skoro przyszłość jest całkiem niepewna.

Można się natomiast obawiać, że jeśli się z tej skandalicznej sprawy zrobi *głośny* skandal, to nowy rząd pójdzie drogą najmniejszego oporu i „wykaże się” troską o kulturę dając wydawnictwu ponowną subwencję, to jest okazję do zmarnowania nowych pieniędzy...

Jedynym właściwym rozwiązaniem byłoby ogłoszenie upadłości wydawnictwa — wtedy „Biblioteka Narodowa” mogłaby zostać sprzedana na pokrycie długów. Redaktorzy „Biblioteki Narodowej” są bezsilni, nie mieli nigdy i nadal nie mają żadnego wpływu na decyzje wrocławskiej centrali, która w najlepszym wypadku zawiadamia ich *post factum*. Ponadto czas nagli. Samej wykwalifikowanej kadry edytorskiej ubywa. Od wielu lat nie było nigdy pieniędzy na wdrożenie choćby jednej czy dwóch osób w tę trudną i żmudną robotę, której uczyć się trzeba co najmniej rok (mowa o takich pracach, jak sprawdzenie absolutnie wszystkich informacji autora i wydawcy-komentatora, nie tylko formalnie, ale i merytorycznie). Ale nawet tego wydawnictwo wrocławskie nie rozumiało, przemyślując nad tym, jak by to przenieść Redakcję do Wrocławia i w ten sposób zapewnić pracę kilku miejscowym protegowanym... Wprawdzie projekt ten nie przeszedł, ale samo jego wysunięcie dowodzi zupełnej niewiedzy wydawnictwa o tym, co właściwie wydaje. Zresztą wydawnictwo wrocławskie opuściła już większość ludzi choćby trochę sprawnych i energicznych, a pozostali przeważnie tacy, którzy nie mają nic do stracenia i wolą marną pensję od zasiłku, czemu wprawdzie trudno się dziwić, lecz na pewno nie jest to recepta na sukces. W oczekiwaniu na rozwój wydarzeń obaj redaktorzy „Biblioteki Narodowej” obmyślali wszystkie możliwe scenariusze i poszukiwali dla niej ratunku. Jedną z koncepcji, oparta na założeniu, że wydawnictwo wreszcie zbankrutuje, zawiera propozycję przeniesienia „Biblioteki Narodowej” do Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich i pozyskanie dużego grantu przynajmniej na dwa lata.

W obecnej sytuacji można się więc spodziewać wszystkiego. Pozostaje co najwyżej nadzieja, że Dyrekcja nie odważy się na zwyczajną likwidację „Biblioteki Narodowej”. Jedynym optymistycz-

nym akcentem jest może to, że środowisko naukowe Krakowa i Wrocławia z uwagą obserwuje rozwój sytuacji i jest gotowe do podjęcia różnych, w tym nawet niekonwencjonalnych działań dla uratowania „Biblioteki Narodowej”, której dorobek jest ostatecznie wspólną własnością całej polonistyki. Może więc bez względu na los „Wydawnictwa Osso” przynajmniej „Biblioteka Narodowa” zostanie ocalona.

Przeniesienie Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich ze Lwowa do Wrocławia było w swoim czasie ważnym krokiem w kierunku ratowania ciągłości tradycji kulturalnej, która w ostatnich dwustu latach ciągle się rwała. Oddzielenie wydawnictwa Ossolineum, w tym i „Biblioteki Narodowej” od Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich było z kolei aktem bezprawia administracyjnego (na mocy „prawa telefonicznego”). Najlepszym więc chyba rozwiązaniem byłoby przywrócenie do życia Fundacji im. Ossolińskich i powrót „Biblioteki Narodowej” do tej Fundacji. Czy i jakie szanse ma ten projekt nikt dziś chyba nie potrafi powiedzieć.

Andrzej VINCENZ

RWE/RS: brak kontroli nad publicznym pieniądzem

25 stycznia 1994 był dramatycznym dniem dla Radia Wolna Europa-Radia Swoboda. Tego dnia bowiem senator ze stanu Wisconsin, Russ Feingold wystąpił podczas debaty w Senacie USA z nowymi rewelacjami dotyczącymi nadużyć, popełnianych przez lata w tej instytucji. Chodzi tu głównie o wyśrubowane pensje i przywileje dyrekcji.

Senator Feingold zajął się przede wszystkim osobą Prezydenta obu Radiostacji, Gene Pella, który w październiku 1993 roku zrezygnował ze stanowiska, motywując to na zebraniu załogi „potrzebą zmiany po 10 latach”. W tej chwili jest jasne, że Pell został po prostu zmuszony do rezygnacji w nadziei, iż uniknie się w ten sposób skandalu.

Senator Feingold rozpoczął od przypomnienia „listy płac” piętnastu dyrektorów RWE-RS. W przypadku Prezydenta roczne zarobki kształtują się (wraz z innymi beneficjami takimi, jak zwrot podatków niemieckich i bezpłatne mieszkanie) w grani-

cach 317.000 dolarów rocznie (a więc więcej, niż ...prezydenta Stanów Zjednoczonych). Zastępca Prezydenta RWE-RS otrzymuje 303.000 dolarów rocznie, dyrektor Radia Wolna Europa (jest nim w tej chwili Robert Gillette) ma 318.000 dolarów rocznie, dyrektor personalny (obecnie: Stephan Kellar) ma zarobki w granicach 233.000 dolarów. W sumie „złota piętnastka” kosztuje podatnika amerykańskiego rocznie ponad 3,6 miliona dolarów w samych tylko pensjach i dodatkach mieszkaniowych. Z wypowiedzi Feingolda wynika, że nie wliczono tu rozmaitych extra wydatków np. na kształcenie dzieci, fundusz reprezentacyjny, podróże służbowe itp.

Szczególne „aktywność fiskalna” towarzyszyła między innymi odejściu b. prezydenta RWE-RS Gene Pella. W tej chwili odpowiednie komórki kontrolne prowadzą badanie, czy Pellowi wypłacono pieniądze zgodnie z przepisami. Mianowicie, „na otarcie łez” otrzymał na rękę 137.000 dolarów a poza tym Radio wpłacało na jego fundusz emerytalny dodatkowe kwoty, których wysokość oblicza się na 200.000 dolarów.

Szczególne oburzenie opinii publicznej w Stanach wywołał raport na temat wykorzystywania przez Pella jego stanowiska dla uzyskania następujących, pozornie „drobnych” korzyści: Radio musiało płacić za przychodzącą do niego do domu dwa razy w tygodniu służącą oraz za ogrodnika (razem: 1.750 dolarów miesięcznie). Radio płaciło za nieustanne odnawianie i wyposażanie na nowo dwóch mieszkań, jakie Pell zajmował — koszt wyniósł 237.000 w ciągu dwóch lat. Nawet cztery afgańskie dywany do willi pana Pella zakupione zostały na koszt amerykańskiego podatnika (6.230 dolarów). Aczkolwiek w willi tej było miejsce nawet na „pokój muzyczny z fortepianem” to jednak Gene Pell domagał się, by dla jego gości wynajmowano oddzielne mieszkanie (oczywiście na koszt Radia).

Senator Feingold użył w tym miejscu określenia: to jest instytucja, której „executives” przez lata doili mleczną krowę — podatnika amerykańskiego! Do tego dochodzą nadużycia, wykryte w samej działalności RWE-RS. Chodzi tu — według Feingolda — np. o zawieranie kontraktów na pełnoetatową pracę z rencistami radiowymi względnie o opłacanie honorariów dla osób trzecich za wykonywanie prac, które wykonywać powinni sami pracownicy. Ponadto brakuje dokumentacji, nie ma dowodów na wykonanie wielu tych robót. Oddzielny „rozdział” to podróże służbowe. Feingold skrytykował jednego z wysokich „executive” (nie wymienionego z nazwiska), który w ciągu 6 miesięcy wykonał 5 służbowych wyjazdów do Waszyngtonu w celu „uzyskania poparcia” dla RWE-RS. W tym miejscu można się zapytać, jaki był cel i uzasadnienie dla ponad pięćdziesięciu podróży służbowych jakie w ciągu 4 lat wykonał z kolei... dyrektor Sekcji Pol-

skiej, Piotr Mroczek, korzystając przy tym wielokrotnie z najdroższych luksusowych hoteli, np. w Warszawie z „Mariotta”, czy „Bristolu”?

Efekt wystąpienia senatora Feingolda był piorunujący. Pokazał on bowiem, do czego prowadzi — także w demokracji — brak kontroli nad pieniędzmi publicznymi. Radio Wolna Europa - Radio Swoboda znajdowało się od samego początku w szczególnej sytuacji, mianowicie działało poza Ameryką, za oceanem. Brak dokładnej, nieustannej kontroli nad finansami RWE-RS ze strony Waszyngtonu (oddalenie ją właśnie utrudniało) spowodował wypaczenia i nadużycia. Toteż Senat odpowiedział na wystąpienie Feingolda i na jego wniosek szeregiem decyzji, które tę kontrolę mają obecnie zacieśnić i uniemożliwić nadużycia. Przede wszystkim, w ciągu 90 dni kierownictwo Radia ma przedstawić nazwiska osób z amerykańskiej dykcji, których stanowiska zostaną przeniesione do centrali, w rejon Waszyngtonu. Dziś, przy sieci połączeń faxowych i telefonicznych managerowie mogą doskonale zarządzać firmą zza oceanu. A w Waszyngtonie owi amerykańscy dyrektorzy znajdują się pod ścisłą kontrolą finansową i będą się musieli podporządkować pułapom zarobków przewidzianych dla pracowników rządowych. Senat przyjął ok. 20 rozmaitych kontrolnych decyzji, w tym np. zakaz zatrudniania „sprzątaczek w domach na koszt Radia. Wyraził też przekonanie, że do 1999 roku RWE-RS zostanie sprywatyzowane a w każdym razie, że nie będzie już więcej żadnych dotacji. Utrzymano natomiast (dzięki inicjatywie senatora Josepha Bidena) status obu Radiostacji jako „niezależnych od rządu amerykańskiego” (w przeciwieństwie do Głosu Ameryki). Budżet RWE-RS ograniczono, zgodnie z zapowiedzią do 75 milionów dolarów rocznie począwszy od roku fiskalnego 1995 (a więc od października 1995). Obecnie RWE-RS ma budżet w granicach 210 mln dolarów. Senator Feingold pochwalił też gorąco decyzje już podjęte, mianowicie zamknięcie niektórych serwisów (w tym Rozgłośni Polskiej) i wypowiedzenie pracy kilkuset osobom. Nie zauważył przy tym najwidoczniej, że wypowiedzenia dotknęły tych, którzy z nieuzasadnionymi nieuczciwie uzyskiwanymi i wygórowanymi przywilejami i pensjami nie mieli nic wspólnego... Podczas gdy do końca grudnia 1993 wypowiedzenia pracy otrzymało 309 „zwykłych” pracowników, to zachowano bez zmian CAŁĄ administrację i CAŁĄ amerykańską dykcję. Wymówienie nie dano nikomu ze „złotej listy” senatora Feingolda. Utrzymano też nienormalną sytuację „podwójnego managementu” polegającą na tym, że mimo fuzji dokonanej w 1976 roku w dalszym ciągu istnieje odrębny dyrektoriat RWE i odrębny dla Radia Swoboda, z własnymi dyrektorami, wicedyrektorami, plejadą sekretarek itp. itd.

W chwili, kiedy piszę te słowa (koniec stycznia 1994) nie została jeszcze podjęta decyzja o przeniesieniu Radia do Pragi. Zgodnie jednak z pierwotnym projektem Board for International Broadcasting — Zarządu Międzynarodowej Radiofonii — zarządzającym obu Radiami z Waszyngtonu (ma być zlikwidowany, kosztuje bowiem ok. 2 mln dolarów rocznie...) po ostatecznym zamknięciu Rozgłośni Polskiej w Monachium ma być ona przeniesiona do Warszawy w składzie 15 pracowników (dziś: 65 osób). Nikt nie wie, jaki będzie program, cel nadawania, charakter stacji, co ma ona robić w Warszawie, gdzie siłą rzeczy podana będzie miejscowym naciskom politycznym i układom. Wiadomo tylko jedno: że wcześniej niż cała RWE, Rozgłośnia Polska przestanie otrzymywać fundusze zapewniane przez Kongres Amerykański i ma się „sprywatyzować” już do roku 1995.

MONACHIJCZYK

The Polonia Aid Foundation Trust

W dniu 15 grudnia 1993 odbyło się w Londynie kwartalne posiedzenie Rady Powierników *The Polonia Aid Foundation Trust* (PAFT). We wstępnej części zebrania przewodniczący prof. Edward Szczepanik powiadomił, że PAFT otrzymał dar w wysokości £ 65.792,05 jako zapis testamentowy śp. Jadwigi Janczukowiczowej, wdowy po śp. majorze Piotrze Janczukowiczu.

Rada Powierników przyjęła sprawozdanie Komitetu Wykonawczego z dotacji, udzielonych następującym instytucjom i osobom w ramach uprawnień Komitetu:

— Teatr Dziecięcy „Syrena” w Londynie (na wystawienie sztuki „Wędrówka” o dzieciach polskich szukających matki w Rosji) — £1.000

— Dr Andrzej Kunert z Archiwum Polski Podziemnej w Warszawie (na pokrycie kosztów kopiowania dokumentów w Instytucie im. gen. Sikorskiego i w Studium Polski Podziemnej w Londynie do książek o gen. Bór-Komorowskim i „Rzeczypospolitej Walczącej”) — £1.000;

— Studium Polski Podziemnej w Londynie (na przygotowanie wydania książki „Burza” w 50-lecie tej akcji) £500;

— Stowarzyszenie Żołnierzy 5 Kresowej Dywizji Piechoty w Londynie (na naprawę pamiątkowego Krzyża na wzgórzu 575 na Monte Cassino) — £500;

— Polski Uniwersytet na Obczyźnie w Londynie (na zakup komputera do prac naukowych) — £500;

— Mgr Andrzej Suchcitz z Instytutu im. gen. Sikorskiego w Londynie (na wydanie pracy z historii wojskowości „Broń i barwy”) — £300;

Ponadto Rada Powierników uchwaliła następujące subwencje:

— Komisja Biblioteczna POSK-u (na połączenie bibliotek POSK-u i Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie — saldo końcowe) — £2.577;

— Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie w Londynie (na dalsze prace nad „Materiałami do dziejów polskiego uchodźstwa niepodległościowego, 1939-1991”) — £2.000;

— Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii (na działalność kulturalno-oświatową) — £2.000.

Rada Powierników przyjęła również sprawozdanie Komitetu Wykonawczego z postępów wstępnych rokowań finansowych z „Ogniskiem Polskim” w Londynie*.

Jerzy OSTOJA-KOŹNIEWSKI
Hon. Sekretarz PAFT

Edward SZCZEPANIK
Przewodniczący PAFT

* O co tutaj chodzi? Czyżby „Ognisko Polskie” miało się stać nowym „Zamkiem”? (Red.)

O religii bez namaszczenia

„Trudno im dogodzić”

ROZMOWA Z ARCYBISKUPEM KAZIMIERZEM
ŚWIĄTKIEM Z MIŃSKA O STOSUNKACH
Z PRAWOSŁAWNYMI

Czas szybko leci. Minęło z górą dwa i pół roku od nominacji Kazimierza Świątka, któremu Jan Paweł II powierzył rządy archidiecezji Mińsk-Mohylew i diecezji w Pińsku. Był on przyjęty w grudniu 1993 r. przez papieża i złożył w Watykanie sprawozdanie na temat aktualnej sytuacji Kościoła na Białorusi. Problem mniejszości polskiej stanowi na obszarze tej nowej, niepodległej republiki źródło napięć, wynikających z obaw — nieraz o charakterze paranoicznym — i nieufności prawosławnych. Potrzeba zatem wielkiej cierpliwości, umiaru i elastyczności, a więc cech i zdolności, którymi nie zawsze mogą pochwalić się polscy kapłani obejmujący odrażdżające się placówki. Z rozmowy jaką przeprowadziłem z abp. Świątkiem, któremu towarzyszył biskup A. Kaszkiewicz z Grodna, wynika, że ta nieufność prawosławnych przyjmuje wyraz bardziej antagonizmu etnicznego niż religijnego.

P.: — Czy to prawda, że status Kościoła Katolickiego nie jest jeszcze zatwierdzony przez władze państwowe i tym samym Ks. Biskup jest praktycznie ignorowany?

O.: — Proces normalizacji rozpoczął się pod koniec 1989 r. poprzez jurysdykcję powierzoną biskupowi T. Kondrusiewiczowi z siedzibą w Grodnie dla opieki duszpasterskiej dla katolików na całym obszarze Białorusi (jak wiadomo abp Kondrusiewicz od dwóch przeszło lat jest administratorem apo-

stolskim dla europejskiej części Federacji Rosyjskiej z siedzibą w Moskwie). Bulla papieska z 13 kwietnia 1991 r. ustanowiła trzy diecezje: Mińsk-Mohylew, Grodno, Pińsk — administracja apost. Władze państwowe, jak dotąd, zatwierdziły jedynie status diecezji grodzieńskiej, podczas kiedy brakuje uznania *de iure* pozostałych dwóch wskrzeszonych diecezji. Nie wysunięto zastrzeżeń natury formalnej, jestem więc *de facto* tolerowany. W tym samym czasie status parafii, które zgodnie z obowiązującymi przepisami były przez nas zarejestrowane, jest przez władze respektowany. Mamy więc do czynienia z sytuacją w pewnym sensie paradoksalną. Z punktu widzenia pastoralnego nie ma żadnych różnic pomiędzy diecezjami w Grodnie a metropolią Mińsk-Mohylew, natomiast niewątpliwie stan rzeczy w diecezji grodzieńskiej, obejmującej ziemie należące do Polski przed 1939 r. jest znacznie lepszy, ponieważ struktury kościelne były tam odbudowane w sposób bardzo szybki i skuteczny, tzn. nie napotykając na przeszkody zewnętrzne.

W tym miejscu zabiera głos biskup Aleksander Kaszkiewicz z Grodna: „Kiedy biskup Kondrusiewicz podjął tam swoją misję musiał zaczynać praktycznie od zera, z nielicznymi współpracownikami i skromnymi środkami. Udało mu się stworzyć solidne podstawy dla odrodzenia religijnego ze strukturami działającymi na terenie całej diecezji łącznie z seminarium, które gości dziś ponad stu alumnów”.

P.: — W niedawnym wywiadzie dla gazety La Stampa, prawosławny metropolita Kirył ze Smoleńska w Rosji, miasta położonego w pobliżu granic Białorusi, zarzucił „polskim kaznodziejom katolickim uprawianie prozelityzmu i dzielenie ludu”. Jak należy osądzać tego rodzaju oskarżenie i to ze strony dostojnika, który zajmuje stanowisko kierownika odpowiedzialnego za stosunki zagraniczne patriarchatu rosyjskiego?

O.: — Nasze stosunki z Kościołem prawosławnym wykazują stałą tendencję do stopniowej poprawy. Oskarżenie o „agresywność” jest bezpodstawne, bo nie da się nam zarzucić żadnych aktów przymusowego nawracania. W ramach katechezy i działalności duszpasterskiej w ogóle nasi kapłani wykazują gorliwość, ale skierowaną wyłącznie wobec własnych wiernych. Co prawda bywają przypadki, że prawosławni przychodzą do nas z prośbą o chrzest lub katechezę. Nie wywieramy jednak żadnego nacisku. Jesteśmy na tych ziemiach, by służyć wspólnotom katolickim, przez długie lata izolowanym od swego macierzystego Kościoła.

P.: — Czy sprawa używania języka polskiego nie stanowi zarzewia konfliktu?

O.: — W Kościele katolickim, tzw. powszechnym, jest miejsce dla każdej narodowości. Znajdujemy się w fazie początkowej. Pewna liczba kapłanów przybywających z Polski nie zna białoruskiego i tylko powierzchownie zna rosyjski. Staramy się o wprowadzenie języka białoruskiego, skądinąd jeszcze mało rozpowszechnionego, we wszystkich parafiach i to w zależności od liczby odnośnych wiernych. Są prawosławni którym przeszkadza, że posługujemy się językiem polskim. Jeśli używamy polskiego wyskakuje oskarżenie o polonizację, a skoro rosyjskiego — o prozelityzm. Co zrobić by im dogodzić? Nie mamy zresztą ksiąg liturgicznych w języku białoruskim i ponadto znaczna większość naszych wiernych jest pochodzenia polskiego. W licznych kościołach kazania wygłaszane są w obydwu językach. Trudność zasadnicza polega również na braku odpowiedniej terminologii liturgicznej i teologicznej w języku białoruskim. Specjalnie powołana komisja przygotowuje przekład odnośnych tekstów. Sedno rzeczy polega na tym, że język białoruski nie jest jeszcze ujednolicony, istnieje szereg dialektów lokalnych w zależności od regionu. Władze państwowe czynią wprawdzie wysiłki w kierunku budowy narodowej tożsamości białoruskiej, ale jak dotąd nawet w parlamencie i urzędach słyszy się często język rosyjski jako najbardziej upowszechniony. Jak można więc wymagać posługiwania się białoruskim w kościołach, skoro ten język nie jest obiegowy w życiu publicznym? Trzeba zaznaczyć, że rząd Republiki Białoruskiej podpisał konwencję międzynarodową o ochronie mniejszości etnicznych i wyznaniowych. Prawosławni nieraz ignorują ten fakt. Polscy katolicy mają prawo do posługiwania się językiem ojczystym.

P.: — Jak wygląda stan prawny wspólnoty greckokatolickiej?

O.: — Istnieje tylko kilka parafii, obsługiwanych przez 3 kapłanów przybyłych z zachodniej Ukrainy. Status Kościoła obrządku bizantyjskiego jest w trakcie uregulowania przez wyznaczonego specjalnie delegata apostolskiego, który ma zebrać dane faktyczne dotyczące stopniowo odradzającego się Kościoła greckokatolickiego (m.in. liczby wiernych) by unormować jego strukturę.

P.: — Odnosi się nieraz wrażenie, że na płaszczyźnie lokalnej stosunki z prawosławnymi rozwijają się, jeśli nie prawidłowo, to

w każdym razie bezkonfliktowo. Napięcia, natomiast, występują głównie na poziomie hierarchii. Czyż więc nie można stwierdzić, iż postępy dialogu ekumenicznego i poprawy stosunków z prawosławiem zależą dziś bardziej od kontaktów międzyludzkich „na dole” niż od kontaktów „na górze”, które, jak dotąd, stanowią monolog?

O.: — Prawosławni i katolicy żyją tu od wieków, wśród prostych ludzi obydwu wyznań nie ma konfliktów. Jeśli daje się dziś odczuć rezerwę i nieufność ze strony pewnej liczby popów, zjawisko to stanowi jedynie skutek postawy hierarchii. Skoro więc dojdzie do zmiany stanu rzeczy na górze wraz z eliminacją pretensji pod naszym adresem, często sztucznie tworzonych, również i dialog ekumeniczny, w zasadzie wolny od przeszkód na szczeblu lokalnym, będzie mógł być odblokowany. W istocie rzeczy jestem umiarkowanym optymistą i mając na myśli konieczność brania pod uwagę rzeczywistych, panujących warunków, sądzę, że nie ma problemów nie do rozwiązania. Znajdziemy wyjście korzystne dla obu Kościołów i dla władz państwowych. Zależy to od dobrej woli po obydwu stronach.

W tej rozmowie, która miała miejsce w grudniu ub.r., była mowa również o kruchej sytuacji politycznej i ciężkich warunkach materialnych ludności. Abp Świątek mówił z niepokojem o wciąż nostalgicznych nastrojach w parlamencie, o stacjonujących oddziałach wojsk rosyjskich, przejmujących funkcje, które były im uprzednio odebrane. 28 stycznia parlament w Mińsku usunął prezydenta St. Szuszkiewicza, rzecznika reform i emancypacji nowej republiki, a wybór padł, jak wiadomo, na M. Gryba, komunistę i b. generała policji. Szuszkiewiczowi i jego poplecznikom zarzucono, że nie walczył z korupcją. W gruncie rzeczy chodziło o zablokowanie polityki reform rynkowych i zacieśnienie współpracy gospodarczej i politycznej (zwłaszcza w dziedzinie stosunków z zagranicą) z Moskwą. Zwycięstwo komunistów nie musi jednak koniecznie oznaczać pogorszenia sytuacji Kościoła katolickiego. W rzeczy samej paradoks polega na tym, że nie wiadomo — na krótką metę oczywiście — która opcja jest lepsza (z punktu widzenia mniejszości narodowych i wyznaniowych): nacjonalistyczno-białoruska czy wielkorusyjska.

WOJNA W RODZINIE KATOLICKIEJ, ZGRZYTY POLSKO-UKRAIŃSKIE

Po powrocie w maju 1992 r. z podróży do Lwowa, która zaprowadziła mnie również do Żytomierza i Kamieńca Podolskiego (*Kultura*, nr 9, 1992), byłem pod wrażeniem siły przebiecia powracających wciąż uporczywie polsko-ukraińskich sporów i urazów. Wychodziłem jednak z założenia, że po to, by je przelamać trzeba zrozumieć racje drugiej strony, tzn. wyjść naprzeciw oczekiwaniom ukraińskich grekokatolików. Bo jak inaczej można mówić o dialogu? Dziennik ten, pisany z okazji pierwszego w niepodległej Ukrainie Synodu biskupów odrodzonego Kościoła obrządku bizantyjskiego, odebrany był z uznaniem przez kręgi ukraińskie, co wyraził publicznie m.in. biskup Iwan Martyniak, w obecności ambasadora ukraińskiego we Włoszech, w czasie rzymskiej wigilii Bożego Narodzenia. W niektórych polskich kręgach, także i kościelnych, wywołał natomiast zastrzeżenia zawierające się w zwrocie „przejęcie” na korzyść ukraińskiej interpretacji panujących nieporozumień. Choć nie taka była moja intencja, przyznaję, że faktycznie przedstawiona wersja istniejących zgrzytów, takie właśnie wrażenie mogła wzbudzić.

Kiedy więc, po upływie półtora roku, przystępuję ponownie, w oparciu o znane fakty i opinie, do zajęcia się naszymi wzajemnymi stosunkami, odczuwam pewien zawód i żal, iż nie zdołano dotąd osiągnąć uchwytnych postępów. Wiadomo, że ze strony polskiego episkopatu, duchowieństwa i laikatu uczyniono kroki by złagodzić tarcia i starano się o podejmowanie wspólnych inicjatyw. Odnosi się to nie tylko do samej Ukrainy, ale i diecezji grekokatolickiej w Przemysłu, gdzie np. w styczniu br. w uroczystości Objawienia Pańskiego w katedrze przemyskiej, pod przewodnictwem biskupa Iwana Martyniaka, obok 2 tysięcy wiernych ukraińskich uczestniczyli również katolicy obrządku łacińskiego z metropolitą Józefem Michalikiem na czele, Bp Martyniak podziękował mu za możliwość korzystania przez jego wiernych ze świątyni obrządku łacińskiego. A arcybiskup Michalik powiedział, że „trzeba wielkiej modlitwy, by wszystkie rany naszych serc mogły się zagoić”. Piękny ten gest i wiele innych podobnych znaków pojednania nie zadowolili jednak dotąd strony ukraińskiej. Biskup Martyniak domaga się podniesienia swej diecezji do rangi metropolii i podobno nie chce skorzystać z ofiarowanego mu jednego pietra w budynku daw-

nej rezydencji biskupów ukraińskich, przekształconej w muzeum. Wygasło tymczasem główne źródło konfliktu. Pierwotna decyzja włączenia diecezji przemyskiej do warszawskiej prowincji kościelnej uległa bowiem w czerwcu ub.r. rewizji w postaci podporządkowania jej bezpośrednio Stolicy Apostolskiej (*ad nutum Sanctae Sedis*).

„Nie ma nic gorszego niż Kościół na służbie nacjonalizmu”, są to słowa arcybiskupa Mariana Jaworskiego, metropolity lwowskiego obrządku łacińskiego w wywiadzie opublikowanym w miesięczniku *Więź* (listopad 1993 r.). Ten osąd znajduje zresztą potwierdzenie w wielu znanych faktach oraz w treści wywiadu kardynała Myrosława Lubacziwskiego, arcybiskupa większego Lwowa obrządku bizantyjskiego, udzielonego KNA, austriackiej Katolickiej Agencji Informacyjnej. Przedruk tego wywiadu ukazał się w przekładzie w *Słowie* — dzienniku katolickim w Warszawie i wywołał zaskoczenie nie tylko w polskich kręgach kościelnych i świeckich. Kard. Lubacziwskij skarży się: „Polacy w swym kraju zabrali wiernym grekokatolickim, których jest 350 tys., 248 kościołów. Nie zostały one nam nigdy zwrócone. Natomiast Polacy na Ukrainie posiadają 79 kościołów, zaś ich wspólnota liczy obecnie 25–30 tysięcy wiernych”. A na pytanie czy możliwe jest porozumienie pomiędzy Kościołami katolickimi obydwu obrządków, odpowiada: „Jest to niezwykle trudne. Traktujemy Polaków tu, na Ukrainie, w ten sam sposób, jak obchodzono się z naszymi ludźmi w Polsce”. A odpowiadając na pytanie dotyczące stosunków z Rosją, daje wyraz przekonaniu, że są one napięte, „ale posiadamy swoją armię, nie jest ona tak silna, jak rosyjska, jednakże liczy 450 tys. żołnierzy. Dysponujemy również raketami *Cruise*. Jeśli ktoś nas zaatakuje, będziemy się bronić”. Te i inne jeszcze stwierdzenia wywołały zdumienie, żeby nie użyć bardziej soczystego określenia, w kręgach watykańskich. Wprawdzie z równoczesnym i słusznym zaleceniem, by unikać zaostrzania atmosfery, co mogłoby zaszkodzić wiernym rzymskokatolickim na terenie metropolii lwowskiej. Nie idzie tu jednak o polemikę, ale zwrócenie uwagi na realia i w związku z tym o wezwanie pod adresem ukraińskich braci do opamiętania się i niezapominania, że jesteśmy w tej samej łodzi kołyszającej się na wzburzonych falach zagrożenia ze strony zarówno prawosławnych podzielonych na Ukrainie na trzy odłamy jak i różnych sekt próbujących podważyć tradycyjną pozycję chrześcijaństwa.

Jest rzeczą znamioną, że kardynał Lubacziwskij pomija

milczeniem kto jest prawdziwym sprawcą i sprężyną zaboru świątyń, tzn. Autokefaliczną Cerkiew prawosławną, a obarcza odpowiedzialnością wspólnotę rzymskokatolicką w oparciu nb. o liczby wysane z palca. Wystarczy spojrzeć na dane zawarte w *Annuario Pontificio* z 1993 r. oraz na *Greko-Katolickij Cerkownyj Kalendar*. Dowiadujemy się mianowicie, że ukraińskich wiernych w Polsce jest 134 tys., 86 parafii i 100 świątyń obsługiwanych przez 77 kapłanów. A w rzymskokatolickich seminariach — wobec braku dotąd własnego seminarium — kształcą się ponad stu alumnów narodowości ukraińskiej, nie tylko zresztą z Polski, lecz i z Ukrainy. Kard. Lubacziwskij odwiedził kilkakrotnie Polskę przed swym powrotem na stałe do Lwowa. I nigdy się nie uskarżał — przeciwnie brał udział we wspólnych uroczystościach na Jasnej Górze i mógł poznać strukturę swego Kościoła i swobody z jakich korzysta. Czyżby więc dopiero presja otoczenia (starego czy też i nowego?) spowodowała ten nagły przypływ antypolskich animozji? Nie chodzi tylko o same cyfry, które nb. kardynał sprowadza wyłącznie do Polaków, podczas kiedy, jak podkreśla w.w. abp Jaworski, „wielu uczęszczających do naszych świątyń pochodzi z rodzin mieszanych, polsko-ukraińskich, są także wierni narodowości rosyjskiej. Dlatego tu, na Ukrainie, są miejscowości, w których odprawiamy Mszę świętą także po ukraińsku i po rosyjsku”. Ponadto również konfrontacja warunków panujących w obydwu wspólnotach katolickich jest daleka od ich prezentacji przez Głowę Katolickiego Kościoła Ukraińskiego. Dochodzi do gorszących incydentów, nie waham się powiedzieć, skandalicznych. Nawet w czasach największych represji ze strony reżimu komunistycznego nie zajmowano w Polsce świątyń podczas sprawowania nabożeństw. Taki przypadek zdarzył się natomiast we wrześniu ub.r. w miasteczku Brody (przed wojną stał tam pułk ułanów), gdzie podczas mszy św. do kościoła wtargnął prokurator z 30 milicjantami, by przekazać go wiernym obrządku bizantyjsko-ukraińskiego. Trzeba tu dodać, że nie znany jest na Ukrainie ani jeden przypadek, by wyznawcom rzymskokatolickim Ukraińcy udostępniłi swe cerkwie, co w Polsce jest powszechnie stosowane, a nawet na samej Ukrainie grekokatolicy korzystają z katedry w Łucku czy też kościołów łacińskich w Odessie i Winnicy. Spotkany niedawno kardynał H. Gulbinowicz, metropolita wrocławski, mający do czynienia z licznymi ośrodkami ukraińskich wiernych, przesiedlonych po wojnie, stwierdza: „Cieszą się oni u nas autonomią w dziedzinie kultury, oświaty i religii oraz wszel-

kimi udogodnieniami, ale mimo to ich rodacy we Lwowie są wciąż niezadowoleni, trudno ich sprowadzić na szlak racjonalnego myślenia”. Nie ma on złudzeń: trudno z nimi współżyć. Czy tak być musi? Przecież obawy o latynizację czy polonizację są pozbawione podstaw i brak jakichkolwiek nawet poszlak wskazujących na tego rodzaju działania przede wszystkim dlatego, że Kościół rzymskokatolicki stanowi na tych ziemiach zdecydowaną mniejszość, która nie może nikomu zagrażać. I jak podkreśla abp Jaworski „nie ma charakteru narodowego, jest bowiem otwarta na zaspokajanie potrzeb religijnych wszystkich, którzy w tym właśnie obrządku chcą praktykować. Nie ma też mowy o prozelityzmie z naszej strony, nikomu bowiem nie odbieramy jego wiernych — są tylko przypadki, że wierni, którzy nie mieli do tej pory możliwości praktykowania w Kościele katolickim i korzystali z posługi duszpasterskiej w innych Kościołach, dziś wracają do swego Kościoła macierzystego”. Dotyczy to w dużej mierze Wołynia, gdzie, wbrew pierwotnym założeniom, Kościół obrządku łacińskiego zaczyna rozwijać się dość dynamicznie. Jest rzeczą zadziwiającą przemilczanie przez kard. Lubacziwskiego, jak zresztą również przez licznych ukraińskich duchownych, często spotykanego zjawiska rodzin mieszanych pod względem wyznaniowym i narodowym. Zjawisko to nabiera dużej wagi jako załączek przekraczania konfliktów etnicznych czy religijnych. Ubolewać należy, że Kościół grekokatolicki, zamiast rzeczowego podejścia ekumenicznego do tego rodzaju zjawisk życiowych, bierze niestety często udział w polityce władz ukraińskich stosujących zasadę *divide et impera* przy zwrocie i przydziale budynków kościelnych. Jak przypomina, na marginesie w.w. wywiadu kard. Lubacziwskiego, prof. Jerzy Pietrzak, znany uczony i były senator RP, „zdarza się często, że gdy tylko katolicy obrządku łacińskiego wnoszą o zwrot kościoła, zaraz występują z identycznym postulatem grekokatolicy i przesądzą rozstrzygnięcie na swoją korzyść”. I wymienia przykład Lwowa, gdzie czynne są tylko dwa kościoły (katedra i św. Antoniego) i od lat władze odmawiają spełnienia minimalnego postulatu zwrotu chociażby jednego kościoła. Kard. Lubacziwskij, niestety, „takie poczynania akceptuje — stwierdza prof. Pietrzak — a nawet je uzasadnia rewanżem za wymaganowane represjonowanie grekokatolików w Polsce”. I dodaje: „ironią losu jest to, że bardzo wiele kościołów o unikalnej wartości architektonicznej niszczyje jako obiekty nie zagospodarowane lub będące wprost w ruinie”.

Jakie wnioski trzeba wyciągnąć z tego przynębiającego rejestru spraw stawianych często przez ukraińskich unitów „na ostrzu noża” i bez szukania porozumienia czy choćby kontaktu z polskimi braćmi? Arcybiskup Antonio Franco, nuncjusz apostolski w Kijowie i równocześnie administrator apostolski diecezji w Mukaczowie-Użhorodzie czyli na dawnej Rusi Zakarpackiej, został tam desygnowany, bo wśród wiernych obrządku łacińskiego są Węgrzy i Słowacy, a Polaków jest zaledwie garstka. Trzeba zaznaczyć, że tamtejsza diecezja obrządku bizantyjskiego, której przewodzi biskup Smedy, uważający się za Rusina, oderwała się od zwierzchnictwa arcybiskupa większego Lwowa. Biskup Smedy nie przybył w maju 1992 r. do Lwowa na Synod Kościoła obrządku bizantyjskiego ponieważ grekokatolicy w jego diecezji uznali ten wskrzeszony Kościół na Ukrainie jako *par excellence* narodowy. Nuncjusz Franco stara się oddziaływać na rozładowywanie starych i nowych napięć. Zadanie ma niewdzięczne, bo i jedni i drudzy na terenie metropolii lwowskiej nie mogą liczyć na to, że stanie po tej czy po tamtej stronie. „Ukraińskim grekokatolikom trzeba czasem ustąpić, nie ma innego wyjścia” — brzmi zalecenie pod adresem polskim watykańskich instancji zajmujących się tą problematyką. Nie tylko dlatego, że w spornych kwestiach racja nie zawsze jest — jak w opisywanych przypadkach — po naszej stronie. Zakłada się mianowicie, że ukraińscy grekokatolicy są upośledzeni w porównaniu z krzepkim i dynamicznym Kościołem w Polsce, czego refleksy odczuwa się niewątpliwie na terenie Ukrainy. Potrzeba im jeszcze sporo czasu na okrzepnięcie i przewyciężenie przerostów nacjonalistycznych. Ale i my nie jesteśmy wobec nich bez winy. Jest rzeczą jasną np., że władze wojewódzkie w Przemyślu wykazują karygodną opieszałość nie tylko w przekazaniu grekokatolikom dawnej rezydencji biskupiej. Nie posunęła się bowiem naprzód sprawa oddania im budynku dawnego seminarium duchownego, gdzie mieści się liceum państwowe, a kaplicę zamieniono na salę gimnastyczną (tak przynajmniej było w maju 1992 r.). Występują tam opory lokalnych władz, które powołują się na takie czy inne przykłady dyskryminowania wiernych polskich przez władze we Lwowie (np. brak zwrotu wspomnianej rezydencji biskupiej). Jeśli jednak będzie wciąż trwać to zgubne zjawisko, nic dobrego nie może z tego wyniknąć. Istota rzeczy polega na niedopuszczeniu do powstawania nowych murów oraz nieustającego podtrzymywania starych podziałów, co przypominał ostatnio Jan Paweł II.

Największą groźbę stanowi zło w postaci skrajnego nacjonalizmu, w służbę którego dał się wpruć Kościół grekokatolicki na Ukrainie. „Jedyną dziś drogą — stwierdza abp Jaworski — jest wychowywanie młodego pokolenia w duchu pojednania i tolerancji, wydaje się bowiem, że starsze pokolenia, zwłaszcza te środowiska, które krzywd doświadczyły na sobie, mają zbyt mocno zakodowaną postawę wrogości”.

Rzym, pisane 30 stycznia 1994 r.

Dominik MORAWSKI

Kiedy złe rzeczy zdarzają się dobrym ludziom*

Książka napisana przez amerykańskiego rabina, przetłumaczona przez osobę która uważa się za niewierzącą, wydana w Polsce przez katolicki dom wydawniczy. Te okoliczności razem wzięte świadczą chyba o jednym: że musi to być ciekawa książka. Uderzający jest śmiały ekumenizm tego przedsięwzięcia, ale nie o żaden ekumenizm jego promotorom chodziło. Zarówno autorowi jak tłumacze i wydawcy przyświecał zgoła inny cel: przyjść z pomocą ludziom, których dotknęło nieszczęście, nieszczęście ślepe, takie które zbija z nóg, niweczące wszelką wiarę w sens życia i wiarę w dobrego Boga. Wszyscy troje musieli takie nieszczęście przeżyć, albo przynajmniej otrzeć się o nie bardzo blisko. Rabin Kushner na samym początku swojej kariery, w której miał uczyć ludzi wiary i miłości do dobrego Boga, dowiedział się, że jego trzyletni syn cierpi na straszliwą a nieuleczalną chorobę zwaną progerią, przyspieszone starzenie się — i mały Aron faktycznie zmarł jako przedwczesny starzec na dwa dni przed ukończeniem czternastego roku życia.

Ludzie na taki nadmiar cierpienia reagują rozmaicie. Jedni pomstują na zły los albo na Boga (jak Bóg mógł coś takiego dopuścić?, dlaczego właśnie mnie się to stało?), inni szukają

* Harold S. Kushner: „Kiedy złe rzeczy zdarzają się dobrym ludziom”. Przekład: Małgorzata Koraszewska. Verbinum. Wydawnictwo Księży Werbistów. Warszawa 1993. Str. 159.

winy w sobie samych (musiałem straszliwie zgrzeszyć, jeśli Bóg tak mnie pokarał), jeszcze inni nic nie myślą, lecz skręcają się tylko w niemym bólu. Rabin Kushner przeżył wszystkie te formy swojego bólu — i podobne bóle wielu innych ludzi, bo (jak pisze), patrząc na mękę swojego synka, już wtedy wiedział, że przyjdzie mu napisać tę książkę. Był i jest z powołania duszpasterzem i, wprawiony własnym nieszczęściem, umiał być obecnym i pomocnym w każdym innym ludzkim nieszczęściu. Co wcale nie znaczy, że zawsze potrafił znaleźć pocieszającą duszpasterską formułę. Właśnie że nie potrafił. Zbyt dobrze wiedział, że filozoficzne i teologiczne mądrości tylko drażnią cierpiącego człowieka, jak biblijnego Hioba drażniły dobre rady jego przyjaciół, bo chodziło im nie tyle o przyniesienie mu ulgi w cierpieniu ile o usprawiedliwienie Pana Boga. Rabin Kushner, jak Hiob, wie, że jest dobrym człowiekiem i że na karę boską nie zasłużył. Wie, że wszelkie ludzkie cierpienie jest przeważnie niezasłużone — właśnie dlatego, że Bóg jest dobry i nie lubi karać. To nie Bóg zsyła na ludzi złe rzeczy; złe rzeczy po prostu się zdarzają i Bóg nic na to nie może poradzić. Bóg może tylko solidarnie z człowiekiem współcierpieć i przez współcierpienie być człowiekowi obecny. I rabin Kushner też stara się tylko być cierpiącym ludziom obecny i przez swą obecność przynosić im Boga.

Bóg rabina Kushnera nie jest zatem wszechmocny. Wielu ludziom taka teologia nie będzie odpowiadać, bo w rozumieniu większości ludzi, wierzących czy niewierzących, samo pojęcie Boga, implikując wszelką doskonałość, musi implikować także wszechmoc. Ale Kushner jest na tyle religijnym człowiekiem, że to go zupełnie nie martwi. Bo religia nie jest logicznie spójnym intelektualnym systemem i nie od dziś wiadomo, że żadna logiczna teodycea (system usprawiedliwiający Boga) nie jest możliwa. Religia to raczej bycie z człowiekiem, towarzyszenie człowiekowi we wszystkich sytuacjach granicznych: na granicach ludzkiego poznania, gdzie rozum staje się bezradny, na granicach ludzkiej wytrzymałości, gdzie ból staje się nie do zniesienia, i oczywiście w obliczu tajemnicy narodzin i śmierci, bycia i nicości.

Uderzające jest, jak bliska jest rabinacka religia Kushnera księżowskiej religii chrześcijańskiej. Wydawcy, świadomi wrażliwości (i wyznaniowej drażliwości) polskiego rynku czytelniczego, bardzo rozsądnie poprzedzili tekst Kushnera odpowiednią przedmową pióra biskupa wrocławskiego ks. Bronisława Dembowskiego i dla pewności jeszcze nieco obszerniejszym posłowiem pióra dr Stanisławy Grabskiej. Oba komentarze zresztą są bardzo dobre. Oczywiście to nie dopiero Bonhoeffer odkrył, że „tylko cierpiący Bóg może pomóc”. Solidarność Boga z cierpiącym człowiekiem, której wyrazem jest Krzyż, stanowi samo jądro

chrześcijaństwa. Ale stare symbole łatwo się wycierają i powszednieją. Potrzebują nowego wyrazu i nowej dokumentacji. Taką nową dokumentacją jest książka rabina Kushnera. A przy okazji odważna inicjatywa katolickiego wydawcy i dwa chrześcijańskie komentarze do żydowskiego tekstu dają nowy odświeżający wyraz największej prawdzie chrześcijaństwa i wszelkiej religii: że Bóg jest miłością. Także międzywyznaniową miłością. Verbinum już zapowiedziało wydanie następnej książki rabina Kushnera pt. „Komu potrzebny jest Bóg”.

Antoni POSPIESZALSKI

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Sąsiedzi

Notatki rosyjskie

W toku ostatnich dwóch miesięcy zaszło wiele wstrząsających, przerażających i bynajmniej niewesołych zdarzeń. Na pierwszy rzut oka odnosi się wrażenie wielkich zmian. Jednak przy bliższym wejrzeniu widać, że kierunek ruchu jest wciąż ten sam. W ostatnich „Notatkach rosyjskich” zamkniętych 11 grudnia ub.r. pisałem głównie o nowej konstytucji rosyjskiej i wyborach do Dumy, które miały miejsce 12 grudnia. W samolocie, który wiozł mnie 14 grudnia do Moskwy, myślałem przede wszystkim o niespodziewanej porażce reformatorskiego bloku „Wybór Rosji” i zatrważającym zwycięstwie Żyrynowskiego, który zapowiada natychmiastowe wskrzeszenie i rozszerzenie imperium rosyjskiego.

Już przy pierwszych spotkaniach w Moskwie zaskoczyło mnie, że w kręgach — by użyć dziennikarskiego licznika — „zblizionych do prezydenta” panuje szczere zadowolenie z wyników wyborów. Powodów do zadowolenia, a w każdym razie spokoju, znalazłem trzy. Pierwszy jest ekonomiczny. Porażkę Jegora Gajdara i jego drużyny uznano za wyraz nieufności do polityki reform ze strony większości ludności. Drugi powód ma charakter polityczny. Opozycyjna „w przeważającej większości” Duma nie może dziś przeciwstawić się polityce prezydenta, może natomiast robić szum, który przydaje Rosji demokratycznego blasku. Wreszcie trzeci powód dotyczy polityki zagranicznej, która zawsze będzie w gestii centrali, ponieważ właśnie istnieje Żyrynowski, przy którym nawet Dżingischan wydaje się liberałem. Pierwszą konsekwencją wyborów była dymisja Gajdara i Borysa Fiodorowa, filarów reformatorskiego skrzydła w rządzie Rosji. Na pokładzie rządowego okrętu jedynym kapitanem został premier Wiktor Czernomyrdin. Jego rola i wpływ na politykę rządu znacznie wzrosły.

Znaczenie Czernomyrdina związane jest z faktem, że jako premier nadal kontroluje przemysł gazowniczy, który wraz z przemysłem naftowym stanowi główne źródło dewiz. Były wieloletni szef przemysłu gazowniczego nadal włada nim jak feudalnymi włościami. W Moskwie mówią, że panuje nad jedną trzecią światowych zasobów gazu. Stanowi to niemałą siłę.

Program Wiktora Czernomyrdina nie wyklucza reform, ale tylko takich, które nie naruszają podstawy gospodarki sowieckiej, czyli przemysłu ciężkiego i wojskowego. Paradoks dzisiejszych czasów polega na tym, że radykalni reformatorzy typu Gajdara proponują politykę, którą zwięźle można by nazwać antynarodową, zaś konserwatyści typu Czernomyrdina politykę — by trwać przy tej samej zwięźłości — narodową. Pojęcia „postępowość” i „reakcyjność” wyszły z użycia. Specjaliści od gospodarki rynkowej bez trudu dowodzą, że terapia szokowa, czyli wjazd pełną parą w gospodarkę rynkową, którą będzie zreszcznie sterować niewidzialna ręka Adama Smitha, w ostatecznym rachunku przyniesie korzyści narodowi. Ale po dziesiątkach lat marszu ku komunistycznej świetlanej przyszłości ogromne obszary byłego obozu socjalistycznego straciły wszelką ochotę do maszerowania ku nowym horyzontom. Konserwatystom jeszcze łatwiej dowieść, że ich celem jest: uniknięcie bezrobocia i zapewnienie ludowi pracującemu (a robotnikom żyje się dzisiaj w Rosji najgorzej) środków do życia. Rząd rosyjski miał do wyboru dwie drogi, polską i ukraińską. Z pierwszej zrezygnowano niemal natychmiast, ku wielkiemu żalowi niektórych reformatorów. Odrzucono również model ukraiński, który sprowadza się do tego, by wszystko zostało po staremu. Na to, aby przekonać się, jakie rozmiary osiągnęła katastrofa na Ukrainie, nie trzeba jechać do Kijowa, wystarczy zająć na dworzec kijowski w Moskwie. Kłębi się tam tłum kobiet i mężczyzn, którzy z ogromnymi trudnościami, forsując liczne miejscowe bariery, przyjeżdżają do stolicy Rosji, aby sprzedać połów słoniny, pięto kiełbasy albo flaszkę gorzały i dostać za to kilka rubli, które dla ludzi ze strefy „kuponów” są równie drogie jak dla moskwićzan dolary.

Program ekonomiczny nowego rządu rosyjskiego opiera się na wybranych elementach obu wyżej wspomnianych modeli ekonomicznych. Nie jest to trzecia droga, tylko próba dostosowania się do istniejących okoliczności. Próba stworzenia centaury (w najlepszym wypadku) lub też (w gorszym wypadku) upieczenia pasztetu zawierającego 90% koniny i 10% bażantów. Pomysł nie jest nowy. Kosygin próbował już w latach siedemdziesiątych sporządzić taki pasztet.

Wtedy przeciwstawiła mu się partia. Co dziś z niego wyjdzie, nie wiadomo. Pewne jest, że rząd chciałby uniknąć wstrząsów społecznych. Równie pewne jest, że klucz rozwiązania problemów Rosji ma jak zawsze charakter polityczny. Borys Jelcyn uzyskał to czego chciał: konstytucyjnie zagwarantowaną silną władzę. Pozostaje pytanie, czy może z niej skorzystać. Czy dysponuje wystarczającymi siłami psychicznymi, aby aktywnie kierować krajem. Odnosi się wrażenie, że walka o władzę bardzo go zmęczyła.

Proces, który rozpoczął się ponad dwa lata temu, nabral w minionych dwóch miesiącach znacznego przyspieszenia. Nazwę go procesem powrotu do centrali. Wspólnota Niepodległych Państw, nieszczęsny odłamek imperium, zrodzony w grudniu 1991 roku w puszczy białowieskiej, staje się coraz bardziej ponętna. Umowę o stworzeniu WNP na miejsce zlikwidowanego ZSSR podpisali przywódcy trzech słowiańskich republik: Rosji, Ukrainy i Białorusi. Dziś spośród byłych sowieckich republik tylko Łotwa i Estonia nie są w ten lub inny sposób związane z WNP. Na łono WNP wróciła Gruzja. Szewardnadze, którego władzę uratowały rosyjskie bagnety (dziś co prawda zamiast bagnatów w ruch idą karabiny maszynowe i wyrzutnie raketowe Grad), podpisał z Jelcynem w Tyflisie umowę o przyjaźni i wzajemnej pomocy, która pozwala armii rosyjskiej zachować bazy w Gruzji i zabezpieczać jej granice. Powrót Gruzji na łono Wspólnoty Moskwa uważa za tak ważne wydarzenie, że Duma sprzeciwiła się ratyfikacji umowy, czekając na poważniejsze ustępstwa ze strony Gruzji. W Mińsku obalono „drogą parlamentarną” przewodniczącego Rady Najwyższej Stanisława Szuszkiewicza. Jego miejsce zajął komunista (zwany co prawda eks-komunistą ale...). Przeciwnicy Szuszkiewicza powiadają: padł pierwszy białowieski żubr. Drugi „żubr” — prezydent Ukrainy — z trwogą oczekuje marcowych wyborów, w czasie których wyborcy powiedzą, co myślą o polityce obecnego rządu Ukrainy wobec Rosji.

Warto odnotować, że Rosja odnosi sukcesy polityczne — a nie ulegają one wątpliwości w Azji Środkowej, na Kaukazie, na Białorusi, na Ukrainie, w Mołdawii — mimo braku stabilnej władzy politycznej w Moskwie. Wpływają na to nie tylko pojedyncze działania, które inicjuje wojsko, ale także siła bezwładu więzów ekonomicznych oraz niezliczonych innych powiązań. Proces centralizacji i rosnąca atrakcyjność Moskwy dla byłych sowieckich republik wywarły duży wpływ na rosyjską politykę zagraniczną. Ponad rok temu pisałem o

tym, że Rosja nie prowadzi żadnej polityki zagranicznej. Rozpad ZSSR i niespodziewane istnienie w pojedynkę wprowadziły rosyjskich polityków w stan szoku, niedowierzania. Poczucie niedowierzania było tym silniejsze, że armia, przekształcająca się z największym wysiłkiem z sowieckiej w rosyjską, była bardzo słaba. Dziś mimo trudności ekonomicznych i chaosu politycznego Rosja — jak za dobrych sowieckich czasów — znów zaczęła przemawiać potężnym basem na arenie międzynarodowej.

Siła Moskwy — jak już bywało za sowieckich czasów — stoi na słabości jej byłych przeciwników, a dziś konkurentów (partnerów?). Europa i Stany Zjednoczone czują się winne porażce reform w Rosji. Jeffrey Sachs, który uleczył Polskę a następnie pobiegł na ratunek Rosji, zdymisjonował ostatnio ze stanowiska doradcy ekonomicznego Jelcyna. Zmusił go do tego kroku, jak sam pisze, zły stosunek Zachodu (w tym również Japonii) do Rosji. Ekspert Jeffrey Sachs tak tłumaczy swoją metodę: Rosja przeprowadza reformy — „terapię szokową”, a „osłonę społeczną” (pomoc dla ludności, zasiłki dla bezrobotnych, itd.) — zapewnia Zachód przyznając jej na to niezbędne środki (kredyty, dary). Tymczasem Zachód nie dał tego co obiecał i czego oczekiwał Jeffrey Sachs. Na przykład w 1993 Międzynarodowy Fundusz Walutowy zapowiedział 18 miliardów a dał tylko dwa. Wynikiem tego jest poczucie winy na Zachodzie, a przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych. Po zwycięstwie Mao Tse-tunga w 1949 roku politycy amerykańscy wściekle oskarżali się nawzajem o to, że doprowadzili do zguby Chin. Dziś zaczynają się zastanawiać nad tym, kto doprowadził do zguby Rosji. Innymi słowy, kto stanął na przeszkodzie (bądź niedostatecznie pomógł) na drodze do demokracji. Moskwa bez trudu wywalczyła sobie (niepisane) prawo do rządzenia „bliską zagranicą”, czyli przyznaną jej strefą. Niektórzy dziennikarze nazwali negocjacje Clintona z Jelcynem w Moskwie w styczniu 1994 roku drugą Jaltą. Jest to naturalnie znaczna przesada, nie ulega jednak kwestii, że Clinton obiecał, że w rozmowach z krajami byłego bloku socjalistycznego weźmie pod uwagę interesy Rosji.

I wreszcie, przekraczając ramy „bliskiej” i „dalszej” zagranicy Moskwa gromko dała znać światu, że jest żywo zainteresowana kwestią Bośni. Na tym przykładzie widać wyraźnie, jaki pożytek można odnieść z Żyrynowskiego. Po jego podróży do Bośni, po komunikacie o „tajnej broni”, która zmiecie z powierzchni ziemi 18 milionów muzułmanów,

po jego przemówieniu w Dumie 9 lutego, gdzie zażądał by w razie zaatakowania przez NATO serbskiej artylerii w rejonie Sarajewa zbombardować Paryż, Londyn, itd., nawet najbardziej wojownicze przemówienia ministra spraw zagranicznych Rosji sprawiają wrażenie więcej niż pokojowych.

Wśród ważnych wydarzeń minionych dwóch miesięcy przeszedł niepostrzeżenie dekret, którego pierwszy paragraf powinien tchnąć nadzieję w dusze milionów obywateli rosyjskich, mianowicie dekret o likwidacji KGB. Jednak przy lekturze następných paragrafów radość czmycha. Na miejsce KGB — z tymi samymi pracownikami (w nieco zredukowanej liczbie) i tym samym szefem (Mikołajem Gałuszko, który wstawił się w swoim czasie walką z dysydentami na Ukrainie) powstał federalny kontrwywiad. Dekret o likwidacji KGB na rzecz innego organu nie jest całkiem jasny. Jasne jest tylko jedno: nowy wywiad znajdzie się w bezpośredniej gestii prezydenta.

Wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi. Reformę KGB można uznać za wyraz nieufności prezydenta wobec urzędu bezpieczeństwa państwowego, który bardzo dziwnie postępował w okresie walki między Radą Najwyższą a Jelcynem, zakończonym krwawym puczem 3, 4 października 1993 roku. Dlaczego jednak Borys Jelcyn postawił na czele nowej instytucji przewodniczącego starego organu?

W Moskwie ukazała się niedawno książka reżysera filmowego Stanisława Goworuchina, znanego z filmów „Tak nie sposób żyć” i „Rosja, którą straciliśmy”. Książka nosi tytuł „Wielka rewolucja kryminalna” i zawiera opis kolejnego filmu zdjętego przez cenzurę oraz notatki reżysera o puczcu, którego był świadkiem. Stanisław Goworuchin jest zażartym przeciwnikiem Borysa Jelcyna i „demokratów” i jako taki został wybrany do Dumy. Jego film jest, sądząc po książce, realistycznym (a właściwie należałoby powiedzieć hiperrealistycznym) opisem życia w dzisiejszej Rosji. Uwagę moją zwróciło nie tylko to, ale i informacja Goworuchina, że kręcił film pod wysokim protektoratem KGB, ministerstwa spraw wewnętrznych i kontrwywiadu. Pozostaje zapytać, dlaczego organy ochrony bezpieczeństwa państwa pomagały przy kręceniu filmu, który pokazuje katastrofalne rezultaty polityki rządowej?

Jest to jedno z niezliczonych pytań, które przynosi dzień w dzień rzeczywistość rosyjska. Najdziwniejsze jest to, że nie sposób znaleźć na nie odpowiedzi. Odpowiedzi nie zna nikt, ale jak powiedział pewien myśliciel, najdalej idzie się wtedy, kiedy nie wiadomo, dokąd się idzie.

Zapomnieć o wzajemnych urazach

Gdy wiosną ubiegłego roku napisałam do *Kultury* na temat tworzonego w Wilnie uniwersytetu polskiego, nie przypuszczałam, że będę musiała zabrać głos ponownie. Skłoniły mnie do tego różne wydarzenia: list podwileńskich polskich rolników do premiera Pawłaka, artykuł Juozasa Dringelisa, pisał na Sejm Republiki Litewskiej, zastępcy przewodniczącego Podkomisji Litwy Wschodniej Państwowej Komisji Problemów Regionalnych, zamieszczony na łamach *Kuriera Wileńskiego* 17 grudnia 1993 r. a także ostatnio wiadomość o liście siedemdziesięciu paru posłów SLD i PSL do władz Rzeczypospolitej Polskiej z żądaniem, by w traktacie z Polską zagwarantować zwrot ziemi rolnikom polskim na Litwie i zgodę na autonomię dla zamieszkałych przez większość polską regionów wileńskiego i solecznickiego*.

A teraz po kolei. Polscy rolnicy ze wsi podwileńskich zdecydowali się na napisanie tego rozpaczliwego listu po bezskutecznym odwoływaniu się do władz litewskich: lokalnej administracji, a także parlamentu i prezydenta. Chodzi o to, że nie mogą w ramach prywatyzacji odzyskać swojej ojcowizny, włączonej w czasach sowieckich do kolchozów. Dzisiaj kolchozów nie ma, zaś ziemia odebrana rolnikom wciąż jest własnością państwa. Dlaczego? Aby ją odzyskać muszą przedstawić dokumenty własności, czyli wyciągi z ksiąg wieczystych, które albo w rzeczywistości zaginęły w czasie wojny, albo Litwini — jak twierdzą nasi rolnicy — celowo zwlekają z wydaniem odpowiednich dokumentów. I znowu pytanie „dlaczego”? Po prostu dlatego, że szykuje się ustawa o objęciu granicami tzw. Wielkiego Wilna — wszystkich terenów podwileńskich w promieniu około dwudziestu kilometrów, zamieszkałych przez ludność polską i w ten sposób cała ta ziemia stanie się własnością miasta. Rolnicy polscy zostaną ustawowo pozbawieni ziemi i będzie im przysługiwała, jak w mieście, jedynie niewielka działka z domem mieszkalnym.

Ale władze litewskie nie czekając nawet na ustawę, przydzielają już cudzą ziemię, przeważnie różnym prominentom,

* Polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych tego wniosku nie uwzględniło (red.).

pod budowę domów. Rolnicy bronili swej ojcowizny, jak np. we wsi Gudele, kładąc się na drodze przed koparkami, jadącymi na miejsce budowy. Zasiedlanie terenów spornych na razie wstrzymano, w oczekiwaniu na wyłuszczającą ustawę, która ma jednak być uchwalona w najbliższym czasie. Polscy rolnicy właśnie w tej sprawie zwrócili się do premiera Pawlaka, prosząc go o obronę przed pozbawieniem ojcowizny.

Pisze też o tym w wymienionym wyżej artykule w *Kurierze Wileńskim* Juozas Dringelis, zarzucając litewskim Polakom mijanie się z prawdą, bo przecież „Komisja Parlamentu Europejskiego nie wykryła na Litwie żadnych naruszeń praw mniejszości narodowych”, jeżeli zaś chodzi o sprawę prywatyzacji to „odbywa się to zgodnie z ustawami litewskimi, które dotyczą wszystkich obywateli, niezależnie od ich narodowości”. Sęk jednak w tym, że dookoła Wilna mieszka ludność polska, co jak wiadomo bardzo się nie podoba wpływowemu i dzisiaj litewskim nacjonalistom.

Dochodzimy tutaj do sedna zagadnienia. Wilno było niegdyś miastem polsko-żydowskim z ułamkiem procentu ludności litewskiej. Tereny podwileńskie, aż do granicy litwinów, którzy stanowili tylko niewielki procent ogółu ludności, mówiącej po polsku, białorusku, lub po żydowsku w małych miasteczkach. Jednak według nacjonalistów litewskich są to tereny etnicznie litewskie z ludnością spolonizowaną, którą należy teraz jak najszybciej „odpolonizować”, stosując także metodę rozrzedzania elementu polskiego przez osiedlanie Litwinów tam, gdzie Polacy stanowią większość. Ale Litwę rządzi teraz nie opanowany przez nacjonalistów „Sajudis”, lecz rząd lewicowy, złożony w większości z byłych komunistów. Czym więc wytłumaczyć niektóre, nacjonalistyczne bez wątpienia poczyny wobec Polaków litewskich? Chodzi o to, że hasła nacjonalistyczne są głównym atutem postsajudisowskiej opozycji i władze obecne chcą nie chcąc musząc się z nimi liczyć. Poza tym Polacy, tak jak nieraz w Polsce Żydzi, stali się wygodnym tematem zastępczym do odwrócenia uwagi społecznej w czasie ogromnych trudności (spadek produkcji przemysłowej i rolnej, inflacja, bezrobocie, coraz śmielsze poczynania różnych mafii), jakie przeżywają zresztą wszystkie kraje z rozpadniętego obozu sowieckiego.

W tym miejscu trzeba też wspomnieć o moich rodakach, kierujących Związkiem Polaków na Litwie. Oni, niestety, też są nacjonalistami, chociaż może dlatego, że każde działanie strony jednej wywołuje przeciwdziałanie strony prze-

ciwnej. Ale problem zderzenia się dwóch nacjonalizmów jest tutaj bardziej skomplikowany, niż się pozornie wydaje.

Cytowany już Juozas Dringelis przytacza fragment oświadczenia Zarządu Głównego Związku Polaków: „Nie jesteśmy Polonią, lecz częścią narodu polskiego, który pozostaje ofiarą zbrodniczego paktu Ribbentrop-Mołotow i układu litewsko-sowieckiego z 28 października 1939 r.” i komentuje to w ten sposób: „Ci panowie otwarcie deklarują, że czują się nie częścią narodu Litwy, lecz Polski, jej obywatelami, którzy stali się ofiarą wydarzeń historycznych”.

Te cytaty obrazują najlepiej tło wciąż niewygasłych napięć między Litwinami a Polakami litewskimi. Zaś zaczęło się to wszystko od powstania państwa litewskiego w roku 1918, gdy jako podstawę przynależności do narodu przyjęto język ojczysty. W ten sposób nastąpił podział na Litwinów, Polaków, Żydów, Rosjan, Białorusinów itd. Przedtem wszyscy mieszkańcy ziem byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego nazywali się Litwinami, niezależnie od używanego w domu języka. Młoda Litwa narodowa, ludowa i chłopska, nie chciała żadnych związków ze świeżo odrodzonym państwem polskim w obawie o wpływy polonizacyjne. Wtedy ludność polska Wileńszczyzny wolała znaleźć się w granicach państwa polskiego i to wykorzystał później generał Żeligowski. Juozas Dringelis tak o tym pisze: „Przyczyną skłócenia naszych narodów stało się oderwanie w październiku 1920 r. i przyłączenie do państwa polskiego serca Litwy, jej stolicy Wilna i trzeciej części etnicznych ziem litewskich. To tzw. akcja gen. Żeligowskiego, a dokładnie Józefa Piłsudskiego i rządu Polski, po której nastąpiła trwająca 19 lat okupacja Wilna i Litwy Wschodniej”.

Rozumiem gorycz i rozżalenie Litwinów, trzeba jednak też wziąć pod uwagę tło historyczne tych wydarzeń. Wielkie Księstwo Litewskie ze stolicą w Wilnie obejmowało niewielkie terytorium etniczne litewskie i olbrzymi obszar ziem ruskich z ludnością słowiańską, głównie prawosławną. Nie tylko zresztą, bo byli też Polacy, Żydzi, Tatarzy, Karaimi, a później także nieliczni Niemcy. Językiem Wielkiego Księstwa był początkowo ruski, a potem wyższe warstwy zaczęły się polonizować, to prawda, ale na polski przechodziły z ruskiego. Język litewski, żmudzki jak wtedy go nazywano, był językiem litewskiego ludu i dopiero w roku 1918 stał się językiem państwowym. W Wielkim Księstwie, tym tygłu różnych ras, religii i języków, panowała ogromna tolerancja, co najlepiej widać było w Wilnie, gdzie przed I Wojną Światową

zgodnie ze sobą współżyła ludność mówiąca po polsku, rosyjsku, żydowski czy litewski.

W 1920 r. w Wilnie i okolicach przeważali mieszkańcy polskojęzyczni, którzy nie chcieli należeć do nacjonalistycznego państwa litewskiego, gdzie, nie znając języka, byłiby zapewne obywatelami drugiej kategorii. I to właśnie ta ludność poparła akcję gen. Żeligowskiego i wypowiedziała się za przynależnością do Polski.

Z tych kilku przytoczonych faktów historycznych widać jak bardzo skomplikowały się w tym stuleciu dzieje tego skrawka dawnego Wielkiego Księstwa. Tymczasem widmo gen. Żeligowskiego wciąż straszy i stanęło teraz na drodze porozumienia litewsko-polskiego, blokując tak potrzebny obu krajom traktat o przyjaźni i współpracy. Litwini domagają się bowiem wstawienia do traktatu potępienia akcji Żeligowskiego i „bezprawnego okupowania 1/3 terytorium Litwy ze stolicą w Wilnie”, na co strona polska nie chce się zgodzić, uważając, że to już jedynie temat dla historyków, zaś w traktacie powinno być tylko o uznaniu obecnych granic Litwy jako ostatecznych. Umieszczenia w traktacie stwierdzenia o okupacji obawiają się też Polacy litewscy, gdyż mogłoby to, ich zdaniem, dać jeszcze jeden argument stowarzyszeniom nacjonalistycznym litewskim do występowania przeciw miejscowym Polakom.

Na temat „okupacji” wypowiada się też Juozas Dringelis: „Wilno w pisanych źródłach historycznych wspomina się 670 lat, a w składzie Polski było 19 i też nieprawnie”. Pisze o tym przytaczając słowa młodej wilnianki, studiującej w Warszawie, gdzie rzekomo słyszała nieraz: „Wilno było i będzie nasze!”. Takie głosy budzą zgrozę u Litwinów, którzy wciąż nie dowierzają Polsce, czy nie zechce odebrać im Wilna.

Tymczasem prawda jest zupełnie inna. Byłam kilkakrotnie w Polsce, gdzie mam licznych krewnych „wilniuków” i nigdy nie słyszałam żadnych opinii tego rodzaju ale wiem, że są w Polsce stowarzyszenia założone przez Polaków z dawnych kresów i niektóre z nich rzeczywiście głoszą takie hasła. To przeważnie starszaki, wymierające już pokolenie i ich głos właściwie już się nie liczy, czego dowodem jest choćby ów ośmieszony w prasie polskiej protest Towarzystwa Obrony Wilna z Kępna, które wystąpiło przeciwko nadaniu Czesławowi Miłoszowi honorowego obywatelstwa Krakowa, bo Miłosz jest podobno Litwinem. Protest znalazł poparcie jednej radnej miasta Krakowa, „niedouczonej”, jak złośliwie

napisano o niej w *Gazecie Wyborczej*. W rzeczywistości chyba nikt poważnie w Polsce nie myśli o odbieraniu Wilna Litwinom i w to nie wierzy. Wilno pozostanie litewskie, tak jak polskim pozostanie Wrocław i Gdańsk.

Moi rodacy ze Związku Polaków też w powrót Wilna do Polski nie wierzą, zaś przytoczona tutaj deklaracja kilku członków Zarządu jest chyba tylko nierozsądną demonstracją przeciwko różnym poczynaniom antypolskich, nacjonalistycznych stowarzyszeń litewskich, takich jak „Vilnija”, czy „Szalcija”, zresztą podobno wspomaganych finansowo właśnie przez Podkomisję Litwy Wschodniej Państwowej Komisji Problemów Regionalnych, której przewodniczącym jest Romualdas Ozolas, były wicepremier rządu sajudisowskiego i niegdyś członek KC Komunistycznej Partii Litwy, zaś jego zastępcą cytowany tutaj Juozas Dringelis.

Warto tu przypomnieć, że poseł Patackas, „reprezentujący” „Vilniję”, odczytał w Parlamencie jesienią ub. roku rezolucję w sprawie potępienia akcji gen. Żeligowskiego i Armii Krajowej „za zamordowanie i zamęczenie tysięcy cywilnych obywateli oraz żołnierzy Litwy”. Tamten okres dobrze pamiętam, w AK byli moi bracia i kuzyni, więc też mogę zabrać głos w tej sprawie. Poza jednym smutnym wydarzeniem, gdy oddział Łupaszki samowolnie, bez odgórnego rozkazu, zabił kilkudziesięciu Litwinów w odwet za straszną zbrodnię w majątku Gliniszki w czerwcu 1944, gdzie litewscy policjanci zamordowali czterdzieści osób, w tym kobiety i dzieci, nie było żadnych wypadków mordowania Litwinów. Zabijano natomiast, na podstawie wyroków podziemnych sądów, agentów gestapo, a że wielu Litwinów tym się parało, mogli być zlikwidowani przez AK, taka jest prawda.

Prawdą jest też, że w czasie niemieckiej okupacji kilkadziesiąt tysięcy Litwinów zgłosiło się na ochotnika do występujących się hitlerowcom Ypatingas Burys, oddziałów tzw. „Strzelców Ponarskich”, którzy m.in. w Ponarach pod Wilnem, zamordowali około 100 tysięcy Żydów.

W 1943 r. Niemcy zorganizowali też litewski ochotniczy korpus pod dowództwem gen. Plechavičiusa, do zwalczania polskiej partyzantki. W maju 1944 r. AK stoczyła bitwę z tymi oddziałami. Wzięto do niewoli 1000 żołnierzy i policjantów litewskich i po rozebraniu ich z niemieckich mundurów puszczono wolno.

Juozas Dringelis pisze, że naprawić stosunki polsko-litewskie można tylko mówiąc całą prawdę. Zgadza się z

tym i choć trochę prawdy powiedzieć próbuję. Nie szczędząc słów krytyki moim rodakom z Zarządu Związku Polaków, popieranym zresztą, niestety, podobno przez niektórych działaczy Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego w Polsce, chcę podkreślić, że zdecydowana większość Polaków litewskich pragnie jak najlepszych stosunków z Litwinami i nie widzi żadnych realnych podstaw do zmiany granic. A czy będą się „czuli obywatelami swego państwa” — jak pragnie pan Dringelis — to zależy także od naszych braci Litwinów.

Wydaje mi się, że najwyższy już czas zapomnieć o wzajemnych urazach i wziąć się do naprawiania i urządzania naszego wspólnego domu Litwinów i litewskich Polaków. Do czego prowadzą nacjonalizmy widzimy najlepiej na przykładzie nieszczęsnej Bośni i Hercegowiny.

Teraz grozi nam większe niebezpieczeństwo niż widmo Żeligowskiego, chociaż też na „Ż” — Żyrinowski. A więc przysłowiowy rosyjski niedźwiedź może się obudzić ze snu zimowego i wyciągnąć łapę po Litwę, przez którą prowadzą przecież szlaki tranzytowe do Królewca, gdzie stacjonuje 200 tysięcy żołnierzy rosyjskich! A tuż za naszą wschodnią granicą nacjonałści białoruscy już głoszą hasło, że Wilno powinno być stolicą Białorusi, ponieważ to ona jest prawdziwą spadkobierczynią Wielkiego Księstwa Litewskiego i dlatego ma Pogoń w herbie, który należy się jej, a nie Litwinom, więc to chyba nie my, Polacy, naprawdę zagrażamy Litwie.

WILNIANKA Z ZARZECZA

P.S. Pisząc w nr 5/548 *Kultury* o polskim uniwersytecie w Wilnie wspomniałam, że Litwini zapewne nie uznają tej, niestety, pseudo-uczelni. Okazało się, że miałam rację. Absolwenci z nie uznawanymi dyplomami będą mogli szukać pracy tylko w Polsce, gdzie jest około 3 milionów bezrobotnych. Ostatnio pan rektor Brazis jeździł do Polski w poszukiwaniu uczelni, która zechciałaby potwierdzać dyplomy wileńskie, ale to wymagałoby z kolei nostryfikacji litewskiej, czyli błędne koło. Realna jest tylko ścisła współpraca z Litwinami, obsadzanie przez polskich profesorów katedr polonistycznych i wymiana wykładowców oraz studentów na innych wydziałach. Z korzyścią dla obu stron.

Kronika kulturalna

Zwyczajny katastrofizm

(DEBIUTY POCZĄTKU LAT DZIEWIĘDZIESIĄTYCH)

Na ogół debiutantom lub ich poszczególnym falom towarzyszyła u nas rówieśnicza krytyka literacka — tak było w momencie startu „pokolenia 56”, tak w okresie debiutu Orientacji, tak wreszcie w trakcie okresu „burzy i naporu” Nowej Fali czy później Nowej Prywatności. Debiuty początków lat dziewięćdziesiątych nie mają niemal krytyki towarzyszącej. O nich i po części też za nich wypowiadają się starsi koledzy po piórze. Wstępy lub posłowania do tomików piszą Marian Stala, Tadeusz Nyczek, Krzysztof Karasek, Stanisław Balbus czy Wiktor Woroszyński — ten ostatni zachęca do lektury interesującego tomiku Agaty Tuszyńskiej „Zamieszkałam w ucieczce”. Starsi też zasiadają w różnych gremiach konkursowych, które mają z masy kandydatów na pisarzy wyłowić talenty — czy będzie to konkurs *brulionu*, czy konkurs im. Kazimierza Iłakowiczówny. Co zresztą interesujące — w jury owych konkursów zasiadają na ogół wciąż te same osoby. Wytworzył się krąg autorytetów niejako pasujących młodych na poetów. Oni sami zaś, narzekając na przeszkadzające im „salony” (najczęściej zaś na „warszawkę”), poddają się jednak grzecznie ich wyrokom. W szczególności dostrzegalne jest to w kręgu krakowsko-warszawskiego *brulionu*, mniej w okolicach poznańskiego *Czasu Kultury*, który jednak bez wątplenia jest słabiej widoczny.

brulion to pismo powstałe w drugiej połowie lat osiemdziesiątych dzięki bez wątplenia olbrzymim talentom organizacyjnym Roberta Tekielego. Jest klasycznym pismem debiutanckim. Jest też jednym z nielicznych pism, które określić by należało jako drugą generację prasy wydawanej poza zasięgiem cenzury. Okoliczności startu raczej nie były wygodne: z jednej strony pismo

nie kryło się z nastawieniem antyreżimowym, z drugiej jednak nie bardzo umiało znaleźć sobie miejsce w patosie opozycyjnym. Postawiło więc na prowokację, która jednak z biegiem lat zmieniła się w sztukę dla sztuki. Nie znaczy to jednak, że nie warto na nie zwracać uwagi — przeciwnie: *brulion* bodaj najwyraźniej wpisuje się swymi, często chaotycznymi i raczej intuicyjnymi niż przemyślanymi poszukiwaniami w tok dyskusji, która w roku 1993 stała się dominująca w refleksji nad stanem kultury.

brulion mianowicie od samego początku swego istnienia, a z biegiem lat coraz silniej, sytuuje się w obszarze między tym, co zwykliśmy określać mianem kultury wysokiej, a kulturą masową. Opublikowany na łamach *Gazety Wyborczej* esej Miłosza „Życie na wyspach” postawił w centrum uwagi zagadnienie relacji między tymi dwoma sferami życia literackiego. Przed rokiem 1989 problem ten w polskiej literaturze istniał jedynie teoretycznie — wraz ze zmianami ustrojowymi, z wtargnięciem zachodniej kultury masowej, z towarzyszącą temu rewolucją w mediach, stał się zagadnieniem dotkliwie odczuwalnym. Maria Janion, podejmując dyskusję z Miłoszem, proponuje obłaskawianie kultury masowej. Redaktorzy *brulionu* natomiast starają się używać wehikułu, jakim jest kultura masowa, dla promocji własnej literatury. Jak dalece im się rzecz udaje, to sprawa osobna — dość tutaj zauważyć, że próby takie podejmują.

Przy czym jest w tych próbach sporo z atmosfery towarzyszącej debiutowi amerykańskiej *beat generation* z połowy lat pięćdziesiątych. Szczególnie to widoczne w twórczości najsilniej chyba propagowanego poety tego kręgu — Jacka Podsiadły. To autor kilku już zbiorów wierszy, któremu jakby wciąż brakuje oddechu na nowy „Skowyt”. Owszem, nie brak mu pewnej dynamiki wyobraźni, brak jednak — prócz oddechu — dyscypliny. Z jednej więc strony powstają zabawne, lecz puste fraszki w rodzaju tej oto: „*Norwid i Nerval, takie imiona nadałem tej nocy swoim czarnym butom*” („Noc nr 144”) — gdy dojdzie do rękawiczek, będzie je nazywał Prus i Proust. Z drugiej przegadane poemaciki „o wszystkim”, w których od czasu do czasu próbuje autor czegoś w rodzaju prowokacji, głównie obyczajowej. Rzecz w tym, że sztuka takiej prowokacji jest niezwykle trudna, a mistrzostwa trzeba się uczyć nie w kłozecie, lecz w poezjach Goethego — ale to rzecz na osobny artykuł.

Nakładem kręgu *brulionu* ukazała się dość liczna seria tomików debiutanckich. Towarzyszyły tej publikacji także działania dodatkowe — jak, o czym czytałem w *Gazecie*, a co podobno utrwaliła też telewizja, publiczne palenie własnych książek. Nieco z nich jednak ocalało, niektóre z pożytkiem dla czytelników. Do nich należą tomy Marcina Świetlickiego „Zimne kraje”, Jakuba Ekiera „Cały czas”, wreszcie Marcina Sendeckiego

„Z wysokości”. Wszystkie poświadczają talenty autorów, którzy już wcześniej pojawili się w antologii „Przyszli barbarzyńcy” (1991). Pisał o nich Łukasiewicz, że odrzucają formuły awangardowe (nie wszyscy jednak — Tekieli na przykład nawiązuje do doświadczeń „poezji konkretnej”, podobnie jak Adam Michajłow) i „wołą łagodny klasycyzm, którym chcą się określić w nowym powstającym świecie, w nowej strukturze życia zbiorowego”. Nie jest też przypadkiem, że właśnie wokół tych debiutów skupił się blok wypowiedzi krytycznych w *brulionie* zatytułowany „Nowi Skamandryci?”. Do Skamandrytów im daleko — popularność nie ta i skala talentów chyba jednak mniejsza, a i sytuacja kraju i świata dziś jakby inna. Przede wszystkim jednak różni ich od poetów otwierających życie literackie II RP smutek — nie ma tu radości „Wiosny i wina”. Jest lęk — zarówno ten metafizyczny, jak ów wywoływany konkretnymi przyczynami. Najwymowniejszy ich wyraz przynosi bodaj pointa poematu Świetlickiego „Szmaty”:

*Jedynie co się teraz tutaj dzieje
— to ciemność. JW 2459, Morąg. Noc.
Obudziłem się z krzykiem. Och, przysniło mi się,
że znajduję się we wnętrzu krzyża. Wnętrzu krzyża. Tak.*

Nie brak w tych wierszach także zjadliwości, ironii, dystansu wobec gotowych wzorców i symboli przekazywanych przez kulturę. Nic nie jest pewne, nic nie jest stałe i niezmiennie. Porusza się ta poezja w przestrzeni nieoznakowanej, nieoznaczonej, jak bohater jednego z tekstów Ekiera: „*znów szedłem / przez sen na moją przełęcz / przy skalnej igle skęciłem pod wieczny / śnieg / następnym razem / naniósę znaki*”. Ważne jest to „znów” i ważny jest ten „następny raz” — powtarzalność sytuacji potwierdza ich niezmiennosc: następnym razem będzie tak samo. Przy czym ironia nie łagodzi lęków i bólu. To wiersze w gruncie rzeczy bardzo serio. Niewiele tu zabawy, zaś jeśli już się pojawia — jak w „Wierszu wspólnym (półfinałowym)” Marcina Barana Sendeckiego Świetlickiego w nr 21/22 *brulionu* — brzmi rozpaczliwie:

*Napisalibyśmy wiersze
pełne niezłych idei
lub jakichkolwiek.
Ale, drogi Julianie,
żadna nie stoi za oknem.
Tak, za oknem ni chuja idei.*

I, jak wyznaje Marcin Baran: „*Pod stropami liści duszą się*

imiona wzywane nadaremno / a pojedyncze oddechy zamknięte w grobowcach z krwi i kości / próbują jeszcze być" („Elegia”). Pozostaje — jak w wierszu Marzeny Brody, poetki o dużej kulturze i sporym talencie — „samotność / której schronienie jest przekleństwem. / Dokądkolwiek pójdziemy, ona pójdzie z nami / wskazując wyjście z niewoli: przepaść dla wszystkich / ta sama” („Dom z czerwonej cegły”).

Liryka debiutantów jest — by przywołać opinię Kornhausera o Świetlickim — „poezją dramatyczną”. Zapisuje dramat życia w przestrzeni pozbawionej kierunków, powtarzając jakby doświadczenie zanotowane w „Spadaniu” Różewicza. Nie przypadkiem pojawia się też ono w wierszu Pawła Mossakowskiego: „ziemskie przyciąganie / w stary fotel wciskanie / od okna odsuwanie / w bezpiecznej próżni / spadanie” („Ziemskie przyciąganie”). Podobnie dzieje się w wierszu Jarosława Klejnockiego: „Ściany odbijają / mnie jak piłeczkę pingpongową milcząc już całkiem ciemno / jakbym przestał widzieć rozpoznawać rzeczy już cicho jakbym / stracił uszy. Ten który ilustruje sofa swą dłoń, lecę / spadam” („Ten, który ilustruje”). To zarazem dramat bezradności. I nie zwykle prawdziwie brzmi w tym kontekście wyznanie Artura Szlosarka:

*i boję się, że nie wymagam od siebie,
i mając wiedzę patosu oraz czaru,
milczę, spragniony jedynie ukrycia —*

(***)

Owa „wiedza patosu i czaru” to jedna z barier zatrzymujących poezję na progu milczenia. Stąd prześmiewcze przywoływanie już nie wielkich, ale „niezłych idei”, lub nawet „jakichkolwiek”. Nie ma ich — wszystkie przesycone są jadem patosu, fałszem czaru. To ważne doświadczenie naszej kultury i należy, jak sądzę, zwrócić na nie szczególną uwagę. To doświadczenie zresztą kieruje ku jedynej sprawdzalnej rzeczywistości — ku własnym przeżyciom, ku konkretowi lub, jak w wypadku debiutu Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego, ku świadomej stylizacji, ku wypracowanej sztuczności formy.

Nic dziwnego, że odnajduje ją autor „Peregrynarza” — tomu z interesującej serii promowanej przez Krzysztofa Karaska — w nawiązaniach do baroku. Nie on jeden zresztą — ku barokowi wychylona jest dość liczna grupa debiutantów skupiona wokół warszawskiego kwartalnika „Ogród”. To pismo, może zbyt akademickie czy wręcz „polonistyczne”, demonstracyjnie zajmuje się właśnie barokiem. I gdy *brulion* manifestuje swój antyintelektualizm (choć wiersze skupionych tu poetów są przecież mądrzejsze od gestów i min ich autorów), to *Ogród* wy-

daje się ewokować postawę całkowicie przeciwstawną. Jest solidny, profesjonalny, bardzo kulturowy. Ale nie chroni to przed wyrazem podobnych lęków — jak choćby w wierszu Tomasza Bendiga nawiązującym do twórczości Witkacego:

*przestaniemy istnieć po kolei
brudni, we krwi*

bez wiadomego grobu nawet

*Przecież Jego prorocтва
dopiero się spełnią*

(„Chorując na rozpacz”)

Barok zresztą jako punkt odniesienia jest w polskiej poezji współczesnej żywy cały czas — nie przypadkiem pisał Jan Józef Lipski, przy okazji omawiania twórczości Aleksandra Wata, o neobarokowej dominancie naszej liryki. Do baroku wprost się odwoływali poeci grupy „Kontynentów”, z baroku czerpał klasycyzm Jarosława Marka Rymkiewicza — ta linia jest dość żywa i właściwie nie powinno dziwić jej rozwinięcie w twórczości debiutantów. Tym bardziej, że znakomicie nakłada się na nią tonacja katastroficzna. Co zresztą zabawne, także *Ogród*, podobnie jak *brulion*, lecz chyba mądrzej sięga ku swego rodzaju „prowokacji” obyczajowej — jest nią odczytanie przez Pawła Stępnia ocenzonego fragmentów „Wiryardza poetyckiego” Jakuba Teodora Trembeckiego. To wyczerpanie na pruderię polskiej kultury wydaje się potrzebne i potrzebne. Rzecz w tym jednak, że łatwo tu o przekroczenie granicy kiczu, co niestety w *brulionie* — być może na skutek traktowania sprawy ze śmiertelną powagą — zdarza się zbyt często. Niemniej zważywszy największy literacki skandal roku 1993, jakim było ocenzenie wierszy Allena Ginsberga — i to w dodatku nie za ich treść, lecz za homoseksualne wybory autora — potrzeba takich protestów jest w Polsce najwyraźniej koniecznością.

Wróćmy jednak do baroku. Nawiązanie do niego nie zawsze — jak u Tkaczyszyna-Dyckiego — oznacza bezpośrednie podjęcie jego form literackich. Chodzi tu raczej o wpisywanie się w formy barokowego myślenia — tu zapewne nie bez wpływu pozostaje upowszechnienie przez Barączaka angielskiej poezji metafizycznej, choć w wypadku *Ogródu* widać też wyraźną inspirację twórczością rodzimą. Mit niespełnienia, silne eksponowanie indywidualizmu odczuć, myślenie paradoksami to — w połączeniu z bardzo już współczesnym tonem katastroficznym — bez wątpienia najbardziej charakterystyczne cechy poezji debiutantów lat dziewięćdziesiątych. Jeśli pojawia się tu moralistyka, to raczej nie w formie bezpośrednich przykazań czy formuł, lecz poprzez cytowanie zła świata: ostrożna, unikająca po-

czucia misji, świadoma niepewności „wielkich idei” mających zbawiać świat i człowieka. Ta ostrożność, podszyta odrobiną autoironii, wydaje się być istotną wartością tej poezji. Nakazy jakie się tu pojawiają, to jakby program minimum — jak w wierszach Adama Kalbarczyka:

*mądrość zaczyna się tam gdzie kończy się rozum
a wiara kończy się tam gdzie zaczyna się obojętność
bądź o milimetr wyższy od swej słabości
i o milimetr dalszy od swego umęczenia*

(„Testament Samuela Budeuf”)

Nieco inaczej, lecz podobnie rysuje ten program Andrzej Sosnowski:

*Powinieneś jednakże zacząć od zerwania
pieczęci z ksiąg widm pospolitych wątków,
żeby zasnąć ich gładkość, rozpiąć je na głosy,
naderwać ścięgną sensów. Przynajmniej wszystko,
co zniewolono do trwania. Kochaj,
ale wystawiaj miłość codziennie na próbę
snów mocnych jak piotun i nowej muzyki.*

(„Trzy wiersze z bliskiej północy”)

Oczywiście — zdaję sobie sprawę z tego, że omawiając „zbiorczo” debiuty ostatnich lat, wiele z nich przeoczyłem. Tym bardziej, że docieranie do nowych tomików jest dziś w Polsce zadaniem raczej niewdzięcznym. Zwracałem też uwagę raczej na to, co cytowanych tu autorów i ich koleżanki i kolegów łączy — starałem się dotrzeć do jakiejś wspólnej tonacji. Nie chciałbym przez to powiedzieć, że są tak bardzo do siebie podobni, iż nierozróżnialni — przeciwnie: to może bardziej niż ją poprzedzające, formacja indywidualistów, wśród których najbardziej mą uwagę przyciągają Andrzej Sosnowski, Marcin Świetlicki, Adam Kalbarczyk i ostatnio Robert Pawlak, którego tom „JA, samogłoska” recenzuję w innym miejscu.

Jest oczywistym — choć może nie zawsze — pytanie o to czy i jaki nowy ton do literatury wnoszą debiutanci. Starałem się ów ton odnaleźć, choć zdaję sobie sprawę z faktu, iż taki zabieg wobec dość arbitralnie wyróżnianych grup pokoleniowych jest często niesprawiedliwy wobec poszczególnych twórców. Nadto poszukiwanie tego, co wspólne musi, siłą rzeczy, pomijać to, co indywidualne. Na jedno chciałbym tu zwrócić uwagę — na nieprzystawalność analogii jakie chce budować krytyka dla literatury powstającej po roku 1989, w szczególności literatury debiutantów. Zupełnie bezzasadne wydaje mi się odwoływanie do

doświadczeń roku 1918 — dziś sytuacja jest diametralnie inna: następuje co prawda powolna transformacja ustroju, lecz póki co nie jesteśmy zmuszeni do walki o wszystkie granice, natomiast musimy odbudowywać to, co wkraczający w niepodległość porzobiorową uznawali za rzecz naturalną — warstwę urzędników, banki, funkcje pieniądza. Wreszcie i sytuacja literatury jest inna: po doświadczeniach awangardy z jej naiwną i dziś już wziętą w nawias wiarą w postęp i światło rozumu oraz po doświadczeniach totalitaryzmów oczekiwanie na „nowych Skamandrytów” jest jakimś absurdalnym nieporozumieniem. Dzisiejsi debiutanci ostrożnie, nieufnie i nie bez lęku usiłują rozpoznać rzeczywistość, w jakiej się znaleźli.

I jeszcze jedna uwaga. Obok tej fali debiutantów, którzy reprezentują roczniki 1960-1970 (to, oczywiście, daty przybliżone i warto przy okazji wspomnieć, że wielu spośród nich publikowało swe pierwsze tomiki w normalnych warunkach wcześniej), pojawiło się kilka debiutów późnych, a zarazem ważnych. Tu bez wątpienia na osobną uwagę zasługuje twórczość Józefa Kurylaka (rocznik 1942) zaprezentowana w czterech ostatnio wydanych zbiorach. To poeta dojrzały, ale i w jego twórczości nie brak wizji katastroficznych, jak w wierszu „Bramy”: „Gdzie jest ta Chrześcijańska Europa Novalisa? / Jest / Tylko / Jeden / Ołtarz: / Wiecznej Nocy — / A na nim krwi pełna misa”. Tutaj sygnalizują jedynie pojawienie się tej poezji — wymaga ona już dzisiaj recenzji pogłębionej. Podobnie zasygnalizować jedynie pragnę późny debiut Konrada W. Tatarowskiego (rocznik 1948) — ten od dziesięciu lat pozostający na emigracji pisarz sporo swoich tekstów publikował w prasie i jego zbiorek nie stanowi tak dużego zaskoczenia jak nagle objawiony talent Kurylaka.

Leszek SZARUGA

Polszczyzna Isaaca Singera

Nie sądziłam, że moja rozmowa z Izaakiem Singerem będzie kiedyś mogła pretendować do zaszczytnego miana relacji, ale po przeczytaniu artykułu Agaty Tuszyńskiej (*Kultura*, nr 1-2 1994) wydaje mi się, że mam coś do powiedzenia o polszczyźnie tego laureata Nagrody Nobla.

Kiedy wykladałam na Indiana University a więc między 1965 i 1968 rokiem przybył tam raz Singer z odczytem. Mój ko-

lega profesor Maurice Friedberg namówił mnie, żebym poszła posłuchać. Po odczycie, na którym frekwencja była średnia, podeszłam do Singera i przedstawiłam mu się. Oczywiście po polsku. Nie przyszło mi nawet na myśl, że mogłabym rozmawiać z Singerem jakimś innym językiem. Zresztą nigdy w życiu nie natknęłam się na polskiego Żyda, który nie mówił po polsku. Że tacy Żydzi ponoć istnieli dowiaduję się dopiero ostatnio z uczonych rozpraw. Dowiaduję się nawet ze zdumieniem, że choć Żydzi mieszkali w Polsce przez wiele stuleci, ci naukowcy odkryli teraz, że większość z nich nie rozumiała nawet po polsku. A więc w mojej naiwności i niewiedzy rozmawiałam z Singerem jakiś kwadrans. Singer okazał zainteresowanie moimi losami i sam się zaprosił na następny dzień do Ballantine Hall, gdzie znajdował się Wydział Sławistyki. Nie wzięłam tej obietnicy poważnie, wcale nie sądziłam że przyjdzie.

Ale nazajutrz ku mojemu zdziwieniu Singer zjawił się, jak było niby umówione, o dziewiątej rano. Mieliśmy pójść na spacer, ale padał deszcz. Siedział chyba z godzinę w moim gabinecie. Pytał się jak się nazywam z domu i powiedział, że kiedyś poznał mojego ojca. O różnych moich przodkach wiedział oczywiście o wiele więcej ode mnie. Z początku był mało mówny, ale potem się rozgadał. Mówił o tym, jak zróżnicowane było społeczeństwo żydowskie w Polsce i przypominam sobie, że kilka razy użył słowa „stratyfikacja”. Powiedział także, że Żydzi często przeskakiwali jedno czy nawet dwa pokolenia z chwilą kiedy zdali polską maturę. Na koniec dał mi swój adres i numer telefonu. Pamiętam, że patrzyłam z okna mojego gabinetu na piątym piętrze Ballantine Hall, jak szedł drobnymi kroczkami przez *campus*. I nigdy go już potem nie spotkałam. Pamiętam też, że myślałam, jakie to było dziwne, iż tą samą niemal rozmową zabawił mnie przedtem w Berkeley poeta polski Aleksander Wat. Tak samo opowiadał o rabinach i pochwalił się, że jest prawnikiem rabina z Kozienczy.

Singer mówił całkiem „zwyczajnie” po polsku, jak każdy inny Polak-inteligent. Jeśli kiedyś w dzieciństwie miał trudności z wymową, a potem kobiety poprawiały mu gramatykę, to chyba on sam już tylko o tym wiedział. Jeśli miał pretensję do Polski i Polaków, to nie wyglądał mi absolutnie na człowieka, który by się chciał mścić na polskim języku. Ani razu nie przeszedł na angielski. Nie wtrącał nawet angielskich słów. Raz użył jakiegoś określenia z języka jidysz, ale natychmiast zapytał, czy wiem co to znaczy. I ta polska rozmowa sprawiła mu pewnie jakąś przyjemność, bo powiedziano mi później z wymówką, że przeze mnie przyjechał w ostatniej chwili na lotnisko w Indianapolis. Jeśli żona Singera twierdzi, że rozmowa po polsku w pociągu nie sprawiła mu przyjemności, to na pewno miał jakieś

inne powody do niezadowolenia. Albo przemawia przez nią głębokie uprzedzenie Żydów amerykańskich do kultury polskiej. Nie chce prawdopodobnie nic o tym wiedzieć, że Żydzi asymilowali się do tej kultury, a nawet się do niej garnęli.

Na marginesie tej skromnej relacji chcę zaprotestować przeciwko użyciu przez Agatę Tuszyńską słowa „goj” w zwykłym narracyjnym kontekście, tak jakby było to zwyczajne słowo. „Goj” to epitet używany wprawdzie niestety często, wyrażający najwyższą pogardę społeczności żydowskiej dla człowieka z zewnątrz. Żeby się posłużyć modnym dziś językiem, jest to słowo ze słownictwa etnocentrycznego na określenie „other”, czyli innego, obcego, niewtajemniczonego prostaka. W moim poczuciu jest to słowo specjalnie obraźliwe w zastosowaniu do romansów, przygód miłosnych albo małżeństwa. Agata Tuszyńska pisze o udanych podbojach Singera „także wśród gojek”. Kiedy mieszkałam w Monachium, mieście przez które po wojnie przewinęli się prawie wszyscy Żydzi ocalali z zagłady i dużo Żydów, którzy wrócili z Rosji, często słyszałam uwagę, że ktoś „ożenił się z gojką”. Zdanie to wyrażało pogardę i dezaprobatę dla takiego związku. Ale ludzie kulturalni, nawet najbardziej antypolscy nigdy się tak nie wyrażali, bo słowo „gojka” uważali za ordynarne. Jeszcze w tej chwili drzę na samą myśl o konsekwencjach, jakie musiałabym ponosić, gdybym użyła słowa „goj”, zasłyszanego na „żydowskiej ulicy” Möhlstrasse w obecności moich rodziców lub ich znajomych. Prawda, że jeśli się kogoś dobrze zna można ewentualnie zaryzykować żartobliwe powiedzenie (ja nie!), że coś jest gojskim podejściem do jakiejś sprawy albo coś w tym rodzaju. Nie wiadomo jednak czy się tym nie dotyka rozmówcy. A poza tym słowo „gojka” w odróżnieniu od słowa „goj” wyraża jeszcze dodatkową pogardę mężczyzn dla kobiet. Powiedziona w rodzaju „ożenił się z młodą siksą a teraz ma starą gojkę” znane są chyba wszystkim polskim Żydom. Albo ten niewybredny dowcip o Żydzie, który nie mógł sobie przypomnieć, gdzie wydał dużą sumę pieniędzy. Dopiero podczas modlitwy, w miejscu gdzie było nakazane, aby nie mieć nic wspólnego z „obcymi kobietami” zawołał — Aha! Itd. Czyli nie wstydzmy się powiedzieć, że ta „gojka”, eufemistycznie nazwana „obcą kobietą” występuje w męskich anegdotach jako obiekt seksualny.

Lawrence, Kansas, 31 stycznia 1994

Jadwiga MAURER

Szekspirowski teatr w Gdańsku

W grudniu ubiegłego roku w St. James's Palace miała miejsce oficjalna inauguracja Towarzystwa Brytyjskich Przyjaciół Fundacji Teatru Gdańskiego. Fundacja, pod patronatem księcia Karola, jest owocem wizji i determinacji jednego człowieka, prof. Jerzego Limona, anglisty i szekspirologa z Uniwersytetu Gdańskiego. Jego prace naukowe, których owocem była książka: *Gentlemen of a Company: English Players in Central and Eastern Europe 1590-1660* (Cambridge University Press, 1985), udokumentowały niezwykle żywe powiązania teatralne pomiędzy późnoelżbietańską Anglią a kontynentalną Europą, a w szczególności Gdańskiem, ważnym i bogatym miastem hanzeatyckim, którego szczególne znaczenie jako głównego portu przeładunkowego dla polskiego handlu zbożem uczyniło go w pierwszej połowie XVII wieku jednym z zamożniejszych miast Europy. Naturalną konsekwencją statusu wielkiego centrum handlowego był fakt, że było to miasto wielokulturowe, w którym znalazło się miejsce także dla największej w ówczesnej Europie kolonii brytyjskich emigrantów. To oni w większości stanowili publiczność sztuk szekspirowskich wystawianych w języku angielskim — jeszcze za życia Szekspira, w budynku drewnianego teatru, zbudowanego około roku 1610, a w swoim kształcie dokładnie wzorowanego na elżbietańskim teatrze Fortune w Londynie. Żaden z tych teatrów nie przetrwał do naszych czasów. Jednak w wypadku teatru gdańskiego, który był pierwszym publicznym teatrem w Polsce, zachowała się rycina z połowy XVII wieku dokumentująca wygląd tego teatru. Budynek ów znany był współczesnym gdańszczanom pod nazwą Szkoły Fechtunku, takie bowiem było jego zasadnicze przeznaczenie, i tylko na okres wielkich targów pod patronatem św. Dominika każdego sierpnia dublował on jako teatr.

Prof. Limon, powodowany ambicją przywrócenia rodzinnemu miastu dawnej świetności także na polu kultury, doprowadził do ukonstytuowania na początku 1991 r. fundacji mającej za cel odbudowę teatru w jego oryginalnym kształcie. Teatr ten miałby się stać centrum studiów szekspirologicznych o zasięgu międzynarodowym. Projekt architektoniczny, autorstwa polskiego architekta, dr. Marcina Kozikowskiego, był do wglądu w Instytucie Kultury Polskiej w Londynie do końca grudnia. Otwarcie teatru miałoby uświetnić uroczystości tysiąclecia miasta Gdańska w 1997 r.

Funkcję patrona fundacji sprawuje książę Karol, który w swojej mowie inauguracyjnej powtórzył to, co powiedział wcześniej w czasie wizyty w Gdańsku w maju ub.r.: „Profesor Limon tak przekonywająco przedstawił mi ten projekt teatralny w Gdańsku, że jako nieuleczalny romantyk natychmiast zostałem przekonany do tej sprawy i w konsekwencji zgodziłem się zostać patronem tego przedsięwzięcia, jako że jest to zamierzenie wspaniałe, pełne wyobraźni i inspiracji... Nie ma wątpliwości, że rekonstrukcja teatru będzie ważnym czynnikiem w procesie scalenia kulturalnego kontynentu europejskiego”.

Książę Karol, którego poglądy na architekturę są publicznie znane, będzie też miał ostatnie słowo w wyborze ostatecznego projektu architektonicznego.

Uroczystości inauguracji Towarzystwa Brytyjskich Przyjaciół Fundacji Teatru Gdańskiego patronowało wiele osób ze świata kultury polskiej i brytyjskiej, a także świata *biznesu*, którego poparcie jest niezbędne dla ostatecznego sukcesu przedsięwzięcia.

Spośród wielu aktorów obecnych tego wieczoru w reprezentacyjnych salach pałacu szczególne podziękowania należą się Emmie Thompson i Alanowi Rickmanowi za odegranie przed zebraną tam publicznością *The Actors are come Hither*, w którym autentyczne teksty petycji wędrownych trup aktorskich do władz miejskich na pozwolenie odgrywania sztuk na terenie miasta przeplatane były scenami ze sztuk szekspirowskich.

Teresa HALIKOWSKA-SMITH

WYRÓŻNIENIA POLCUL FOUNDATION

Na kolejnym posiedzeniu w dniu 5.1.1994 Dyrekcja Fundacji przyznała dalsze 23 wyróżnienia osobom zaangażowanym w ruch kultury i budowy społeczeństwa obywatelskiego w Polsce oraz współpracy i przyjaźni z jej sąsiadami. Wyróżnienia otrzymali:

- Kazimierz Fugiel — za pracę społeczną na terenie Nowej Huty.
- Henryk Gapski — za pracę w Instytucie Europy Środkowo-Wschodniej.
- Jarosław Gowin — za pisanstwo na rzecz rozwoju demokratycznej myśli politycznej w Polsce.
- Jarosław Isajewicz — za wkład do rozwoju przyjaznych stosunków polsko-ukraińskich.
- Zdzisław Jaroszewski — za pracę społeczną w dziedzinie opieki psychiatrycznej.

Waldemar Józwik — za rozwój twórczości poetów wiejskich.
Damian Kalbarczyk — za pracę nad rozwojem debat publicznych i kultury politycznej.

Michał Kirszenko — za działalność na rzecz zbliżenia polsko-ukraińskiego.

Wiktor Kulerski — za pracę społeczną w Fundacji „Edukacja dla Demokracji”.

Ewa Lesik-Matunin — za pracę w Instytucie Armii Krajowej oraz na rzecz przyjaźni polsko-żydowskiej.

Alicja Majewska-Gałęziak — za kształcenie pracowników pomocy społecznej.

Adam Maldis — za działalność na rzecz przyjaźni polsko-białoruskiej.

Warcisław Martynowski — za działalność społeczną na Ziemi Kłodzkiej oraz rozwój przyjaźni polsko-czesko-słowackiej.

Barbara Münnich — za pracę społeczną w Archiwum Wschodnim.

Władysław Obarzanek — za pracę w Towarzystwie im. Marii Konopnickiej w Przedborzu.

Władysław Oszelda — za pracę społeczną na Śląsku Cieszyńskim.

Wojciech Piotrowicz — za pracę na rzecz przyjaźni polskoliteńskiej oraz rozwoju kultury na Litwie.

Aleksander Płotnicki — za pracę na rzecz dzieci upośledzonych umysłowo w Domu „Przytulisko”.

Joanna Płotnicka — za pracę na rzecz dzieci upośledzonych umysłowo w Domu „Przytulisko”.

Jan Skarbek — za organizowanie współpracy z Litwinami, Białorusinami i Ukraińcami.

Grzegorz Sołtysiak — za pracę społeczną w Archiwum Wschodnim.

Krzysztof Stanowski — za pracę społeczną w Fundacji „Edukacja dla Demokracji”.

Anna Szreter — za pracę społeczną w Fundacji „Edukacja dla Demokracji”.

Z wymienionych wyróżnień: sześć jest im. Krystyny i Bolesława SINGLER oraz cztery im. Eudoksji RAKOWSKIEJ.

6 stycznia

POLCUL FOUNDATION
P.O.Box 193, Rose Bay, 2029, Australia

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM

potwierdza otrzymanie kolejnych darów na rzecz bibliotek, przekazanych w grudniu 1993 i styczniu 1994. Dziękujemy!

- AGENCJI AUTORSKIEJ za 1.074 egz. książek,
- AGENCJI SUKURS za 800 egz. pism,
- FIRMIE MUZA za 660 egz. książek,
- INSTYTUTOWI NA RZECZ DEMOKRACJI W EUROPIE WSCHODNIEJ IDEE za 2.780 egz. książek,
- OFICYNIE WYDAWNICZEJ MOST za 9.800 egz. książek,
- TEATROWI WIELKIEMU W ŁODZI za 2.113 egz. książek,
- WYDAWNICTWU INTERART za 37.503 egz. książek,
- WYDAWNICTWU MARABUT za 1000 egz. książek,
- WYDAWNICTWU WIĘŹ za 1.200 egz. książek,
- NIEZALEŻNEJ OFICYNIE WYDAWNICZEJ NOWA za 884 egz. książek,
- Pani Wandzie Chylickiej za 775 egz. książek,
- Pani Ewie Wojnar za 300 egz. książek,
- Panu Romanowi Herniczkiemu za 500 egz. książek,
- Panu Januszowi Ostrowskiemu za 22 egz. książek,
- Panu Markowi Zakrzewskiemu za 22 egz. książek.

Otrzymane książki i pisma przekazujemy nieodpłatnie bibliotekom w kraju i za granicą.

Nasz adres:

Fundacja Pomocy Bibliotekom Polskim,
ul. Hoża 29/31, 00-524 Warszawa,
Tel./Fax 628-42-57, Tel. 21-70-75.

Ci, co odeszli

Petar Vujičić

Beograd, 30. 12. 1993

Szanowny Panie,

dziękuję za list, który otrzymałam wczoraj. Szybko na nasze warunki. Bardzo boleśnie odczułam śmierć Petra*. Należał do moich najstarszych przyjaciół. Był moim mistrzem. To się nie zdarza często w życiu. Przy tym była to renesansowa postać. Już pisałam o nim do gazet. Przeczyta Pan mój tekst w *Književnej Reči*. Wyjdzie jeszcze jeden w *Književnych Novinach*. Posyłam też Panu swój pierwszy tekst z *Polityki* belgradzkiej.

Zajmuję się jego biblioteką i bibliografią. Ostatni wydawca Petra chce ją wydać. Jak wyjdzie prześlę ją Panu. Warto o tym napisać w *Kulturze*. Zmarł największy tłumacz literatury polskiej. Przełożył ponad 100 książek i tysiące tekstów w czasopismach, w radiu. Zajmowanie się literaturą polską było namiętnością jego życia. Wszyscy się tutaj zgadzamy, że odegrał ogromną rolę w historii naszej powojennej literatury. Szczególnie wśród poetów. I bardzo w teatrze. Na podstawie przekładów Petra grano polskie sztuki w całej Jugosławii. O tym napisała dysertację doktorską Pani Jadwiga Skórnik, która od lat żyje w Nowym Sadzie i w Belgradzie. Dysertacja wyjdzie po serbsku, w bieżącym roku. Oprócz tego Petar był wielkim pedagogiem. Umiał rozmawiać z ludźmi o literaturze i sztuce. Mnóstwo młodych pisarzy dzięki niemu zostało pisarzami. Czytał ich utwory. Rozma-

* Vujičića, który zmarł 4.XII.1993 r.

wiał z nimi. Pomagał wydawać książki. Petar był szczególnie instytucją nie tylko w Belgradzie i w Serbii, a w całej Jugosławii. Zajmował się także malarzami i ludźmi teatru. Nie był krytykiem oficjalnym, ale ja go uważam za jednego z największych krytyków powojennych. Był człowiekiem wcześniej uformowanym, cichym autorytetem. Można mu było wierzyć. I ludzie wierzyli jego sądom.

Parę dni po jego śmierci Wisława Szymborska, którą Petar tłumaczył i z którą się przez wiele lat przyjaźnił, powiedziała: proszę napisać, że umarł ostatni humanista w Europie! Absolutnie zgadzam się z tym. Pan pyta kogo Petar tłumaczył z polskich pisarzy? Przede wszystkim współczesnych: Andrzejewski, Iwaszkiewicz, Różewicz, Herbert, Filipowicz, Mrozek, Gombrowicz, Lem, Miłosz, Zagajewski, Barańczak, Kornhauser, Lipska, Szymborska, Karasek, Maj, Wat, Woroszyński, Hłasko, Marek Nowakowski, Iredyński; scenariusze Wajdy, Bugajskiego. Ze starszych: Orzeszkowa, Sienkiewicz, Prus i mnóstwo innych. Prześlę Panu egzemplarz jego bibliografii. Oczywiście i filozofów, estetyków, eseistów, Tatarkiewiczza, Kołakowskiego, Kotta, Ingardena itd. Topolskiego o filozofii historii. W sumie ponad 130 książek. I co najmniej 20 książek tego co było nadawane w radiu (Beograd, Zagrzeb, Sarajewo). Literatura, teoria literatury, estetyka, filozofia. Jego norma dzienna wynosiła 10 stron tekstu. Mniej więcej 12-14 godzin pracy. Do tego czytanie wszystkich polskich czasopism i nowych książek. Przygotowanie do pracy. Bardzo systematyczne. Ogromna wiedza ogólna. Ze wszystkich dziedzin humanistyki. A przy tym był to wyjątkowo mądry człowiek. Ascetyczny. Żył prawie w jaskini. W małej kawalerce, 25 m². Mieszkanie otrzymał mając już prawie 50 lat. Nigdy nie skarżył się na to. Oprócz książek nie posiadał niczego. Pod koniec było mu dość ciężko, bo miał bardzo małą emeryturę. Nie podróżował. Nie wyjeżdżał na urlop. Bo, szkoda czasu. Musiał pracować. Do końca pracował. Umarł na raka. Ostatni miesiąc bardzo cierpiał. W ostatnich dniach dopiero mówił, że czuje okropne bóle. Był stoikiem. Należał do szczególnej formacji ludzi. Zawsze oddzielał życie prywatne od publicznego. W sumie był człowiekiem kameralnym. Nigdy jawnie nie mówił o tym co robi. To pozostawiał innym. Pod tym względem był wyjątkowo delikatny.

Lubił pisać listy. Jego stosunki z pisarzami, którymi się interesował i których tłumaczył, były bardzo serdeczne i trwałe. Jego korespondencja, która znajduje się w Matyca Serbskiej w Nowym Sadzie, gdzie Petar po skończeniu studiów

pracował, należy do najciekawszych. Postaram się coś z tego wydać. I, oczywiście, najpierw opracować. W niej jest cała historia literatury polskiej po wojnie.

Jeżeli chodzi o literaturę serbską, muszę powiedzieć że o tym trudno pisać. W ogólnym chaosie nie orientuję się dobrze. Wskutek wojny, wskutek sankcji wszystko stanęło. I bez tego było to bardzo skomplikowane. Drugi raz w wieku XX powtarza się wojna domowa. Niszczy wszystko przed sobą. Podczas Drugiej Wojny światowej było ludobójstwo. Dzisiaj mamy ludobójstwo plus samobójstwo. Całkiem nowe zjawisko. Triumf czystej destrukcji. Wszystkie narody, które walczą, są bardzo do siebie podobne. Mówią jednym językiem. Tylko wiarę mają inną. Mentalność ta sama. Są — jak mówił na początku wieku słynny antropolog i geograf Jovan Cvijić — gwałtowni. Stąd dominacja śmierci nad życiem. Wszystko pochodzi z kompleksu niższości. Wszystkie te narody długo, za długo były pod władzą innych narodów, mocarstw. Nikt nie zajmował się uwolnieniem ich z poczucia niewoli. Niestety są to narody niewolnicze. Długo cierpią i wybuchając niszczą wszystko przed sobą. Uważam, że Jugosławia była wyjściem dla wszystkich i po zmianach można byłoby żyć w niej całkiem normalnie. Jest jasne, że nie możemy żyć jedni bez drugich, tak samo jak po krwawej drugiej wojnie światowej. Z tym że wtedy straty ludzkie były większe, a dzisiaj straty materialne. Brutalność pozostała ta sama. Tyle że obecnie więcej jest aktorów w tym krwawym, okrutnym dramacie.

Pan dobrze ocenił profil *Književnej Reči*. Pismo to redagują bardzo młodzi ludzie. Nie należą ani do opozycji ani do establishmentu. Nikomu nie wierzą i nie dziwią się temu. Ponad 300 tysięcy tych najzdolniejszych opuściło kraj, uciekając przed mobilizacją, nienawiścią i niemożliwością walczenia z braćmi, przyjaciółmi, z którymi mogło się nadal żyć normalnie. Pluralizm w Jugosławii skończył się potwornie. Skończył w najgorszych możliwych nacjonalizmach. Stąd u tych młodych ludzi nadnacjonalizm, kosmopolityzm, całkiem innego typu niż za czasów komunistycznych. Widzieli do czego to prowadzi. Nie chcą brać w tym udziału. Ich literatura, filmy, przedstawienia teatralne są w duchu postmodernistycznym. Bardzo dojrzałe. Świetnie robione. Z tym że nie wiemy gdzie i kiedy się to dzieje. To zbyt ponadczasowe i poza realną przestrzeń. Na temat wojny w prozie nikt nie pisał. Był konkurs na opowiadania na temat ostatniej wojny. Miała to być antologia tekstów-dokumentów. Jeszcze nie wyszła. Boję

się, że jeszcze długo nie wyjdzie. Wyszedł tylko cykl wierszy o Sarajewie poety Stevana Tonticia, który do niedawna żył w Sarajewie i teraz opuścił je. Już są przetłumaczone na niemiecki. Nie wiem czy ktoś tłumaczy je na polski. Jest to poezja dokumentarna i dobra poezja. Warto byłoby to przetłumaczyć.

Inni literaci należą do paru organizacji antymilitarnych. Obywatelski Związek Serbii, *Beogradski krug nezavisnih intelektualaca* (Belgradzki krąg intelektualistów niezależnych), parę komitetów przeciwko działaniom wojennym. Ich wpływ jest nieznaczny. Zapraszają intelektualistów z całego świata. Z Polski był Michnik. Przyjedzie znowu jako gość serbskiego PEN-Clubu, oraz na promocję wydania swoich szkiców, które ja tłumaczyłam. Było dużo Francuzów. Ale to wszystko słabo zmienia sytuację. O tym świadczą ostatnie wybory. Sankcje niestety tylko umacniają Miloševicia. Z tego wszystkiego, dzięki telewizji, on wychodzi jako bohater. Opozycja niejednolita. Mnóstwo liderów-intelektualistów, z których większość pochodzi z Partii Demokratycznej Mićunovicia. Wszystko to są choroby dziecięce. Najważniejsze czy ludność Serbii przeżyje tę zimę. Starzy już umierają z głodu. Nie ma ogrzewania w szpitalach. W szkołach. Mnóstwo chorób, gruźlica. Chorują najczęściej dzieci. Absolutny brak lekarstw. Brak komunikacji. Ja co drugi dzień idę do pracy 8 km piechotą. Wieczorem w ogóle nie wychodzimy. Wszystko to potrwa. Europa pomaga Miloševiciowi. I jemu podobnym w Bośni. I Serbom. I Chorwatom. I Muzułmanom. A zwykli ludzie umierają, cierpią i nie widać wszystkiemu końca. Od początku było jasne, że to wojna domowa, należało nie dopuszczać żeby każde miasto, każdą wieś i dom burzono. I żeby miliony niewinnych ludzi pozostały bez domów. I tracić tyle czasu na rozmowy z najzwyklejszymi mordercami. Nie ma z nimi rozmów. Oni nic nie mogą obiecać i spełnić. To ludzie, którzy osobiście zyskują na wojnie. Jutro, kiedy pieniądze nie będzie, wszyscy puciekają z zyskiem w bankach zagranicznych. A my, jeżeli w międzyczasie nie poumieramy, pozostaniemy w najgorszej biedzie.

Na razie tyle. Niestety w rzeczywistości wszystko to razy ciemniejsze, od tego o czym piszę. I dla osób jak ja nie ma ucieczki. Jeżeli się żyło tak jak żył Petar, ja i podobni, ucieczki nie ma. Może uciekać młody człowiek. Człowiek który może zacząć życie. Wszystko jedno gdzie się wegetuje. Nawet myślę, że lepiej tutaj. Dobrze znam historię emigracji. Nie mam żadnych złudzeń.

Na tym kończę. Wszystkie materiały związane z Petrem Panu przyślę. Szczególnie bibliografię. Warto żeby się znalazła w Waszym archiwum. Petar tak był związany z Wami.

Łączę wyrazy szacunku i życzę wszystkiego najlepszego w Nowym Roku

Biserka RAJČIĆ

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 474 — ZYGMUNT HERTZ

LISTY DO CZESŁAWA MIŁOSZA 1952-1979

WYBÓR I OPRACOWANIE RENATA GORCZYŃSKA

Indeks nazwisk

Z listu Czesława Miłosza: ...Wiesz co byłoby najśmieszniejsze? — gdybym przeszedł do historii literatury jako adresat najwspanialszego epistologa Zygmunta Hertza...

Z listu Marii Danilewicz Zielińskiej: ...Jest to Literatura z dużej litery, przy tym wiarygodne calendarium i to nie tylko Zygmunta Hertza, ale i wspomnianych przez niego osób. „LISTY” mają wagę dokumentu i przypuszczam, że we wszystkich późniejszych opracowaniach historii Instytutu Literackiego i *Kultury* będą eksploatowane przez tysiące (nie przesadzam) młodych adeptów polonistyki i historii czasopiśmiennictwa...

Str. 520

Cena F. 160,00

Książki

„Na szalach losu”

(ROZMOWA Z JERZYM PIETRKIEWICZEM
O JEGO AUTOBIOGRAFII)

Angielskie autobiografie stały się dziś wehikułami zemsty. Politycy, którzy już czynnie przestali nimi być, załatwiają w nich porachunki z przeciwnikami; inni, szczególnie pisarze, wyciągają z pamięci — lub z fantazji — pretensje do najbliższych, niezależnie od tego czy jeszcze żyją, czy dawno ich już nie ma i przekazują czytelnikom, nie szczędząc sobie i im najintymniejszych szczegółów. Z niedawnych autobiografii (a także biografii i wydanych listów) autorów o znanych nazwiskach wyłania się kolekcja tyrańskich matek, ojców zbożników, niegodziwych żon/mężów, wiarołomnych przyjaciół.

Do rzadkich wyjątków należą wspomnienia bez jadu i bez psychopatycznych urazów, co wcale nie znaczy, by miały upiększać czy fałszować to co było. Umiał to zrobić (w swej autobiografii „Will this do?”) np. Auberon Waugh, pisarz, syn Evelyny, a siostrzeniec „polskiego” Auberona Herberta, ułana jazłowieckiego w czasie wojny, przyjaciela *Kultury*, *Wiadomości* i licznych Polaków. Może to *polonicum* sprawiło, że pomyślałam o tej książce, czytając autobiografię Pietrkiewicza „In the Scales of Fate”^{*}.

Pokazane w nich tak różne światy jak arystokratyczno-literackie środowisko angielskie i dzieciństwo na polskiej wsi, z dodatkiem późniejszych losów w obcym kraju, łączy podobna

^{*} Jerzy Pietrkiewicz. *In the Scales of Fate. An Autobiography*. Marion Boyars Publishers Ltd. London, New York. 1993.

— choć u Waugha gorzkawa — zgoda na przeszłość i przede wszystkim otwartość, z jaką mówią o niej obaj autorzy, jednocześnie czujni, by nie przekroczyć granic intymności. Idealnym narzędziem do tego manewru jest giętki język angielski, który umie nie dopowiedzieć, zboczyć, zasłonić.

Rozmawiamy z Pietrkiewiczem o jego nowej książce w londyńskim pubie. Dzień jest grudniowy, zimny, wypełniony mgłą, która podobnie jak syjący śnieg daje złudzenie ciszy i odosobnienia. W pełnym pubie jesteśmy sami.

STAFANIA KOSSOWSKA: — *W swej autobiografii najczęściej mówisz o sobie jako o poecie. Dla studentów, dla polonistów w Anglii i Polsce jesteś profesorem, uczonym języko- i literaturoznawcą; dla czytelników angielskich — autorem wyrafinowanych powieści. W której z tych postaci czujesz się najlepiej? Kim najbardziej jesteś?*

JERZY PIETRKIEWICZ: — Chyba poetą. Dlatego, że magia szczegółów z codziennego życia, które chciałem przekazać, opisując moje dzieciństwo wiejskie, jego humor i ból — to są poetyckie przekazy pamięci. Cała książka jest jakby rozprawą z własną pamięcią i z własną tożsamością. A to że przedwojenne *Wiadomości Literackie* wyróżniły mnie w owym wielkim konkursie poetyckim, kiedy miałem niecałe 18 lat, dało mi niejako paszport literacki. W rok później nowy tygodnik, *Prosto z mostu*, zaczął drukować, przez kilka numerów, mój poemat o stronach rodzinnych; było to potwierdzeniem mitu dzieciństwa. Jakże ważne dla mnie wtedy.

S.K.: — Tytuł „*In the Scales of Fate*” — „*Na szalach losu*” — robi aluzję do Twojego znaku zodiaku — *Libry*. Symbol ten może mniej oznacza równowagę, bardziej jej przechylenie się na jedną czy drugą stronę, co zgadzałoby się z różnymi okresami Twojego życia. Czy rolę drugiego tytułowego słowa — *Los* — miało być, że te odmiany były jego wyrokiem a nie własną decyzją?

J.P.: — O, tak, im dłużej w lata, człowiek wie, bo odczuł na własnej skórze, że *Los* jest ciągłym partnerem w naszym życiu. Natomiast Anioł Stróż — temat jednej z moich angielskich powieści — ma dosyć dwuznaczną rolę w naszych rzekomo własnych decyzjach. A *Waga* zodiakowa wciąż się huśta.

S.K.: — *W książce zamieszczona jest przez wydawcę długa*

lista — ponad 20 pozycji — Twych publikacji. Osiem angielskich powieści, eseje, poematy, przekłady. Znam je niemal wszystkie a także znamy się od wielu lat. I ta autobiografia była dla mnie ogromnym zaskoczeniem. Odludek, zamknięty jak ostryga, trochę mistyk, śledzący w konstelacjach zaświatowe znaki, w tej opowieści o swoim życiu ukazałeś się kimś zupełnie innym. I jako człowiek i jako pisarz. Zamiast tajemniczości — otwartość, zamiast chłodnej obserwacji ze skłonnością do filozoficznych aluzji — precyzyjne zobaczenie codziennych szczegółów, jakby powrót do „autentyzmu” z Twych poetyckich początków; i całkiem nieznana dotąd serdeczność, niemal czułość. Stosunek do matki, do niezapomnianego dla mnie księdza Apolinarego, mentora z czasów szkolnych i przyjaciela aż do Twych londyńskich lat. Co wpłynęło na tę zmianę?

J.P.: — Wiesz, nie powinno się za wcześnie pisać autobiografii, ani — Boże broń — robić z pamięci kartoteki, do której autor wpycha tylko dokumenty uszeregowane według lat. Nasze życie jest w nas całe w każdej fazie życia — dlaczego? — dlatego, że dziecko ciągle w nas oddycha. Ono daje klucz do wspomnień, uwalnia je od dawnych lęków, no i od bólu, a to nie tak łatwe, zgodzisz się?

S.K.: — *Książka jest nie tylko Twoją autobiografią. Jest też odkryciem mało znanego świata — Ziemi Dobrzyńskiej i jej ludzi. Zwłaszcza ludzi wsi. Spędziłeś tam tylko wczesną młodość i z Polski wyjechałeś gdy wybuchła wojna, mając niewiele ponad 20 lat. Jak to się stało, że przez całe życie, spędzone głównie w obcym kraju i w obcej kulturze, do dziś zachowałeś tak bliskie, tak trwałe więzy z tą ziemią i tak gorącą o niej pamięć?*

J.P.: — Uzupełniasz — i słusznie — poprzednią odpowiedź. Nie chodzi o tę wielką ojczyznę, gdyż poznajemy ją wtórnie i powoli: poprzez naukę, obyczaje, przez poznawane obiekty kultury. To co naprawdę czujemy i najlepiej znamy jest naszą małą ojczyzną o nie za dużym kręgu, a więc sprawdzalną. Pewien światły pisarz z tzw. „nurtu chłopskiego” w Polsce użył nazwy *matecznik* — jakże to mądre. Mit mojej rodzinnej ziemi jest dlatego silny, że łączy się z matką, jest moim matecznikiem. Zresztą tam, we wsiach koło Lipna i Kikoła, siedzą moi najbliżsi krewni — korzenie rodzinne nadal trwają, i to głęboko w ziemi, w pięknym dobrzyńskim mateczniku. Właściwy wyraz z kilku względów, bo także łączy człowieka z naturą, ze zwierzętami i z roślinami.

S.K.: — *Ale i Ziemia Dobrzyńska o Tobie pamięta. Niedawno trafiło do mnie jakieś wydawnictwo jej poświęcone — nie wiem czy je widziałeś? Znalazłam tam Ciebie na liście wybitnych ludzi z niej pochodzących w towarzystwie Poli Negri i Lecha Wałęsy.*

Przyznam się, że zawsze Cię podejrzewałam — teraz widzę, że może niesłusznie — że Twoje stałe przypomnianie o wiejskim pochodzeniu jest odwróconym snobizmem. Trochę „na złość”. Bo w tak chłopskim narodzie jak Polska, chłopskie pochodzenie było czymś wstydlivym. Stąd te różne eufemizmy — rolnik, wieśniak, by nie urazić słowem chłop. Nie była to dyskryminacja klasowa, bo przyznawano się np. do pochodzenia robotniczego, raczej dziedzictwo dawnego podziatu: dwór i wieś, pan i chłop, tej strasznej szlacheckich, która przeszczepiała całemu narodowi swe najgorsze cechy — pychę, płytkość, fałszywe poczucie honoru. Według stworzonego w tej atmosferze obrazu, chłop to była bieda z nędzą, kurna chata, ciemnota, okraszone folklorem, wydumanym przez inteligentów, owe „chaty rozśpiewane i roztańczone Mazowsza”. A rzeczywistość była inna, wystarczyło znać takie dzielnice jak zachodnia Małopolska, gdzie dzieci z każdej niemal chaty szły do gimnazjum, jak Poznańskie, jak Twoja Ziemia Dobrzyńska, z książkami — w murowanym domu — jak u Ciebie w Fabiance. Wciąż za mało wiemy o kulturze chłopskiej.

J.P.: — Tak, właściwie określasz to wstydlive wyobrażenie o wsi, które większość Polaków ma do dziś dnia. Na pewno jest w tym dużo ukrytej winy — żeby przywrócić sens historyczny naszej tradycji, trzeba podkreślać, że chłop nie był odpowiedzialny za rozbiory, bo wina zawsze wykrzywia zrozumienie spraw.

Były dwie, obok siebie żyjące, kultury: szlachecko-inteligencka i chłopska, właśnie chłopska, a nie jakaś ogólnikowo wiejska. Ta chłopska leżała długo w polu milczenia, według mnie za długo. Moje pokolenie domagało się prawa do głosu, ale autentycznego, nie tego przytupywania hop-dziś-dziś!, co zresztą doskonale rozumiał Norwid, ale jakże on mógł wówczas zmienić zasiedziałe nawyki narodowe?

W mojej autobiografii, napisanej głównie dla nie-Polaków, pragnąłem przekazać owe głosy z pola milczenia, dać inny obraz kultury polskiej, nie pobłyskiwać co chwila sygnetem prawdziwym czy udawanym. Może w tym jest jakiś anty-sygnetyczny snobizm, bo z czego się wywodzi wyraz snobizm? Podobno ze skrótu *sine nobilitate*. Tak, tak. Przez

blisko dwieście lat przodkowie i następcy mojego ojca Jana, światłego samouka, trzymają się, o dziwo, tych samych kawałków dobrzyńskiej ziemi, skąd ich i mój ród. Bez tej świadomości, a także i podświadomości, nie byłbym kim jestem: wyobraźnia, jeśli potrafi być twórcza, wywołuje asocjacje obrazów idące daleko w przeszłość.

Wyszedłem z pola milczenia, ażeby świadczyć o głosie, po polsku czy po angielsku. W tym chyba tkwi cały sens i zamiar mojej autobiografii.

S.K.: — *Pewno niektórzy polscy czytelnicy będą Ci zarzucać, że pisząc autobiografię, nie skorzystałeś z okazji, by dokładnie pouczyć Anglików o naszych narodowych nieszczęściach.*

Wielkie na mnie wrażenie zrobił fragment, gdy polski pisarz (którego później spotkałem w Londynie) w strasznej, zatłoczonej przez pospolitych przestępców celi sowieckiego więzienia, opowiada im, zasluchanym, przygody Odysusza. Myślę, że taka scena i jej podobne, czy różne aluzje, bez nacisku, powiedzą więcej obcemu czytelnikowi co trzeba i łatwiej trafią do jego wyobraźni, niż jeszcze jeden wykład o naszej martyrologii.

J.P.: — O, tak, obrazy, sceny ze szczegółami, które łatwo sobie wyobrazić, były moją artystyczną intencją — nie pisanie propagandowego eseju. Unikałem natłoku polskich nazwisk, używałem raczej imion, bo są krótsze i nietrudne do zapamiętania. Podobnie jest z różnymi faktami z dwudziestolecia. Chodziło mi przede wszystkim o wywołanie atmosfery, o humor, a nie o wypominanie nieszczęść obcym czytelnikom. Historia odziedziczonego futra, podbitego lisimi skórami, więcej mówi — poprzez groteskowe przetwarzanie się przedmiotu — o przygodach młodego chłopaka w dużym mieście, niż jakaś płaczliwa elegia sieroty ze wsi. Wydaje mi się, że dyskretnie opisuję chorobę i śmierć mojej matki, tak jak i własne perypetie ze zdrowiem: starałem się unikać chwytów sentymentalnych, zachować dystans. Atawistyczne echa, być może. W północnej i zachodniej Polsce chłopci nie byli i nie są nazbyt wylewni, potrafią stosować umiar.

No, a co w końcu decyduje o budowie narracji? Zwarłość i przejrzystość opowiadania, efektowne przerzuty czasu we wspomnieniach. Żeby, Boże broń, czytelnika nie nudzić nagromadzeniem nieistotnych faktów.

S.K.: — *Symboliczne odchylenie się wagi na dwie strony, o którym już mówiliśmy, ma jeszcze jedno odbicie w Twoim życiu. Od lat dzielisz je między Anglię i bardzo Ci bliską Hiszpanię, gdzie spędzasz w swym domu pół roku. W Twojej książce Hiszpania często nasuwa Ci polskie skojarzenia. Jak łączysz te trzy odmiany swego życia?*

J.P.: — Jestem szczęśliwy, że tak jest, że jakiś opiekuńczy duch dał mi możliwość rozszerzenia widnokręgów. Bez tego nie ma tolerancji, a zatem i zrozumienia istoty cywilizacji. Styl, który charakteryzuje moją osobowość w angielszczyźnie, jest jednym z widnokręgów, bardzo dla mnie ważnym. Uczę się wciąż na sobie czym jest dla mnie Europa. Z matczynika cierpliwa droga do wspólnej macierzy, którą jest i będzie nasza część świata, dziedzictwo Homera, Św. Franciszka, Cervantesa, Rembrandta, Chopina — tylu ich jest na wspólnym szlaku.

Jeśli się ma takie właśnie przeświadczenie, jeżeli się nie umniejsza innych i siebie, wypada chyba spojrzeć na własne życie, tym bardziej na wczesny jego okres, widziany w perspektywie wielu lat. Opowieść w *In the Scales of Fate* dochodzi do 1953 roku, kiedy wyszła moja pierwsza powieść angielska, *The Knotted Cord*. Myślę, że to jakiś równik na mapie mojego życia; równik, który przekroczyłem.

S.K.: — *W 1953 roku więcej niż połowa Twego życia do dziś była przed Tobą. Czy myślisz o dalszym ciągu autobiografii?*

(Już ją zaczął. Właśnie jedzie do Hiszpanii i będzie pisał — ręką jak zawsze — w jakiejś kawiarence z widokiem na pasmo Alpuhary, czy w ogrodzie pod drzewami...)

S.K. — *Sub tegmine fagi?*

J.P.: — Nie, wśród pomarańcz, które sam sadziłem. Na jednej było w tym roku trzysta owoców. Teraz będą dojrzałe.

Rozmawiała Stefania KOSSOWSKA

Płynność świata

Nazwisko poetki, której najnowszy tomik* omawiam poniżej jest niewątpliwie znane czytelnikom *Kultury*, gdyż jej wiersze ukazywały się tu niejednokrotnie. Ta polsko-amerykańska autorka urodziła się w czasie wojny w Kirgizji, wychowała się i studiowała (polonistykę) w Polsce, a od 1970 mieszka w Nowym Jorku, gdzie obecnie wykłada slawistykę na Columbia University. Jako poetka p. Frajlich debiutowała w 1976 r. zbiorem „Aby wiatr namalować”, wydanym w Londynie; „Ogrodem i ogrodzeniem” jest już jej siódmą publikacją „zwartą” (wliczając w to dwujęzyczny wybór pt. „Between Dawn and the Wind”, Austin 1991, z angielskimi przekładami pióra Reginy Grol-Prokopczyk); w 1981 otrzymała nagrodę literacką Fundacji im. Kościelskich. Jej wiersze mają wyraźną „jakość” i indywidualność, toteż ich autorka słusznie zaliczana jest do znaczących postaci we współczesnej poezji polskiej. Jej ostatnia publikacja stanowi dobrą okazję do refleksji nad specyfiką tej twórczości.

Formalnie wiersze te są kontynuacją konwencji lat 60-tych (czyli okresu studiów autorki w Warszawie), gdy wzorem był styl różewiczowski-herbertowski: luźnawa strofa, rym tu i ówdzie, częsty brak interpunkcji, oszczędność słowa przy równoczesnym zachowaniu codzienności czy też niewymuszonej języka; całość wyraźnie nastawiona na efekt treściowy, *dénouement* pojęciowe a nie retoryczne. Wiersz w tym ujęciu jest raczej formą uwag wypowiedzianych normalnym głosem, przy filiżance kawy, pod lampą z abażurem i skierowanych na wpół do siebie, na wpół do słuchaczy/czytelników, a nie „pięknie wytoczoną urną” czy ekstatycznym krzykiem na tle operowych dekoracji. Forma jest tu nośnikiem treści, a nie na odwrót.

Treść — jakkolwiek dziwnie może brzmieć to słowo w odniesieniu do poezji lirycznej wierszy Anny Frajlich to przede wszystkim na różny sposób wyrażane („uchwytywane”) poczucie płynności rzeczywistości, braku wyraźnej cezur między „zdaje się” a „jest”, i rzeczą/zdarzeniem a znakiem. Ilustruje to dobrze charakterystyczny dla całego zbioru utwór pt. „Metafizyka i obłok”. Jako *pars pro toto* przytoczę jego początek i zakończenie: „Jasny obłok zawisł nad nami/...Czy to chmura zwykła czy znak?//...Ledwie zawisł, już dalej odpływa, /ostre światło jego błony przesywa/ — jeśli chmura to — /w deszcz będzie zmieniony./

* Anna Frajlich, „Ogrodem i ogrodzeniem”, Czytelnik, Warszawa 1993, str. 78. ISBN 83-07-02368-8.

A jeżeli znak?/Nieodgadniony". Podobne „pomiędzy” stanowi temat wiersza bez tytułu, a którego motto odsyła do Władimira Sołowiowa: „... pomiędzy światłem i ciemnością/.../jest promień co się kładzie nożem/pomiędzy krzykiem i milczeniem/i On dosięgnąć go nie może/ponad szczeliną/nie-Stworzenia”. To poczucie, iż rzeczywistość jest wieloznaczna i krucha dominuje też w utworach pozornie opisowych, wręcz „sprawozdawczych”, niekiedy tworzących ciągi tematyczne („Elegie nowojorskie”, „Wiersze izraelskie”); por. np. zakończenie wiersza o Nowym Jorku: „a inni ciągną tu zwabieni/mocą twych wiatrów i kamieni/miliarda okien twoich blaskiem/i ledwie wejdą w twoje bramy/niebaczni/nowe amsterdamy/stawiają na granicy/z piasku”. Wydaje się, że próba sprostania tej niedookreśloności istnienia jest głównym impulsem twórczości Anny Frajlich, a poezja jedynym sposobem mówienia o niej. Świadczy o tym programowy wiersz pt. „Poetyka”, którego początek posłużył też za tytuł całego zbioru. Znow — z braku miejsca — przytoczę tylko charakterystyczne wyjątki: „Ogrodem i ogrodzeniem/jest wiersz i dziką jabłonią/...sarną spragnioną i wodą/tajemnicą i kodem/co strzeże tajemnicy/źródłem zamkniętym w skale/i źródło pijącą skalą/...”

Wyrażenie „niedookreśloność istnienia” jest nieco bombastycznym ogólnikiem, więc chciałbym je nieco ukonkretnić. W wierszach wyróżnić można trzy częste motywy refleksji: oglądanie świata, los żydowski i więź (lub jej brak) z „drugim/innym/tobą”, czyli wątek liryki osobistej. Wszystkie trzy mają łatwo wyczuwalny wspólny mianownik, który trudno opisać jednym słowem, ale którego wszystkie określenia zastępcze zawierają jakieś „nie”: nieprzystosowanie, niepewność, nietrwałość. Bardzo charakterystyczny pod tym względem jest wiersz pt. „Adres”, zaczynający się stwierdzeniem: „-Pisarz powinien mieć adres — rzekł Isaac Basbevis Singer...” — a kończący się konstatacją: „I ja szukam swojej ulicy/.../ale zatarty się nazwyl i cyfry znalaz bram opadły/kto wie/co jest moje co obce/i który adres/to adres”. Podobny nastrój panuje w wierszu pt. „Ptaki”: „...smutna moja mama karmi leśne ptaki/i nie wiedzą wilgi sikory i szpaki/że mama jest także wędrującym ptakiem/gniazda wijane gniazda budowane/...każde innym wiatrem strącone rozwiane”. Nawet krótki obrazek liryczny — przechadzka z „tobą” po nowojorskiej ulicy — kończy się stwierdzeniem: „róże w różnych kolorach/na klombach i pod murami — ale jakże nietrwale — wiosną o nich mówiłeś/a kwitną jeszcze i kwitną/gdy obok przechodzimy/ty z jesiennym katarzem/ja z lękiem/że wszystko minie”.

Nie chciałbym, żeby czytelnikowi tej recenzji pozostało wrażenie, iż wiersze o których tu mowa są jeszcze jednym okazem

banalnej „liryki przemijania” i równie banalnej niestety, bo samogrającej ewokacji dramatu Żydów. Faktem jest bowiem, iż „poetyckość” pewnych tematów i nastrojów wynika m.in. z ich powszechnego zakorzenienia w ludzkich umysłach, na skutek czego ich werbalizacja łatwo ulega — no, właśnie: werbalizacji. Na szczęście poezja Anny Frajlich jest subtelna, oryginalna i zarazem naturalna. O tym, jak przezwycięża ona niebezpieczeństwo banału potencjalnie tkwiącego w fascynujących ją tematach pouczają dwa arcywiersze tego zbiorku — „Sala dziecięca w muzeum męczeństwa Yad Vashem w Jeruzolimie” i „Do archeopteryksa” — które powinny się znaleźć w każdej antologii współczesnej poezji polskiej.

M. BRONSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

- SCIBOR-RYLSKI (Aleksander). *L'an-neau de crin*. Powieść. Przel. z polskiego Laurence Dyevre et Véronique Patte. Str. 427 et 4 nlb. (Wyd. Robert Laffont, Paris, 1993).
- PROKOP (Jan). *Parole partisans*. Etudes littéraires. Str. 53 et 3 nlb. (Wyd. Viridis, Cracovie, 1993).
- MAREK (Edmond). *Le jeu des échecs*. Poème heroi-comique de Jan Kochanowski (1530-1584). Chronologie, Présentation, Traduction et Bibliographie. Str. 57 et 3 nlb. (Wyd. Club Polonia-Nord, Lille, 1993).
- STRYJENSKI (Jan). *Les Polonais et Genève*. Str. 15. (Wyd. L'Association Polonaise de Genève et PRO POLONIA Genève, Genève, 3.3.1993).
- IWAŃSKA (Alicja). *British American Loyalists in Canada and U.S. Southern Confederates in Brazil*. Str. 161. (Wyd. Edwin Mellen Press, Ltd. Lampeter, Dyfed, Wales. Printed in the U.S.A., 1993).
- KOSCIALKOWSKA (Janina). *Beech boat*. Przekład z polskiego Anny Mariańskiej (Wyd. Readers International, London, 1993).
- Young Poets of a New Poland*. An anthology. Str. 254. (Wyd. Forest Books UNESCO Publishing, London, 1993).
- DWORZYŃSKI (Witold). *Wieniawa*. Poeta-żołnierz-dyplomata. Str. 392. Liczne fotografie. (Wyd. Wydawnictwa szkolne i pedagogiczne, Warszawa, 1993).
- MIŁOSZ (Czesław). *Wiersze*. Tom I — str. 336 i 4 nlb; tom II — str. 304; tom III — 408. (Wydawnictwo Znak, Kraków 1993).
- GOMBROWICZ (Witold). *Trans-Atlantyk*. Str. 140 i 4 nlb. (Wydawnictwo Literackie, według wydania z 1988 r., Kraków, 1993).
- IWASZKIEWICZ (Jarosław). *Stronami deszcze stronami pogoda*. Strony nienumerowane, egzemplarz 201. (Publikacja bibliofilska Biblioteki Narodowej w Warszawie, 1993).

- LEŚMIAN (Bolesław). *Poezje zebrane*. Opracował Aleksander Małyda, wstęp Maria Jakitowicz. Str. 706 i 2 nlb. (Wyd. ALGO, Toruń 1993).
- LAUB (Gabriel). *Myślenie psuje charakter*. Aforyzmy. Str. 72. (Wyd. Studio Plastyczne Eugeniusz Józefowski, Wrocław 1993).
- JACKIEWICZ (Mieczysław). *Literatura polska na Litwie XVI-XX wieku*. Rozprawa habilitacyjna. Str. 384 i 4 nlb. (Wydawnictwo Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Olsztynie, Olsztyn 1993).
- BEDNARCZUK (Leszek). *Języki Wielkiego Księstwa Litewskiego na tle porównawczym*. Str. 164 i 10 map. (Wyd. Uniwersytet Polski w Wilnie przy Stowarzyszeniu Naukowców Polskich Litwy, Wilno 1993).
- VINCENZ (Stanisław). *Tematy żydowskie*. Wydanie drugie rozszerzone. Str. 248. Wstęp Jeanne Hersch, posłowie Andrzej Vincenz. (Wydawnictwo ATEXT, seria: Biblioteka im. Stanisława Vincenza, Gdańsk 1993).
- Balsam i trucizna — 13 tekstów o Mickiewiczu*. Pod redakcją Ewy Graczyk i Zbigniewa Majchrowskiego. Str. 226 i 6 nlb. (Wydawnictwo ATEXT, Gdańsk 1993).
- HRYNKIEWICZ (Wojtek). *Tej rzeki nie przejdę*. Str. 76 i 3 nlb. (Wydawnictwo ATEXT, Gdańsk 1992).
- ZOSZCZENKO (Michał). *Bądź człowiekiem, towarzyszu!* Przetłoczyli Natalia i Wiktor Woroszyłscy. Str. 232 i 8 nlb. (Wyd. MARIABUT, Gdańsk 1993).
- BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *Spadek po zimnej wojnie*. Przekład i wstęp Andrzej Wilk. Str. 202 i 6 nlb. (Wyd. Oficyna Wydawnicza MOST, Warszawa 1993).
- NABOKOV (Władimir). *Rozpacza*. Przel. Leszek Engelking. Str. 182. (Wyd. ATEXT, Gdańsk 1993).
- FORSTER (E.M.). *Droga do Indii*. Przetłoczyli Krystyna Tarnowska i Andrzej Konarek. Str. 338 i 6 nlb. (Wyd. ATEXT, Gdańsk 1993).
- ROTH (Joseph). *Falszywa waga*. Z niemieckiego przetłoczył Aleksander Wat. Str. 154 i 4 nlb. (Wyd. PULS, seria: Proza i eseistyka, Londyn 1994).
- RIOTTA (Gianni). *Koniec sezonu*. Przekład z włoskiego: Jarosław Mikołajewski, Magdalena Rozpędowska, Joanna Ugniewska. Str. 198 i 8 nlb. (Wyd. PULS, Londyn 1993).
- SARAMAGO (José). *Baltazar i Bli-munda*. Z portugalskiego przetłoczyła Elżbieta Milewska. Str. 310 i 8 nlb. (Wyd. PULS, Londyn 1993).
- LAQUEUR (Walter). *Historia Europy 1945-1992*. Przetłoczył z angielskiego Roman Zawadzki. Str. 630 i 2 nlb. (Wyd. PULS, Londyn 1993).
- SARNOWSKA (Krystyna). *Zdziwienie*. Poezje. Str. 110 i 2 nlb. (Wyd. Włocławskie Towarzystwo Naukowe, Włocławek 1993).
- HURWIC (Józef). *Maria Skłodowska-Curie i promieniotwórczość*. Str. 98 i 2 nlb. (Wydawnictwo Edukacyjne Żak Zofii Dobkowskiej, Warszawa 1993).
- NIEWIAROWSKA-SOWA (Anita). *Uczuciem pisane*. Wiersze. Str. 96 i 2 nlb. (Wyd. Veritas Foundation Publication Centre, Londyn 1993).
- Literatura emigracyjna 1939-1989*. Tom I. Z prac Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej Uniwersytetu Śląskiego. Str. 298 i 4 nlb. (Wyd. „Śląsk”, Katowice 1993).
- Materiały-Dokumenty-Źródła-Archiwalia*. Zeszyt 9 — Wrzesień 1993 zawiera opracowanie Jana Lorysa „Historia polskiego znaku spadochronowego. Polskie wojska desantu powietrznego w II Wojnie Światowej”. Str. 266 i 2 nlb. (Wyd. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego, Londyn 1993).
- DULĘBA (Witold). *Arlekin arlekin*. Str. 122. (Wyd. nakładem Autora, Katowice, 1993).
- RADZYMIŃSKA (Józefa). *Pieśni z obczyzny*. Wiersze. Str. 94 i 2 nlb. (Oficyna Wydawnicza Latona, Warszawa 1993).

Notatki Redaktora

Obecnie w Polsce jest kilkanaście fundacji zajmujących się sprawami wschodnimi. Niektóre z nich są bardzo poważne, prowadzące doskonałą robotę, wiele dotuje budżet państwa. Ponadto jest instytucja WSPÓLNOTA POLSKA, jak również ciekawa działalność Biura Senatu. Niestety praca tych fundacji jest nieskoordynowana co powoduje przede wszystkim zamieszanie, tym większe że ciągle nie ma żadnej polityki wschodniej. Sprawą najpilniejszą byłaby koordynacja prac tych instytucji i ustalenie podziału ról.

Sprawa rozbudowy sieci konsularnej w republikach środkowoazjatyckich jest ciągle na martwym punkcie. W końcu ubiegłego roku wysłano z naszej ambasady w Moskwie trzyosobową misję do Ałma-Aty. Misja ta wróciła przerażona warunkami życia, cenami i ogólną biedą. Zapewne nie jest łatwe przeprowadzenie tam zmian, ale nie mówiąc już o opiece nad miejscową Polonią, przegrywamy nasze możliwości w Kazachstanie, które mogłyby być znaczne.

Prawie jednocześnie z wizytą parlamentarzystów litewskich w Polsce około 78 polskich posłów wystąpiło z memoriałem domagającym się stworzenia polskiego autonomicznego okręgu na Litwie. Nie przeszkadza to ciągłym deklaracjom oficjalnym o przyjaźni polsko-litewskiej.

Coraz bardziej rozbudowuje się w Polsce ochronę decy-dentów. Pancerne samochody, kawalkada trzech samochodów

z syrenami, zamykanie ruchu na ulicach w czasie przejazdów, „goryle” towarzyszący dygnitarzom na przyjęciach dyplomatycznych a nawet w czasie wyjazdów do sejmu czy klubów parlamentarnych. Żeby było śmieszniej, ochrona towarzyszy także wizytom zagranicznym naszych dygnitarzy. Robi to wrażenie, że jesteśmy drugim Algierem. Podkreślając stale, że należymy do Europy, coraz bardziej przypominamy kraje afrykańskie czy południowoamerykańskie.

Prasa donosi, że na uroczystości związane z 50-tą rocznicą Powstania Warszawskiego prezydent zaprasza głowy państw europejskich, a więc: przedstawiciela byłego ZSSR czyli Rosji, której wojska stojące na Pradze bezczynnie przyglądały się wykrwawianiu się powstania nie dopuszczając pomocy ze strony aliantów poprzez odmówienie prawa lądowania na swoich lotniskach, a następnie wywożąc do łagrów AK-owców; przedstawiciela Anglii, która wymusiła dymisję polskiego naczelnego wodza Kazimierza Sosnkowskiego oraz przedstawiciela Niemiec! W tym wypadku prezydent liczy chyba na to, że padnie on na kolana jak w swoim czasie Willy Brandt przed Pomnikiem Ofiar Getta. Trochę godności panowie. Nawiasem mówiąc trzeba dodać, że Powstanie Warszawskie nasuwa sporo analogii z zachowaniem się Europy wobec tragedii Sarajewa.

W nowym budżecie przewiduje się 565 mld zł — to znaczy o 34% więcej niż w ubiegłym roku — na kancelarię prezydenta. W tej sumie są wynagrodzenia dla 235 pracowników kancelarii oraz 83 pracowników kilku innych ciał w tym Biura Bezpieczeństwa Narodowego, 125 mld przewidziano na kontynuację przebudowy Pałacu Namiestnikowskiego (łącznie koszt tej inwestycji szacuje się na 422 mld złotych przy cenach bieżących).

Apel do Jacka Kuronia przewodniczącego Sejmowej Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych. Jeśli idzie o mniejszość ukraińską w Polsce, którą szacuje się na 250 do 300 tys. osób, jest szereg spraw do uregulowania: przede wszyst-

kim załatwienie wreszcie odszkodowań za Operację „Wisła”. Senacka uchwała w tej sprawie sprzed trzech lat utknęła w sejmie. Operacja ta spowodowała wysiedlenie blisko 65 tysięcy rodzin. Idzie więc o zwrot czy odszkodowanie za mienie nieruchomości. Sprawa odszkodowań dla więźniów w obozie w Jaworznie. Było ich prawie 4 tysiące, obecnie przy życiu zostało około 100 osób. Na załatwienie czeka sprawa Łemkowszczyzny. Brak podręczników do nauki ukraińskiego i środków na utrzymanie cerkwi, które niszczone, są okradane i dewastowane; są to w większości bardzo cenne zabytki.

W ostatnich latach Polska straciła 25% naukowców, głównie z instytutów PAN. W latach 1981–1991 wyjechało z Polski 10% uczonych a 15% zdecydowało się na pracę poza naukową w kraju. Najczęściej wyjeżdżają z Polski informatycy, fizycy i biolodzy. Głównie do Niemiec, Stanów Zjednoczonych, Kanady i Wielkiej Brytanii. Komitet Badań Naukowych otrzymuje 0,57% PKB. Japonia, Stany Zjednoczone i Niemcy przeznaczają na naukę 2,8–2,6%, większość krajów około 1,5% PKB. W Polsce prawie 90% środków na naukę pochodzi z budżetu. W innych krajach koszty nauki ponosi w 54% przemysł, a tylko reszta idzie z budżetu.

Wyjazdy na Zachód wzrastają z roku na rok. W dużym stopniu wyjeżdżają młodzi naukowcy, stypendyści, nie mówiąc o normalnej turystyce. Wszyscy odczuwają brak odpowiednich przewodników o charakterze praktycznym, z wykazem polskich instytucji, lokalnych ośrodków przeznaczonych dla turystów, jak np. tanie hotele itp. W Paryżu w swoim czasie było szereg prób załatwienia tego problemu, próby te były jednak dość fragmentaryczne a obecnie są przedawnione. Byłoby bardzo ważne, aby polskie instytuty opracowywały i wydawały takie przewodniki, głównie we Francji, Niemczech, Anglii i Austrii.

REDAKTOR

Polemiki

Klucz do Europy

Szeroko rozumiane pojęcie kultury obejmuje również sferę współżycia ludzi w państwie. To kultura, tak pojmowana, kształtuje stosunki między państwem a obywatelami i wpływa na charakter prawa. Można powiedzieć, że tam, gdzie następuje upadek kultury, prawo staje się brutalne lub zanika. Mówimy wtedy, że zaczynają rządzić wilcze prawa lub panuje bezprawie.

Można powiedzieć również, że kilka podstawowych zasad prawnych, wywodzących się z prawa rzymskiego, jest podstawą kultury. Nieprzestrzeganie tych zasad świadczy o tym, że poziom kultury w państwie jest niski a demokracja jest zagrożona.

Wobec prawa wszyscy są równi. Ta podstawowa zasada gwarantuje poczucie bezpieczeństwa obywateli i daje im świadomość, że mogą zawsze liczyć na sprawiedliwość. Jakikolwiek odstępstwo, od tej właśnie zasady, niweczy poczucie bezpieczeństwa i kwestionuje praworządność w państwie.

Odnoszę wrażenie, że w III Rzeczypospolitej nadal pozostaje aktualne pytanie: czy rzeczywiście wszyscy są równi wobec prawa? A może nadal są „równi” i „równiejsi”? Czy na przykład obywatel ranny w wypadku, którego sprawcą okaże się minister, może liczyć na skuteczną ochronę prawa? Czy policjanci i prokuratorzy nie ulegną naciskom przełożonych, kogoś „z góry” lub okoliczności?

Niezawisłość sądów i prokuratury w PRL była fikcją. I sędziowie i prokuratorzy bronili przede wszystkim interesów władzy a nie interesów obywateli. W pamięci ludzi, którzy choć kawałek dojrzałego życia przeżyli w czasach „realnego socjalizmu” zapisane to zostało mocno i trwale. Najpełniej

niesprawiedliwość społeczną i dyktaturę władzy komunistycznej odczuwano właśnie w sferze prawa. Prawo chroniło jednych (tych związanych z systemem) i gnębiło innych (zwłaszcza obywateli, którzy czymkolwiek narazili się władzy). Jednych ścigano za kradzież pudełka zapalek, innych — narażających gospodarkę na straty miliardowe — pozostawiano na wolności. Rozrzucających ulotki skazywano na więzienia — winnych morderstw uniewinniano. Z całą pewnością milicjant-zabójca lub milicjant-złodziej był traktowany łagodniej przez prokuraturę i sąd, niż na przykład kolejarz-zabójca lub złodziej. Liczne powiązania prokuratorów z SB, sądów z partią — fakt, że sędziowie i prokuratorzy na ogół do partii należeli — składał się na obraz tej wielkiej fikcji, jaką był „wymiar sprawiedliwości” w kraju komunistycznym.

Obywatele PRL-u dostrzegali, oczywiście, to wszystko i traktowali jako wielką niesprawiedliwość, ale mam wrażenie, że w ciągu czterdziestu pięciu lat rządów komunistycznych, jakby pogodzili się z takim stanem rzeczy. Broniąc się przed tą „wielką niesprawiedliwością” prawo można było łamać, obchodzić, funkcjonariuszy prawa oszukiwać lub dawać im łapówki. Przez dziesiątki lat prawo w Polsce było uważane za zbiór represyjnych przepisów. Te przepisy władza mogła dowolnie interpretować, dowolnie mnożyć i zmieniać — zawsze z korzyścią dla siebie i zawsze na niekorzyść obywateli.

Myślę, że takie właśnie postrzeganie prawa pozostało w spadku po PRL, jako jeden z najbardziej groźnych przejawów demoralizacji społeczeństwa. A także jako świadectwo bardzo niskiego poziomu tej szeroko pojmowanej kultury. Na pewno dużo czasu upłynie, nim w świadomości społecznej powszechne stanie się przekonanie, że to już inne prawo i że tego prawa należy przestrzegać, ponieważ bez przestrzegania prawa życie w państwie staje się niemożliwe.

Bardzo ważne są właśnie dlatego zachowania ludzi, którzy stoją na straży praworządności — prawa i porządku w państwie: prokuratorów, sędziów, policjantów. Także tych, którzy zajmują najwyższe stanowiska: prezydenta, premiera, ministrów, są posłami i senatorami. Ludzie ci zawsze i niezmiennie powinni być poza wszelkimi podejrzeniami, że sami prawo naruszają korzystając ze swych uprzywilejowanych stanowisk. Ta reguła nie może znać żadnych wyjątków.

Wyobraźmy sobie pewną sytuację z nie tak odległej przeszłości. Syn pierwszego sekretarza partii powoduje wypadek, w którym ginie lub ranny zostaje człowiek. Po pierwsze

fakt ten nigdy nie zostałby publicznie ujawniony, ponieważ wszelkie próby skutecznie zablokowałyby komunistyczna cenzura. Żadna z gazet (nie wspominając o telewizji i radiu) nie zamieściłaby nawet najmniejszej notatki na ostatniej stronie. Po drugie zatrzymany na miejscu wypadku pijany sprawca, jeśli tylko wyszłoby na jaw, kim jest — zostałby natychmiast zwolniony. Śledztwo, gdyby nawet zostało wszczęte na wniosek rodziny poszkodowanego, szybko zostałoby umorzone a winą za wypadek z całą pewnością starano by się obciążyć ofiarę.

W PRL taka sytuacja była normalna: nie spodziewano się nigdy innej reakcji władzy — milicji, prokuratury, sądu. O tego typu wypadkach dowiadywano się wyłącznie z Radia Wolna Europa i BBC oraz z prasy podziemnej. Czy sytuacja — właśnie pod tym względem, przestrzegania zasady równości wszystkich wobec prawa — zmieniła się w III Rzeczpospolitej wyraźnie i w pełni?

Jest, oczywiście, wolna prasa, są wolne radio i telewizja. Przez ostatnie lata słyszeliśmy wiele o łamaniu prawa przez ludzi zajmujących wysokie stanowiska w państwie. Toczyły się i toczą postępowania sądowe, wysuwane są nowe oskarżenia. Nie nastąpiło jednak coś w rodzaju przełomu w świadomości społecznej: oto skończyliśmy z bezprawiem i zaczął się zupełnie nowy okres, kiedy to prawo i sprawiedliwość istotnie będą ostoją Rzeczpospolitej. Nie dokonano prawnej oceny 45-lecia rządów komunistycznych w Polsce. Dziesiątki i setki morderców — funkcjonariuszy UB z okresu stalinowskiego — pozostało bezkarnych. Przebieg kilku wytoczonych procesów, przeciwko ludziom odpowiedzialnym za zbrodnie, kompromituje raczej wymiar sprawiedliwości. To wszystko, o co oskarża się wysokich funkcjonariuszy państwowych na forum publicznym i co w państwach o ugruntowanej demokracji powodowałoby natychmiastowe konsekwencje — dymisje i zmiany w rządach — w III Rzeczpospolitej nie powoduje żadnych skutków. Myślę, że większość obywateli ocenia to jako lekceważenie prawa przez „równiejszych”. Pod tym względem podobieństwo z PRL-em jest uderzające. Ten widoczny bezwład prawa, w stosunku do wysoko postawionych osób w państwie, pogłębił się dodatkowo po wyborach wrześniowych: do Sejmu i Senatu weszli ludzie przeciwko którym toczyły się postępowania sądowe lub osoby pozbawione mandatu przez poprzedni sejm. Po raz kolejny okazało się, że prawo w Polsce można lekceważyć.

Mówi się ostatnio często o naszych związkach z Europą,

o drodze do Europy — do instytucji tworzących tę międzynarodową społeczność przyszłości. Jak jednak jesteśmy widziani przez Europę — dziś, teraz? Jako państwo w pełni demokratyczne, z prawem, które jest jednakowe dla wszystkich obywateli — czy jako kraj półdemokratyczny, w którym pewni ludzie ciągle stoją ponad prawem a powrót czegoś w rodzaju PRL-u stale jest prawdopodobny?

Myślę, że dopóki właśnie w sferze stosunku do prawa nie nastąpią zmiany zasadnicze — i to na obu poziomach: zaufania obywateli do prawa i stosunku do prawa funkcjonariuszy państwowych — klucz do Europy pozostawać będzie w cudzych rękach. Nie tylko bowiem ogólny poziom kultury w państwie zależy od przestrzegania prawa przez wszystkich, ale także autentyczna demokracja istnieć może tylko w takim państwie, w którym wszyscy są wobec prawa równi.

Warszawa, styczeń 1944 r.

Kazimierz ORŁOŚ

Spór o spory

(w związku z artykułem prof. Andrzeja Wyczańskiego)

Zaniepokoiło mnie, że nie wywołał odzewu zamieszczony w *Kulturze* (1993 nr 9) artykuł profesora Andrzeja Wyczańskiego „Spory o Polską Akademię Nauk”. Młodszy, zwłaszcza zaś poza Polską mieszkający czytelnicy gotowi sądzić, że ta wypowiedź dzisiejszego prezesa PAN jest zupełnie miarodajna i przedstawia poruszane zagadnienia z należytą bezstronnością, ile że Autor jest przecież nie tylko zawodowym, lecz także wybitnym historykiem.

Niestety! Wydaje mi się, że pan prezes tym razem wyłuszcza raczej osobiste — godne zresztą szacunku — powody, dla których powołanie do życia Polskiej Akademii Nauk wspomina sam z pewnym sentymentem. Powiada, że wobec „rozbuchania komunistycznej organizacji studenckiej w postaci Związku Młodzieży Polskiej” (zwłaszcza w uniwersytetach) „pokoleniu, do którego się wówczas [?] zaliczałem, trudno było marzyć o pozostaniu na uczelni bez związania się z partią, bądź dzięki pójściu

na daleko idące kompromisy z władzą i własnym sumieniem. Jeśli się chciało pozostać kimś niezależnym, z własnymi poglądami i postawą życiową, należało szukać miejsca w placówkach naukowych Akademii”.

Własny łut szczęścia wypaczył profesorowi Wyczańskiemu, jak przypuszczam, pamięć o latach stalinowskich. Nie działa się ani aż tak źle, ani tak dobrze. Można było bez świństw uzyskać asystenturę uniwersytecką przy niektórych katedrach humanistycznych (bibliotekoznawstwo, językoznawstwo, filologie obce), można zaś też było nawet w zachwalanym Instytucie Historii PAN na tyle ulegać paskudnym podszeptom, powiedzmy, Bogusława Leśnodorskiego (skądinąd wzbudzającego towarzyską sympatię), by karierę naukową rozpocząć przynoszącymi wstyd inwektywami, mającymi na przykład dyskredytować emigracyjnych uczonych. Pan Wyczański kształcił się pod kierunkiem prawdziwych mistrzów, skupił się na swej pracy, za mało się może rozglądając, co się wyprawiało wokół — toteż dzisiaj w zakresie historii najnowszej, nie będącej ściślej jego specjalnością, kroi na nieledwie sielankopisarza.

Ustawa o Polskiej Akademii Nauk z 30 października 1951 r. nie była w swych głównych założeniach dobroczynna. Pierwszy Kongres Nauki Polskiej, dodatkowo wzmiankowany obecnie tylko bodaj przez pana posła Aleksandra Kwaśniewskiego (por. „Nauka i Przyszłość” 1993 nr 12), należycie scharakteryzował w swej nie bez trudu ogłoszonej przed jedenastu laty monografii profesor Piotr Hübner. Kuriozalna od samego początku książeczka Stefana Żółkiewskiego *Stare i nowe literaturoznawstwo*, w chwili swego ukazania się (1950) groźna, dobrze oddaje zapędy nie tyle marksistów, co leninowców, współtwórców właśnie PAN; wystarczy stamtąd jedno zdanie: „Wrogie jest i to, co burżuazyjna polonistyka mówi, i wrogie jest jej milczenie”. (s. 78).

Gdy ucisk zelżał, w rzadkiej zaiste chwili publicznej szczerości profesor Henryk Jabłoński, naówczas sekretarz naukowy PAN, przyznawał (w *Dzienniku Polskim* z 29.XI.1956):

„Nie byliśmy, nie czuliśmy się na zewnątrz reprezentacją nauki polskiej. Nie sprzeciwiliśmy się złym zmianom w szkolnictwie wyższym, w systemie szkolenia kadr naukowych”.

Przypomniał też, nazywając rzecz po imieniu, o krzywdzie, która spotkała w kraju wielu sławnych uczonych; poza tymi, których w ogóle nie próbowano powołać do PAN, także i powołanych, tyle że w członków zaledwie tytularnych, czyli (w myśl artykułu 16 wspomnianej Ustawy) w sprawach statutowych bez prawa głosu! „Nie trzeba ukrywać — przytaczam wciąż słowa Henryka Jabłońskiego — że niektórym z nich przyznano

jedynie tytularne członkostwo PAN — z dyskryminacyjnych względów politycznych”. Byli na tej to liście m.in.: Włodzimierz Antoniewicz, Stefan Baley, Czesław Białobrzeski, Franciszek Bujak, Jan Czekanowski, ks. Szczęsny Detloff, Bolesław Hryniewiecki, Józef Kostrzewski, Edward Lipiński, Stanisław Pigoń, Eugeniusz Romer, Tadeusz Sinko, Rafał Taubenschlag, Kazimierz Tymieniecki, Stanisław Wędkiewicz. Dostyć chyba ciekawy zespól.

Z olbrzymią zręcznością profesor Wyczański przemyka po tych zabagnionych terenach. Nawet zawieszenie na kilka lat wydawania „Polskiego Słownika Biograficznego” nie wydaje mu się symptomem tamtych przerażających czasów.

Wrodzone, jak sądzę, dobre serce skłania autora „Sporów o PAN” do wylizania samych tylko udanych posunięć organizacyjnych oraz wartościowych dokonań naukowych. No cóż, uczeni prawdziwi, ci z powołania, w najtrudniejszych okolicznościach nie załamują rąk, próbują zrobić coś pożytecznego.

Tu łatwy już sus w stronę niegrząską. Wyrażną przyjemność sprawia Autorowi rozwodzenie się nad uczestnictwem wielu pracowników PAN w nieoficjalnym, często podziemnym, życiu naukowym i kulturalnym w okresie tak zwanego realnego socjalizmu. Nie ma tu jednak ani słowa o restrykcjach, które spotykały opozycję nie tylko ze strony MSW, lecz — w ścisły trop za nimi — ze strony właśnie władz PAN sprzed roku 1980, jak również podczas stanu wojennego. Już choćby zajrzenie do akt osobowych, dziś archiwalnych, po Janie Józefie Lipskim — wystarczyłoby na osobny rozdział stosownej rozprawy historyka!

Gruntownie dziś zapomniany w Prezydium PAN statut Polskiej Akademii Umiejętności zawiera taki oto punkt pod § 5:

„W sprawach naukowych i z nauką związków mających PAU, ilekroć w interesie nauki uzna za właściwe, ma obowiązek występować wobec władz państwa z przedstawieniami, uwagami lub życzeniami, albo też wobec społeczeństwa publicznie podnosić swój głos”.

Do tej pory jeden tylko profesor Janusz Groszkowski krótko przed śmiercią miał cywilną odwagę oświadczyć podczas Walnego Zgromadzenia (1980), że Polska Akademia Nauk, której był prezesem, takiemu oczywistemu obowiązkowi nie sprostaa.

Teraz śledzimy kolejne projekty nowej Ustawy o PAN, nowego jej także statutu; przezierają z nich zamiary uprawnienia faktycznego jedynowładztwa prezesa tej organizacji. Czy PAN zostanie państwowym resortem dobrze opłacającym

własną rozbudowaną biurokrację, resortem przyglądającym się z nieomal cynicznym spokojem swoim pracowitym kopcuszkom, instytutom naukowym? Czy majątek Polskiej Akademii Umiejętności — samorządnej i bardzo gospodarnej, jak wykazały dzieje — zostanie jej uczciwie zwrócony? Czy pan profesor Wyczański zechce wykorzystać swe wysokie uprawnienia członka Rady do Spraw Nauki przy Prezydencie R.P. i teraz — wobec katastrofalnego projektu budżetu nauki — „publicznie podniesie swój głos”?

Te pytania stawiam na marginesie jego milusieńkiego artykułu.

Andrzej BIERNACKI

Polnische Buchhandlung

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie

KRAJ — BLOK WSCHODNI

16. 12. 93

Rzeczpospolita podaje, że legalnie pracujący cudzoziemcy w Polsce pochodzą ze 104 krajów. Spośród tych narodowości najliczniejsi są Ukraińcy, którzy stanowią 16,1%, na drugim miejscu Rosjanie 13,1%, na trzecim Wietnamczycy 7,6%. Następni na tej liście to: Niemcy — 5,1%, Czesi — 4,9%, Chińczycy — 4,8%, obywatele USA — 4,4% oraz Wielkiej Brytanii — 3,6%.

25. 12. 93

Unia Pracy proponuje aby na temat przyszłej konstytucji wypowiedziało się społeczeństwo przez referendum. Unia sugeruje m.in. pytania: czy parlament ma być jedno czy dwuizbowy, czy prezydent będzie wybierany w głosowaniu powszechnym czy też przez Zgromadzenie Narodowe, czy z chwilą ogłoszenia konstytucji będzie skrócona kadencja prezydenta.

1. 01. 94

Mieczysław Wachowski, sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta, został mianowany ministrem stanu, co według małej konstytucji jest najwyższym urzędem po prezydencie. ■ *Sztandar Młodych* ma nowego właściciela. Dotychczasowy wydawca spółka SM-Media sprzedała prawa nowo utworzonemu wydawnictwu „Dom Wydawniczy Sztandaru Młodych”. 70% udziałów w tej firmie posiada Juerg Marquard Press Katowice (w połowie należącej do Grupy Wydawniczej Juerg Marquard, w połowie zaś do Wojtka Fibaka i jego partnerów). Grupa Wydawnicza Juerg Marquard jest międzynarodowym przedsiębiorstwem, działa w 12 krajach, jest właścicielem ponad 30 tytułów prasowych i uważa się ją za najbardziej dochodowe wydawnictwo w Szwajcarii. Przedsięwzięciem kieruje jego założyciel i jedyny właściciel, 48-letni Juerg Marquard. Grupa ta od wielu lat działa aktywnie w Europie Wschodniej. Na Węgrzech jest właścicielem budapesztańskiego dziennika *Magyar Hirlap*, który uchodzi za intelektualnie i politycznie najbardziej liczącą się gazetę w tym kraju. Grupa ma również 100 proc. udziałów w Marquard Colour Print, najnowocześniejszej drukarni gazetowej na Węgrzech, która obok *Magyar Hirlap* drukuje dwa inne dzienniki i 7 tygodników. W Polsce Grupa Juerg Marquard działa od 1990 r. Razem z wydawnictwem Phoenix-Intermedia Wrocław wydaje dwa tytuły: *Dziewczyna* i *Popcorn*, które należą do najczęściej czytanych w Polsce i odniosły wielki sukces na tym rynku. W lipcu 1993 r. Grupa Wydawnicza Juerg Marquard wspólnie z Fibak Marquard Press przejęła *Express Wieczorny*. JMG Ost Presse Holding AG posiada 60 proc. udziałów *Expressu Wieczornego*, a Fibak Marquard Press 40 proc. Fibak Marquard Press Katowice stanowi *joint venture* Grupy Wojtka Fibaka z Grupą Wydawniczą Juerg Marquard. Ta spółka wydaje m.in. gazetę *Sport*, tygodnik *Panorama*, jak również wiele regionalnych tygodników i gazet codziennych. W Katowicach Fibak Marquard Press posiada dużą drukarnię, która m.in. drukuje 7 gazet codziennych i 19 tygodników.

10.01.94

Ankieta przeprowadzona wśród parlamentarzystów uznała *Rzeczpospolitą* za najlepszą gazetę roku 1993. W kategorii: ulubiony dziennik drugie miejsce zajęła *Gazeta Wyborcza*, trzecie ex aequo *Życie Warszawy* i *Trybuna*. W kategorii: najlepiej redagowana gazeta drugie miejsce zajęło *Nie*, trzecie *Polityka*. W kategorii: najbardziej wiarygodna gazeta — drugie miejsce przyznano *Nie*, trzecie *Polityce*. Ulubionym tygodnikiem parlamentarzystów jest *Wprost*, następnie *Polityka* i *Nie*. Gratulujemy *Rzeczpospolitej*.

14.01.94

Jury Nagrody Publicystycznej im. Adolfa Bocheńskiego przyznało nagrodę za rok 1993 p. Aleksandrze Kosickiej-Pajewskiej za pracę pt. „Polska między Rosją a Niemcami. Koncepcje polityczne Adolfa Bocheńskiego”.

19.01.94

Pavel Tigrid, redaktor i wydawca *Svedectvi* został mianowany ministrem kultury w Czechach. Pavel Tigrid był zaprzyjaźniony z *Kulturą*.

21.01.94

Redakcja miesięcznika *Odra* przyznała swoją doroczną nagrodę Gustawowi Herlingowi-Grudzińskiemu za całokształt twórczości z uwzględnieniem najnowszego tomu „Dziennika pisanego nocą 1989-1992”. Jednocześnie jury konkursu *Odry* „Piękni dwudziestolenni”, po zapoznaniu się z 58 pracami, zdecydowało: nie przyznawać nagrody pierwszej; przyznać trzy nagrody drugie w wysokości 3 mln zł każda: Łukaszowi Klesykowi ze Strzeszyna za pracę „Ciosy z doskoku”, Dorocie Woźniak z Zakrzowa za pracę „Odyseusz?”, pracy opatrzonej godłem „Alnaszara” pt. „Wybory”; przyznać jedną nagrodę trzecią w wysokości 2 mln zł Tomaszowi Cichoniowi z Bierunia za pracę „Nowy Młody Niepeerelowy — żywota jego i perspektyw pobieżne opisanie”; przyznać dwa wyróżnienia po 1 mln zł każde Annie Kwiatkowskiej z Białogostoku za „Na zasadzie szaleństwa, czyli filmowy diabełek”, Jackowi Żurawskiemu z Białogardu za pracę „Lubeka”.

24.01.94

Fundacja Muzyka Kresów zorganizowała w dniach 24-28 stycznia w Lublinie 6 międzynarodową sesję poświęconą muzyce ludowej „Instrumenty muzyczne w kulturze tradycyjnej Europy Środkowo-Wschodniej”. Sesji, w której wzięli udział badacze z Polski, Białorusi, Litwy, Łotwy, Słowacji, Rosji i Ukrainy towarzyszyły koncerty i filmy etnograficzne.

ZACHÓD

2.12.93

Zmarł w Ocean Grove, N.Y. (USA) w wieku 82 lat Kazimierz Różankowski, żołnierz drugiej wojny światowej, więzień obozów hitlerowskich, członek WiNu, pracownik Radia Wolna Europa.

17.12.93

Ambasador RP w Paryżu, prof. Jerzy Łukaszewski, wygłosił odczyt „Pologne 1993: problèmes et perspectives” zorganizowany przez Association des Anciens Elèves et Amis des Langues Orientales.

31.12.93

Zmarła w Londynie Helena Kitajewicz-Rand, znana aktorka i pieśniarka. W czasie wojny członek Czołówki Teatralnej przy Brygadzie Karpackiej. Prowadziła szeroką działalność artystyczną dla wojska polskiego na Środkowym Wschodzie i na emigracji.

4.01.94

Zmarł w Londynie Feliks Fabian, artysta, malarz, aktor. W czasie ostatniej wojny kapitan artylerii plot.

20.01.94

Zmarł w Londynie prof. Józef Biliński, rektor Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie. ■ W Instytucie Węgierskim w Paryżu odbył się odczyt Csaba G. Kissa pt. „Tribus ou nations: perspectives centre-européennes”.

21.01.94

Instytut Polski na Uniwersytecie w Nancy — wspólnie z Instytutem Filmologii — zorganizował coroczny tydzień kultury polskiej tym razem wokół twórczości Krzysztofa Kieślowskiego. Oprócz dwóch spotkań z reżyserem — ze studentami i z przedpremierową publicznością „Białego” — amatorzy mogli skorzystać również z retrospektywy jego twórczości („Amator”, „Przypadek”, „Bez końca”, krótkometrażówki...), połączonej z prelekcją Jacka Foksiewicza o sytuacji polskiego filmu. Prasa, radio i telewizja regionalne bardzo żywo zareagowały na wydawnienie, publikując m.in. szereg wywiadów z twórcą „Niebieskiego”, świeżo „nominowanego” do nagrody „Cesara”.

25.01.94

Jacek Kuroń w Amphithéâtre Champollion z okazji ukazania się jego książki „Maintenant ou jamais”, Ed. Fayard, omawiał obecną sytuację w Polsce.

26.01.94

Zmarł w Londynie w wieku 81 lat Władysław Jerzy Cichy, więzień Kozielska, założyciel i wydawca pisma 2 Korpusu *Parada*.

3.02.94

Na uniwersytecie Paris-Sorbonne Le Centre de Civilisation Polonaise odbył się wieczór poświęcony rzeźbiarzowi Augustowi Zamoyskiemu.

15.02.94

W Stacji Akademii Nauk w Paryżu: 21 stycznia prof. Uniwersytetu Poznańskiego, Maciej Serwański, wygłosił odczyt „O stosunkach polsko-francuskich między XVI a XVIII w.”; 8.02.94 miała miejsce dyskusja na temat ostatniej książki prof. Daniela Beauvois pt. „La bataille de la terre en Ukraine 1863-1914”; 10 lutego Krzysztof Pomian wygłosił od-

czyt „Paris sur Vistule”. Przed odczytem Ambasador RP w Paryżu Jerzy Łukaszewski wręczył Krzysztofowi Pomianowi odznakę Krzyża Komandorskiego orderu Polonia Restituta.

22.02.94

W Domu Polskiego Kombatanta w Paryżu staraniem Stowarzyszenia Byłych Kombatantów i b. Żołnierzy AK we Francji odbył się odczyt Tadeusza Wyrwy „Utworzenie rządu polskiego we Francji jesienią 39 r.”.

25.02.94

W Centre du Dialogue w Paryżu miał miejsce wieczór dla uczczenia 47 lat działalności księgarni „Libella” oraz Galerii Lambert. Z Kazimierzem Romanowiczem rozmawiał Andrzej Wat. Poprzednio odbyły się w Centre du Dialogue następujące spotkania: 21.01.94 Wojciech Karpiński wygłosił odczyt o pisarstwie Józefa Czapskiego; 28.01. miało miejsce spotkanie z Wojciechem Pszoniakiem z okazji jego 25-lecia pracy aktorskiej; 11.02. Michał Heller wygłosił odczyt „Czy Rosjanie chcą wojny?”; 18.02. miał miejsce wieczór autorski Kazimierza Brandysa.

Kronika kanadyjska

Doroczna zbiórka na Bibliotekę Polską im. Wandy Stachewicz w Montrealu nie przyniosła oczekiwanych wyników. Wyznaczono jako cel sumę \$25.000 i podobnie jak w roku poprzednim zebrano tylko \$21.000. Na pokrycie kosztów działania biblioteki wpłynęły m.in. dotacje: Polskiej Fundacji Społeczno-Kulturalnej Quebec — \$11.000, Fundacji im. A. Mickiewicza — \$1.000, Fundacji W. i N. Turzańskich — \$1.000, Funduszu Wieczystego Millenium — \$5.000, Linii Lotniczych LOT — \$1.500; powiększyła się liczba osób i instytucji, które ofiarowały od pięciuset dolarów wwyż. Liczba czytelników przekroczyła w roku 1993 1.480 osób a liczba książek — 41.000. Biblioteka ta jest największą i najbogatszą polonijną biblioteką w Kanadzie. ■ Obchody 50-lecia Polskiego Instytutu Naukowego i Biblioteki Polskiej odbyły się 30.10.93 na uniwersytecie McGill z udziałem licznych gości. Na otwarciu ambasador RP, T. Diem, udekorował p. Wandę Stachewicz Orderem Zasługi RP. Prelekcję w języku angielskim wygłosił Tadeusz Brzeziński, a Witold Lutostawski mówił o swojej oraz nowoczesnej muzyce. ■ Zmarł w wieku 91 lat Waclaw Liebert, pisarz-amator, urodzony w Moskwie. Jego książka „Wrony nad Moskwą” to wspomnienia szczęśliwego dzieciństwa w tym mieście. Opowiadania w tomie pt. „O miłości i tak dalej” uzyskały pierwszą nagrodę na konkursie Ontario Arts Council; „Ewidencja W.16” jest powieścią o tematyce wojenno-krajowej, a tom „Byłe i niebyłe” — ostatni, który się ukazał, to wybór krótkich opowiadań. ■ Inauguracyjne posiedzenie nowej Izby Gmin, wyłonionej z wyborów 25 października ub. r., odbyło się 18 stycznia. Liberalowie posiadają w Izbie

absolutną większość, ale oficjalną opozycją jest Blok Quebecois — stronnictwo separatystyczne. Poseł Bouchard, przywódca partii, wyraził nadzieję, że potrzeby i postulaty Quebecu zostaną zaspokojone. Zdaniem jego, a także innych rzeczników ruchu separatystycznego, niepodległość i suwerenność Quebecu będzie osiągnięta demokratycznie i pokojowo. Wyjście z Federacji nie będzie oznaczało wrogoci czy zerwania stosunków. Dodał, że w obecnej Izbie występował zarówno w sprawach Quebecu jak i całej Kanady. ■ Jesse Flis, wieloletni poseł, liberał, działacz i członek organizacji polonijnych, syn emigrantów, został mianowany przez prem. Chretien sekretarzem parlamentarnym MSZ. Jest to stanowisko niejako przygotowawcze na ministra. ■ Mnożą się głosy wzywające do restrykcji imigracyjnych, obniżenia liczby ogólnej oraz kategorii uchodźców. Dziesiątki tysięcy uchodźców otrzymuje tylko czasowy pobyt a status ich jest rozpatrywany. Nie mają oni prawa pracy natomiast korzystają ze stałego zasiłku opieki społecznej, co wywołuje protesty polityków i części społeczeństwa. Rząd prowincji Ontario proponuje uchodźcom tej kategorii przyznanie prawa pracy po złożeniu odcisku palców na dokumencie rejestracyjnym.

Toronto, 25.01.1994

B. H.

Kronika szwedzka

Przedstawiony 10 stycznia 1994 budżet przewiduje pomoc dla krajów rozwijających się w wysokości 13,3 miliarda koron, tj. o 400 milionów koron więcej niż w roku ubiegłym. Na pomoc dla kultury szwedzkiej przeznaczona jest 14.759 mln. Kraje postkomunistyczne otrzymają 191 mln koron. W kwocie tej 126 mln przeznaczonych jest na oczyszczenie Bałtyku i okolic. Program poprawy środowiska wokół Bałtyku obejmuje 20 lat i przewiduje łącznie 180 miliardów koron. 56 mln koron przeznaczona jest na zabezpieczenie elektrowni atomowych na Litwie, Łotwie i w Estonii. Szwecja cofa dalsze wsparcie dla ANC (Afryka Południowa), tj. ok. 95 mln rocznie, a obiecuje 150 tys. dolarów dla Palestyńczyków na budowę Jerycha. ■ Amerykański profesor Richard Estes przeprowadził badania warunków życia ludności w 124 krajach. Wg Estesa pierwsze miejsce należy się Danii, drugie Norwegii, a Szwecji trzecie. Dalsze miejsca zajmują Austria i Holandia. Badania były oparte na 36 kryteriach, m.in.: społeczne bezpieczeństwo, ekonomia, poziom kulturalny, uprawniaenia kobiet i opieka szpitalna. ■ Większe dzienniki odnotowały pierwszą rocznicę zatonięcia promu „Jan Heweliusz”. Przebieg rozprawy ze Szczecina o przyczynach katastrofy był dokładnie śledzony w tutejszych mass-mediach. Wśród 55 ofiar było 7 obywateli szwedzkich. ■ W styczniu br. w Instytucie Polskim w Sztokholmie miały miejsce następujące imprezy: wystawa malarstwa Jana Dobkowskiego (18.01.-10.02); 20-go spotkanie z Jerzym Ślaskowskim, reżyserem filmów dokumentalnych

pracującym w Szwecji; 29-go spotkanie Andrzeja Wajdy z publicznością polsko-szwedzką. Kolejne spotkanie A. Wajdy i Krystyny Zachwatowicz zostało zaplanowane na 19 lutego br. ■ 8 stycznia Magdalena Pramfelt w cyklu telewizyjnym „Polska — kraj sąsiedni” przedstawiła program „Paralele i kontrasty w szwedzko-polskiej historii”. Zdarzenia wspólnej przeszłości barwnie opowiadał Adam Heymowski. Następnie przedstawiono dramat A. Strindberga „Silniejsza” w reżyserii A. Wajdy i wykonaniu Krystyny Jandy i Teresy Budzisz-Krzyżanowskiej. ■ W dniach 15 i 18 stycznia wyświetlono w ogólnokrajowym programie telewizyjnym film „Białe małżeństwo” w reżyserii Magdaleny Łazarkiewicz, według dramatu Tadeusza Różewicza. ■ W Göteborgu odbył się dwutygodniowy festiwal filmowy. M.in. zaprezentowano po raz pierwszy „Trylogię polską” J. Helander i B. Persona, zawierającą szwedzkie filmy dokumentalne: „Teatr Ósmego Dnia”, „Bliźniacy z Krajowa” i „Powroty”. Wyświetlono również „Tajemniczy ogród” w reż. Agnieszki Holland (produkcji amerykańskiej), „Pierścień z orłem w koronie” w reż. A. Wajdy, „Rozmowę z człowiekiem z szafy” w reż. Mariusza Grzegorzaka i filmy Krzysztofa Kieślowskiego. Jury festiwalowe uznało za najlepszy film „Niebieski” w reż. K. Kieślowskiego (prod. francusko-polsko-szwajcarskiej). ■ W szwedzkich kinach wyświetlane są obecnie filmy A. Wajdy „Człowiek z marmuru” i „Dyrygent” oraz K. Kieślowskiego „Podwójne życie Weroniki”. ■ W Gerlesborgu wyświetlono 12 filmów A. Wajdy ze wstępem i prelekcjami znawców kultury polskiej: K.A. Abrahamsona, A.N. Uggli i O. Roth-Linndberga. ■ Tutejsza prasa przeprowadziła z A. Wajdą szereg wywiadów na temat twórczości i planów. ■ *Acta Suedo-Polonica* to tytuł 245-stronicowego pierwszego numeru pisma poświęconego stosunkom polsko-szwedzkim. Numer ten jest przygotowany przez uczestników istniejącego od 1981 r. Seminarium kultury i historii Polski Uniwersytetu w Uppsali. Redaktorami pisma są Andrzej Nils Uggla, Michał Bron jr., Janusz Korek, Józef Lewandowski i Nils Lundahl.

Göteborg, 31.01.94

Anna RIEDL

Listy do Redakcji

Rzeszów, 26.01.94 r.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

kiedy dotarła do mnie grudniowa *Kultura*, mogłem zapoznać się z opinią p. Andrzeja Dobosza m.in. na temat *Frazy*, pisma literacko-społecznego z Rzeszowa, którego jestem redaktorem. Sam fakt, że nowe czasopismo zostało zauważone przez opiniotwórczą *Kulturę* bardzo cieszy, nawet jeśli są to dość krytyczne uwagi. Krytyka może służyć tylko doskonaleniu pisma.

Z drugiej strony, styl jest sprawą zawsze dyskusyjną. Nieraz poprawność językowa zabija wrażliwość wewnętrzną, duchową i mnie zdawało się spotykać nauczycieli — formalistów... Nad stylem można pracować, a wrażliwości, talentu czy powołania nie da się „wypracować”. Dlatego osobiście zabrałem sobie ślad p. Dobosza o polonistach redagujących *Frazę*. Rozumiem szlachetną troskę, niepokój o młode pokolenia i stan polskiej oświaty. Temat — rzeka. Każdy pretekst jest dobry, by ubolewać nad młodymi nauczycielami i można wykazać się szlachetnością. Mam po prostu wątpliwości, czy przywołane przez p. Dobosza argumenty to wystarczający powód do tego, by wychodzić na ambonę i przywdziwać togę sędziego...? A może to tylko taka sobie prowokacja...?

Czuję się w związku z tym odpowiedzialny za „pluralizm przyszłych pokoleń” i obiecuję, że będę czujny i zawsze gotowy...

Łączę serdeczne życzenia. Z wyrazami szacunku

St. DŁUSKI

Wiedeń, 25 stycznia 1994 roku

Szanowny Panie Redaktorze!

W ostatnim numerze *Kultury* (1994, nr 1/2, s. 214) ukazała się informacja, że zostałem mianowany dyrektorem Instytutu Polskiego w Wiedniu. Informacja ta nie jest ścisła. Dyrektorem Instytutu Polskiego w Wiedniu jest nadal — i oby był jak najdłużej — znakomity na tym stanowisku Marian Bizan, natomiast ja w listopadzie 1993 r. zostałem dyrektorem utworzonej przed trzema laty Stacji Naukowej Polskiej Akademii Nauk w Wiedniu. Jest to trzecia, po Paryżu i Rzymie, zagraniczna

placówka PAN. Jak wiadomo, Instytuty Polskie i zagraniczne stacje PAN są całkowicie odrębnymi instytucjami i mają inne zadania do spełnienia. Instytuty Polskie mają propagować wobec zagranicy szeroko rozumianą polską kulturę, natomiast stacje naukowe PAN — zgodnie ze swoją nazwą — zajmują się przede wszystkim sprawami nauki. Instytuty Polskie podlegają Ministerstwu Spraw Zagranicznych, a stacje naukowe — władzom Polskiej Akademii Nauk. Wiedeński Instytut Polski mieści się od dwudziestu już lat w pierwszej dzielnicy Wiednia, przy Am Gestade 7, a Stacja Naukowa PAN — w trzeciej dzielnicy, w przebudowywanym obecnie domu przy Boerhaavegasse 25, który już od 1908 r. znajdował się w polskich rękach, a obecnie stanowi własność Polskiej Akademii Nauk. Kierowana przeze mnie Stacja Naukowa znajduje się jeszcze właściwie w stadium organizacji i pełną działalność będzie mogła rozwinąć dopiero po zakończeniu przebudowy swego pomieszczenia.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

Roman TABORSKI

Bazylea, 12 grudnia 1993 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Z troską obserwujemy od pewnego czasu rozwój linii politycznej *Kultury*. Szczególnym niepokojem napawają kąśliwe wręcz do nieprzyzwoitości ataki czołowych publicystów tego pisma w osobach panów Wolickiego i Smeczka na tzw. obóz prawicy. Panowie ci z równą wprawą i za pomocą tej samej miary potrafią wyszydzić i zohydzić z jednej strony Urbana z drugiej zaś Kaczyńskiego czy Moczulskiego. A przecież między tym pierwszym a dwoma ostatnimi istnieje zasadnicza różnica jakościowa. Łaską i respektem cieszą się wśród Redakcji te osoby i te kręgi lewicy, które wypracowały sobie tak modne a jednocześnie tak mocno mylące w Polsce określenie „cywilizowanych Europejczyków”. Do tej kategorii zaliczani są rzecz jasna tylko prominenci lewicy, niosący Polsce prometejski płomień wiedzy i postępu, a to: Geremek, Michnik, Bugaj czy Szczypiorski. Ci Czytelnicy *Kultury*, którzy wywodzą się z kręgów raczej konserwatywnych nie mają od dawna łatwego życia. Oblepiono ich już całą masą etykietek w rodzaju: zaściankowców, oszołomów, populistów, ludzi ciemnogrodu, by wymienić tylko te najdelikatniejsze z obelg. To bardzo mocne zawężenie ram ideowych pisma zmusza siłą rzeczy niektórych, a może nawet dość licznych, dotychczasowych wieloletnich, wiernych *Kulturze* Czytelników, do szukania sobie niezależnego i na poziomie periodyku, bliżej wyrażającego ich światopogląd. Pismo traci coraz bardziej swój dotychczasowy uniwersalny charakter, stając się z wolna tubą propagandową „Unii Pracy” oraz po części również, „Unii Demokratycznej”.

Stanisław KOMORSKI
Jana PYSZKO

Zarzuty panów Stanisława Komorskiego i Jana Pyszko pod adresem *Kultury* i jej „linii politycznej” sprowadzić można do jednego słowa „stronniczość”. Nasze pismo ma jakoby swoich „pieszczochów” wśród prominentów lewicy (tz. cywilizowanych Europejczyków), tępi zaś zaciekle prawicowych „zaściankowców”. Zarzuty pp. Komorskiego i Pyszko są zarówno nieprawdziwe jak i śmieszne. Kierujemy się w naszych ocenach nie tzw. kolorem politycznym, lecz rozsądkiem lub brakiem rozsądku protagonistów tzw. sceny politycznej w Polsce. Nasz surowy sąd o prawicy polskiej był i jest nadal uzasadniony, dowiodły tego wybory z 19 września 1993 r. O wyniku wyborów zadecydowała krótkowzroczna, egoistyczna i głupia polityka prawicy, która — rozbita na szereg partyjek — nie potrafiła się zjednoczyć by przedstawić wspólnie jakiś program serio.

Cztery lata rządów postsolidarnościowych były wypełnione przede wszystkim rozgrywkami personalnymi, walką o stołki, przy zaniechaniu interesów społeczeństwa i państwa. Nic więc dziwnego, że społeczeństwo odpowiedziało brutalnym votum nieufności. Mamy nadzieję (coraz słabszą), że ugrupowania „postkomunistyczne” wyciągną z tej lekcji odpowiedzialnie wnioski.

REDAKCJA

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

Krzysztof Kłopotowski, USA — Redagowany przez Pana Komentarz („konwersatorium polsko-amerykańskie”) jest bardzo ciekawy. Zasługuje na naśladowanie w innych krajach osiedlenia grup młodej inteligencji polskiej.

A.T.B., Francja — Wybraliśmy do druku wiersz *Brzozy*.

T.Ch., USA — Wybraliśmy do druku wiersz *Brat Franciszek do Siostry Klary*.

F.Ś., Kanada — Wybraliśmy do druku wiersz *Festina*.

M.K., USA — Wybraliśmy do druku wiersz *Początek*.

E.B. w Polsce, M.T.S. w Polsce, W.J.M. w Polsce — Z wierszy nie skorzystamy.

W.P. w Polsce — Wzruszająca jest Pana miłość do przybranej ziemi sochaczewskiej, ma Pan słuszną pisać o znaczeniu poezji ludowej, ale jej próbki Pana pióra są niezbyt dojrzałe.

H.J., Kanada — Pani notatka *Historia żyje* (sprawozdanie z wieczoru w Towarzystwie Miłośników Historii w Warszawie) pasowałaby dobrze do jakiegoś pisma polonijnego w Stanach lub w Kanadzie. Czekamy na wydanie antologii na temat Powstania Warszawskiego.

R.M., Niemcy — Ma Pani słuszną, szkoda tylko, że refleksja jest tak oszczędna.

- M.D. w Polsce** — Być może Pana *Przedstawienie* byłoby dość ciekawe, gdyby było mniej rozgadane i zagmatwane.
- A.M., Kanada** — Pana *Wywrotny zakręt*, opis polskiej gospodarczej kwadratury koła, jest ścisły, nie zawiera jednak nic nowego. Trudno się nie zgodzić z Pana krytyką stosunku władz polskich do fachowców polskich zamieszkałych za granicą. Polskie prawo tzw. „domicyliu” powinno przejść do historii jako szczyt ustawodawczego kretynizmu.
- D.W., USA** — *Przerwy obiadowe* wydają nam się mało interesujące.
- B.S., USA** — *Mój brat Mundek* jest bardzo słabo napisany.
- K.H., USA** — Niestety, zbyt powierzchownie potraktował Pan temat umierania starego człowieka w *Opowiadaniach na koniec XX wieku*.
- M.M., Szwecja** — Jest bardzo trudno opisać stan psychiczny na pograniczu obłądu. Nie udało się Panu *Ucieczka do Egiptu*.

Z ostatniej chwili

4.02.94

W Warszawie została podpisana umowa o przyjaźni i współpracy między Warszawą a Kijowem. Umowę podpisali prezydent m.st. Warszawy Stanisław Wyganowski i przewodniczący Kijowskiej Miejskiej Rady Państwowej, Leonid Kosakiwskij.

8.02.94

Zmarł w Warszawie w wieku 81 lat Witold Lutosławski, jeden z najwybitniejszych kompozytorów i dyrygentów.

10.02.94

W 25-tą rocznicę otrzymania sakry biskupiej ks. bp Szczepan Wesoly został mianowany przez Papieża arcybiskupem. ■ Andrzej Szczypiorski został laureatem austriackiej nagrody im. Gottfrieda von Herdera.

11.02.94

Życie Warszawy donosi, że Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego odrzucił wniosek Rady Wydziału Prawa UJ o przyznaniu prof. Ewie Łętowskiej doktoratu *honoris causa*. Senat uznał, że doktorat ten „mógłby być odczytany w kategoriach politycznych”. Prof. Łętowska — jak podaje gazeta — przyjęła wiadomość o odrzuceniu wniosku „ze zrozumieniem i właściwą kulturą”.

24.02.94

W Stacji Naukowej Polskiej Akademii Nauk w Paryżu p. Jan Dowgiałło, profesor Polskiej Akademii Nauk i ambasador Rzeczypospolitej Polskiej w Izraelu, wygłosił odczyt pt. „Le potentiel geothermique de la Pologne et son importance pour la protection du milieu”.

NOTATKI REDAKTORA 155

POLEMIKI

Kazimierz Ortoś:	<i>Klucz do Europy</i>	158
Andrzej Biernacki:	<i>Spór o spory</i>	161

—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz Kroniki kanadyjska i szwedzka</i>	165
---	---	-----

St. Dłuski, R. Taborski, S. Komorski i J. Pyszko z odpowiedzią Redakcji:	<i>Listy do Redakcji</i>	171
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	173
—	<i>Z ostatniej chwili</i>	175

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 1^{er} trimestre 1994.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris
Imprimé en France.
N° d'imprimeur 2467-1994

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04
FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.	Prenumerata	
	1/2-roczna	roczna

Ceny na rok 1994

AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$A. 15,00	\$A. 90,00	\$A. 160,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Flh 20,00	Flh 110,00	Flh 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv, tel. i FAX: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63	\$can. 13,00	\$can. 75,00	\$can. 140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessesstrasse 39/41, Postfach 340108, D 80328 München. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszkó, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermilod, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» lub na konto pocztowe jak poniżej	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 594-2386	\$US 11,00	\$US 60,00	\$US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06)77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 600; półroczna — F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 476 — SMECZ

Z UKOSA

Wybór felietonów o Polsce od maja 1990 do sierpnia 1992.

Str. 224

Cena F. 95,00



TOM 477 — ROMAN ZIMAND (Leopolita)

MATERIAŁ DOWODOWY

Szkice drugie

Str. 312

Cena F. 120,00



TOM 483 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO SIÓDMY

zawiera opracowania: A. Nowak: *Polityka wschodnia Józefa Piłsudskiego (1918–1921)*; E. Nowak: *Z archiwum obozu pracy w Łambinowicach (1945–1946)*; T. Mianowicz: *Między zbawieniem a polityką*; N. Kłosowska-Wohlman: *Wojna i druga młodość*; D. Mostwin: *Portret lekarza*; P. Mitzner: *Wspólne miejsce — Europa Wschodnia*; N.F. Bugaj: „Specjalnateczka Stalina”: *Deportacje i reemigracja Polaków*; *Siedem listów Polaków spec-przesiedleńców w ZSSR*; J. Tischler: *Reakcje w Polsce na wiadomość o procesie i straceniu Imre Nagya*; Marek Rudzki: *Korespondencja Adama Rudzkiego z min. Adamem Rapackim*; M.A. Balińska: *Korespondencja Ludwika Rajchmana*; M.A. Supruniuk: *Tajne publikacje*; J.R. Krzyżanowski: *Pamiętnik zdrady*; J. Lewandowski: *Polacy i Finowie w 1944 r.*; OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 90,00.

Cena 55 F